

Powieść, która zachwycała świat



**zgubiono
znaleziono**

Historia,
która was
rozśmieszy
i zasmuci,
a nawet
czegoś nauczy

brooke davis



**zgużiono
znaleziono
brooke davis**

przełożył Robert Sudół

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2015

Dla Mamy i Taty.
Nie wiem, jak inaczej podziękować Wam za to, że jestem.

część pierwsza

millie bird

Najpierwszym w *Księdze Nieżyłków* Millie był jej pies Rambo. Znalazła go na poboczu drogi rankiem, gdy niebo zdawało się spadać, a mgła snuła się niczym duch dokoła zniekształconej sylwetki psa. Oczy i pysk miał szeroko otwarte, jakby zastygł w trakcie szczekania. Tylne lewa łapa była wygięta pod nienaturalnym kątem. Potem mgła się uniosła, niebo zakryły chmury i Millie zaczęła się zastanawiać, czy Rambo przemienił się w deszcz.

Dopiero gdy zataszczyła go w plecaku do domu, matka uznała za stosowne powiedzieć jej, jak to funkcjonuje.

– Odszedł do lepszego świata! – krzyknęła, odkurzając salon.

– Do lepszego świata?

– Co? No tak, niebo, kochanie, a co, nie słyszałaś o nim? Czy niczego was nie uczą w tej cholernej szkole? Podnieś nogi. To niebo dla psów, tam są wieczne chrupki dla psów, a one mogą robić kupę, gdzie chcą. Dobra, nogi w dół. Powiedziałam, nogi w dół! No więc robią kupę, ja wiem, pewnie tymi chrupkami, i nic tylko kupciają i jedzą te chrupki, i ganiają w kółko, a potem zjadają kupy innych psów. To znaczy te chrupki.

Millie zastanawiała się przez chwilę.

– To po co marnują czas tutaj? – spytała.

– Co? No bo... yyy... muszą na to zasłużyć. Muszą tu siedzieć, dopóki nie będą powołane do lepszego świata. Jak ten pies z serialu.

– Czyli Rambo jest na innej planecie?

– Cóż, tak. Coś w tym stylu. Czekaj, naprawdę nie słyszałaś o niebie? Że Bóg siedzi na chmurze, ferajna diabła pod ziemią i w ogóle?

– A mogę się jakoś dostać na tę nową planetę Rambo?

Mama wyłączyła odkurzacz i popatrzyła trzeźwo na Millie.

– Tylko jeśli masz statek kosmiczny. Masz taki?

– Nie – burknęła Millie, wbijając wzrok w stopy.

– W takim razie nie doleczysz na tę planetę.

Kilka dni później Millie odkryła, że Rambo nie przebywa na żadnej nowej planecie, tylko leży na podwórku za domem, przykryty byle jak egzemplarzem „Sunday Timesa”. Ostrożnie podniosła gazetę i zobaczyła Rambo, ale jakby nie Rambo, skurczonego, nadjedzonego, zmarniałego. Odtąd wyslizgiwała się co wieczór z domu, żeby być przy nim, gdy jego ciało przeobrażało się z czegoś w nic.

Stary mężczyzna przechodzący przez jezdnię był jej drugim nieżyłkiem. Uderzony przez samochód, pofrunął do góry, a jej się wydawało się, że widzi jego uśmiech. Kapelusz staruszka wylądował na znaku pierwszeństwa przejazdu, laska zaś zatańczyła przy latarni. A potem on sam runął na krawężnik. Millie precyzyjnie się między wszystkimi nogami, wśród okrzyków, i uklękła przy jego głowie. Spojrzała mu głęboko w oczy. Popatrzył na nią, jakby był tylko szkicem. Przesunęła palcami po jego zmarszczkach, zastanawiając się, do czego używał każdej z nich.

Potem została podniesiona z chodnika i usłyszała, że powinna zasłonić oczy, bo jest dzieckiem. A gdy ruszyła w długą drogę do domu, uznała, że być może nadszedł czas, aby zapytać tatę o niebo dla ludzi.

– Widzisz, Szkrabie, jest niebo i jest piekło. Do piekła idą wszyscy źli ludzie, tacy jak przestępcy, różni naciągacze i kontrolerzy parkingowi. A do nieba idą wszyscy dobrzy, tacy jak ty i ja, i ta ładna blondynka z „Masterchefa”.

– I co się dzieje, jak tam trafiasz?
– W niebie spędzasz czas z Bogiem i Jimim Hendrixem i dostajesz do jedzenia pączki, ile chcesz. A w piekle musisz... uch... musisz tańczyć macarenę. Wiecznie. Do tej składanki z *Gorączki sobotniej nocy*.

– A gdzie się idzie, gdy człowiek jest i dobry, i zły?

– Co? Nie wiem. Do Ikei?

– Pomożesz mi zbudować statek kosmiczny?

– Chwileczkę, Szkrabie. Możemy dokończyć przy następnej przerwie na reklamy?

Szybko się zorientowała, że wszystko dokoła umiera. Robaki i pomarańcze, choinki bożonarodzeniowe, domy i skrzynki na listy, i pociągi, i flamastry, i świeczki, i starzy ludzie, i młodzi ludzie, i ci pomiędzy. A gdy odnotowała dwadzieścia siedem różnych stworzeń w swojej *Księdze Nieżyłków* – między innymi pająka, ptaka, babcię, kotkę sąsiadów Gertrudę – stało się tak, że jej tata też został nieżyłkiem. I wpisała go obok numeru dwadzieścia osiem literami tak dużymi, że zajęły dwie strony: MÓJ TATA. Przez chwilę nie potrafiła robić nic innego jak tylko patrzeć na te litery, aż przestała pamiętać, co znaczą. A robiła to przy świetle latarki w przedpokoju, obok sypialni rodziców, słuchając, jak mama udaje, że śpi.

czekanie,dzień pierwszy

Kiedy Millie bawiła się w „połącz kropki”, zawsze była Pierwszą Kropką, mama Kropką Drugą, tata zaś Trzecią. Linia wylaniała się z głębi brzucha Pierwszej Kropki, zawijała się wokół Drugiej, potem Trzeciej – zwykle oglądającej telewizję – i zawracała, żeby powstał trójkąt. Millie puszczała się wtedy w bieg po domu, z rozwianymi rudymi włosami, a trójkąt wił się dokoła mebli. Gdy mama mówiła: „Możesz przestać, Millicent?”, trójkąt z rykiem przemieniał się w ogromnego dinozaura. Kiedy tata prosił: „Usiądź przy mnie, Szkrabie”, trójkąt zwił się do postaci dużego bijącego serca. „Bu-bum, bu-bum”, szeptała, podskakując nieporadnie do rytmu. Mościła się między Drugą a Trzecią Kropką na kanapie. Trzecia Kropka brała Pierwszą za rękę i puszczała do niej oko. Obrazy błyskające na ekranie telewizora rozpałały ojcowską twarz w półmroku. Bu-bum, bu-bum, bu-bum.

* * *

Pierwszego Dnia Czekania Millie stoi dokładnie w miejscu, które wskazała jej mama. Tuż obok Ogromniastych Damskich Majtek, naprzeciw manekina ubranego w hawajską koszulę.

– Zaraz wracam – mówi mama, a Millie jej wierzy.

Druga Kropka założyła swoje złote buty – jej kroki przypominają eksplozje. Idzie w stronę perfum – buch! – obok działu z konfekcją męską – bam!! – i znika z oczu – łup!!! Linia między Pierwszą a Drugą Kropką napina się i rozciąga. Millie patrzy, jak robi się coraz cieńsza, aż przypomina rysę w powietrzu.

Bu-bum, bu-bum, bu-bum.

Odtąd Millie będzie nosić to w sobie, ten obraz znikającej mamy. Będzie się pojawiał w głębi jej oczu przez całe życie. W różnych okolicznościach. Wtedy, gdy postać w filmie mówi: „Zaraz wracam”. Kiedy, będąc już po czterdziestce, popatrzy na swoje dłonie i ich nie rozpozna. Kiedy na usta będzie się cisnęło idiotyczne pytanie i na całym świecie nie znajdzie się nikt, komu można by je zadać. Kiedy zapłacze. Kiedy parsknie śmiechem. Kiedy będzie mieć na coś nadzieję. Za każdym razem, gdy zobaczy słońce zachodzące za wodę, poczuje – nie wiedzieć czemu – lekką panikę. Automatyczne drzwi w centrach handlowych zawsze będą budziły w niej lekki niepokój. A gdy po raz pierwszy chłopiec dotknie jej w sugestywny sposób, ona wyobrazi

go sobie odpływającego za horyzont, daleko, daleko, poza jej zasięg.

Lecz na razie nie wie o tym wszystkim.

Wie natomiast, że bolą ją nogi od stania. Zdejmuje plecak i wpełza pod stojak z Ogromniastymi Damskimi Majtkami. Mama mówiła, że są takie kobiety, które nie widzą intymnych części swojego ciała, bo zjadają całe kubelki kurczaka. Może ta bielizna jest właśnie dla nich. Millie nigdy nie widziała, żeby kurczaki pojawiały się w kubelkach.

– Ale mam nadzieję – mówi głośno, dotykając lekko bielizny – że pewnego dnia zobaczę.

Miło tutaj, pod tymi ogromnymi majtkami. Wiszą nisko dokoła jej głowy, tak blisko twarzy, że czuje ich zapach. Rozsuwa zamek plecaka i wyjmuje jeden z kartoników z mrożonym sokiem, które mama jej spakowała. Zaczyna pić przez słomkę. W odstępach między majtkami widzi nogi w ruchu. Jedne nogi idą dokądś, inne donikąd, te tańczą, tamte podskakują, szurają, skrzypią. Małe stopy, duże stopy i takie pomiędzy. Trampki, buty na szpilkach, sandały. Czerwone, czarne, zielone. Ale żadnych złotych. Żadnych eksplodujących kroków.

Człapią jasnoniebieskie kalosze. Millie patrzy na swoje nogi.

– Wiem, że jesteście zazdrosne – mówi do swoich kaloszy. – Ale musimy tu zostać.

Mama tak kazała.

Obraca głowę, śledząc spojrzeniem kalosze pędzące przejściem do działu z zabawkami.

– Dobra – mruczy.

Wyciąga z plecaka *Księgę Nieżyłków*, wrywa kartkę i pisze: „Do Mamy. Zaraz wracam”. Składa ją na pół i zostawia na podłodze dokładnie w miejscu, które wskazała wcześniej mama.

Zabiera swoje kalosze na spacer. Schodami ruchomymi w górę i w dół, najpierw idzie, potem podskakuje, skacze, macha rękoma jak królowa. Siada u szczytu i patrzy, jak schody się połykają.

– Co by się stało, gdyby schody nie spłaszczyły się w porę? – zwraca się z pytaniem do swoich kaloszy.

Wyobraża sobie, że schody wpełzają spomiędzy poręczy i suną w głąb alejek. Próbuje nawiązać kontakt wzrokowy z osobami, które ją mijają, a za każdym razem, gdy to się udaje, powietrze przed nią podryguje jak te stare filmy, które ogląda mama. Bawi się w chowanego z chłopcem, który nie wie, że uczestniczy w grze. Gdy Millie go zaklepuje, on reaguje pytaniem o jej włosy, wykonując wymowne spiralne ruchy palcem.

– To baleriny – odpowiada Millie. – W nocy zeskakują z mojej głowy i urządzają dla mnie przedstawienie.

– Phi – odpowiada i trzaska głową Barbie w transformera, wydając ustami soczysty odgłos wybuchu. – Wcale że nie.

Millie siedzi na podłodze w damskiej przebieralni.

– Wiem, gdzie pani może dostać majtki – uczynnie zwraca się do kobiety, która obraca się w tę i w tę przed lustrem, jakby próbowała wwiercić się w podłogę.

– Przepraszam, a kto ty jesteś?

Millie wzrusza ramionami.

Dwie kobiety rozmawiają za drzwiami innej kabiny. Millie widzi ich stopy w przestrzeni między drzwiami a podłogą. Bose stopy i jaskrawe buty emu.

– Nie zrozum tego źle – mówią buty – ale naprawdę myślisz, że dobrze ci w koralowym kolorze?

Bose stopy podkurczają palce.

– Wydawało mi się, że to róż – odpowiadają.

Millie czeka razem z mężczyznami siedzącymi na krzesłach przed przebieralnią, czekającymi na kobiety, zerkającymi zza torebek i sklepowych toreb jak przerażone zwierzęta.

Ściany dokoła obwieszane są wielgaśnymi zdjęciami obejmujących się roześmianych dziewcząt w nowej bieliźnie. Czekaający mężczyźni popatrują na te zdjęcia ukradkiem. Millie przychodzi do głowy myśl, że być może ogromne majtki są przeznaczone dla tych ogromnych dziewcząt.

Siada na krześle obok łysielca obgryzającego paznokcie.

– Widział pan kurczaki w kubekach? – pyta.

On kładzie sobie dłoń na kolanie i zerka na Millie kątem oka.

– Dziecko, ja tylko czekam na żonę – wzdycha.

Millie sterczy pod suszarkami do rąk w toaletach, bo lubi uczucie, jakby wiatr rozwiewał jej włosy, jak wtedy, gdy wystawia głowę przez okno w jadącym samochodzie, albo jakby była Supermanem lecącym dokoła Ziemi. Skąd taka suszarka wie, że ma dmuchać, gdy tylko człowiek wystawi ręce? To zdumiewające, ale kobiety w toalecie w ogóle tego nie wiedzą, tylko w panice gapią się w lustro, próbując wypatrzeć, czy coś jest z nimi nie tak, zanim ktoś inny się połapie.

Siedząc za roślinami na skraju kawiarenki w domu towarowym, patrzy, jak z kubków kawy unosi się para. Mężczyzna wyglądający jak Święty Mikołaj i kobieta o bardzo, ale to bardzo rumianych policzkach nachylają się ku sobie. Nic nie mówią, ale smużki pary z kubków całują się i płasają przy ich twarzach i nad głowami. Inny mężczyzna coś je, nie patrząc na żonę, a para z jego kawy tworzy przepiękne kształty w powietrzu. Millie nigdy nie widziała takich kształtów. Czy dużo jeszcze kształtów zostało do zrobienia? Kobieta z hałaśliwymi dziećmi ma kawę, która wykonuje wdechy i wydechy, wydając z siebie długie, utrudzone westchnienia.

W kącie siedzi mężczyzna o twarzy z kory. Ma fioletowy garnitur z czerwonymi szelkami, a kubek trzyma oburącz, jakby się bał, że mu odfrunie. Na roślinie tuż przed nosem Millie siada mucha.

– A gdyby tak wszystko umiało fruwać? – szepcze Millie do swoich kaloszy, obserwując, jak mucha przelatuje z liścia na liść.

Obiad mógłby wlecieć do ust, a niebo zakryłyby drzewa, ulice pozamieniałyby się miejscami, choć wtedy niektórym ludziom zrobiłoby się niedobrze, no i samoloty nie byłyby już takie ważne.

Mężczyzna o twarzy z kory tak mocno dmucha w kawę, że krople bryzgają na boki, a para rozpada się na dwie części. Niektóre warkoczyki strzelają do przodu, inne w górę. Mężczyzna patrzy uważnie w kawę przez kilka minut, a potem znowu dmucha.

Wstaje. Żeby to zrobić, musi się oprzeć dłońmi o stół i podźwignąć z wysiłkiem. Idzie w stronę Millie, a ona próbuje spojrzeć mu w oczy, lecz on nie podnosi wzroku. Mucha frunie za nim, bzyząc. On wysuwa rękę i klepie się w udo. Mucha spada na podłogę.

Millie pełźnie na czworaka do muchy i zgarnia ją na dłoń. Podnosi ją do twarzy, zaciska palce i wstaje, żeby popatrzeć na plecy mężczyzny o twarzy z kory, człapiącego z kawiarni na dwór.

Pod Ogromniastymi Damskimi Majtkami Millie odnajduje swój plecak. Wyjmuje Słoik Na Wszelki Wypadek, wsuwa go między kolana, odkręca wieczko i wkłada muchę do środka. Zakręca wieczko i wyciąga *Księgę Nieżyłków* oraz flamastry. „29. – pisze – Mucha w domu towarowym”. Przez papier przebija odwrotnie słowo TATA napisane wielkimi literami. Millie stuka flamastrzem w kalosze. Podnosi słoik do twarzy. Przez odstęp między majtkami patrzy na nią manekin z drugiej strony alejki. Ma jasnoniebieską koszulę w żółte palmy. Widziane przez szkło słoika, jego oczy wydają się olbrzymie, jakby znajdowały się zaledwie centymetr od twarzy Millie. Przesuwa więc parę majtek na wieszaku, żeby widzieć tylko kolana manekina.

Trzymając słoik, przez całe popołudnie wypatruje złotych butów. A kiedy popołudnie przechodzi w wieczór i ostatnie drzwi zamykają się z trzaskiem i wszystko ciemnieje – powietrze, odgłosy, Ziemia – można odnieść wrażenie, że cały świat się pozamykał. Millie

przysuwa twarz do okna i osłaniając oczy dłońmi, patrzy na ludzi wracających z innymi ludźmi do swoich samochodów, mężowie, żony, narzeczeni i narzeczone, dzieci i babcie, córki, ojcowie i matki. Wszyscy odjeżdżają, co do jednego, i wreszcie parking pustoszeje, że aż boli patrzeć. Millie wpełza z powrotem pod Ogromniaste Damskie Majtki i wyjmuję kanapkę z plecaka. Zaczyna jeść, patrząc na manekin widoczny przez odstęp między sztukami bielizny. On patrzy na nią.

– Cześć – szepcze Millie.

Oprócz tego słychać tylko cichy szum świetlówek w witrynach.

czekanie, dzień drugi

Dawniej Millie myślała, że bez względu na to, gdzie zasypiamy, zawsze budzimy się w swoim łóżku. Zasypiała przy stole albo na podłodze u sąsiadów, albo podczas zabawy w lunaparku, a gdy się budziła, leżała pod swoją kołdrą, nad głową zaś widziała sufit swojego pokoju. Ale pewnego wieczoru obudziła się, gdy niesiono ją z samochodu do domu. Spojrzała spod ciężkich powiek i zobaczyła tatę.

– To zawsze byłeś ty – szepnęła do jego ramienia.

* * *

Drugiego Dnia Czekania Millie budzi zmierzający ku niej stukot butów na wysokim obcasie. Wyciągnęła się wygodnie w nocy i teraz jej stopy wystają spod wieszaka z majtkami. Podciąga kolana do klatki piersiowej, obejmuje je rękami i wstrzymuje oddech, patrząc, jak buty przechodzą dalej. Klik-klak, klik-klak, klik-klak. Są czarne i połyskliwe, a z przodu sterczą palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami, jak biedronki, które próbują wpełznąć do środka.

Dlaczego mama zostawiła ją pod majtkami na całą noc?

Millie trzyma się za brzuch i zerka przez odstęp między majtkami. Wie, dlaczego mama mogła ją zostawić, ale nie chce o tym myśleć, więc nie myśli. Manekin wciąż na nią patrzy. Millie macha do niego. Czyni to ostrożnie, zginając powoli kolejne palce, aż zamyka dłoń w pięść. Jeszcze nie wie, czy chciałaby być jego przyjaciółką. Wciąga kalosze, wypelza spod stojaka z majtkami i patrzy na napis, który zostawiła na stojaku poprzedniego dnia.

TUTAJ MAMO.

Zrywa kartkę, składa ją i wsuwa do plecaka. Nadchodzi mężczyzna o twarzy z kory. Mija ją, szurając, i kieruje się do kawiarni. Millie rusza za nim, obserwując go zza roślin w donicach. On siada tak, jakby to go bolało, i patrzy w kawę. Millie podchodzi i kładzie mu dłoń na rękę.

– Widział pan kurczaki w kubelkach? – pyta.

Mężczyzna patrzy na jej dłoń, potem podnosi wzrok w górę.

– Tak – odpowiada, cofa rękę i bębni palcami w blat.

– No i? – Millie siada naprzeciwko. – Jak to smakuje?

– Tak samo jak brzmi.

Millie przygryza dolną wargę.

– Zna pan wielu nieżyłków? – pyta.

– Nieżyłków? Takich, co nie żyją? Aż trudno policzyć – odpowiada, patrząc w kawę.

– Aż tylu?

– Tak. A ty? – pyta, wciąż bębniąc palcami w stolik.

– Dwudziestu dziewięciu.

– To dużo.

– No.

Nachyla się ku niej w swym krześle.

– Ile masz lat? – pyta.

Millie splata ręce na piersi.

– A pan?

– Ja pierwszy spytałem.

– To powiedzmy jednocześnie.

– Osiemdziesiąt siedem.

– Siedem.

On się prostuje.

– Siedem?

Millie kiwa głową.

– I pół. Właściwie prawie osiem.

– Młoda jesteś.

– A pan stary.

Budzą się dołeczki w jego policzkach.

– Twoje buty są w kolorze moich szelek – mówi, teraz stukając palcami w szelki.

– To pana szelki są w kolorze moich butów. – Millie patrzy na jego dłonie. – Czemu pan tak bębni palcami, jak pan mówi?

– Ja nie bębnię – odpowiada, bębniąc. – Ja piszę.

– A co pan pisze?

– Wszystko, co mówię.

– Wszystko, co pan mówi?

– Tak.

– A to, co ja mówię?

– Tego nie.

– Będzie pan to jadł? – pyta dziewczynka, wskazując babeczkę.

On przesuwając talerzyk w jej stronę.

Millie wpycha sobie ciastko do ust.

– Dlaczego nie pije pan swojej kawy? – pyta niewyraźnie przez babeczkę, stawia kubek przed nim.

– Nie chcę – odpowiada mężczyzna, odsuwając kawę ku niej.

Millie splata dłonie na kubku i nachyla się do przodu, czując parę gromadzącą się pod brodą.

– To po co pan ją wziął?

– Bo miło coś trzymać w rękach.

Millie się uśmiecha.

– Aha.

Podciąga stopy na krzesło i opiera podbródek na kolanach. Na blacie ciągnie się długi szereg małych plastikowych kwadracików, każdy wielkości jej paznokcia.

– Co to jest? – pyta.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Nie wie pan?

Znowu wzruszenie ramion.

Millie nachyla się nad stołem.

– To klawisze komputerowe – stwierdza. – Jak w klawiaturach w szkole. – Splata ręce na piersi. – Ale nie są na klawiaturze.

– Tak.

– Więc pan wie.
– To łączniki. Z różnych klawiatur. – Mężczyzna nachyla się na krzesło. – Wiesz, co to jest łącznik?

- Może.
- Wstawia się go między dwa słowa, żeby zrobić z nich jedno.
- Czyli jak?
- Na przykład... – Zamyśla się na chwilę.
- Smutno-wesoła? – podpowiada Millie.
- Niezupełnie.
- Głodno-śpiąca?
- Nie. Raczej szuru-buru. Albo czarno-biały.
- Ale nie smutno-wesoła?
- Nie.
- Ani głodno-śpiąca?
- Nie.
- Dlaczego ma pan ich aż tyle?

Kwadracików jest dużo, ułożonych w długą prostą linię.

- Zbieram je.
- Po co?
- Żeby coś zbierać.

Millie myśli o swej Księdze.

- A ja zbieram nieżyłków – oznajmia.

Mężczyzna kiwa głową.

Patrząc mu śmiało w oczy, Millie wysuwa do przodu palec i wypycha nim jeden klawisz z szeregu. Klawisz nieruchomieje nad pozostałymi w przekrzywionej pozycji, jakby zastygł podczas przewrotu w tył. Twarz z Kory ani drgnie.

- Takie kreski są też między liczbami – mówi Millie. – Nie tylko między słowami.

Pstryka. Drugi klawisz sunie przez stół i zatrzymuje się na krawędzi blatu. Mężczyzna wciąga powietrze w płuca i patrzy, jak klawisz balansuje i nagle spada mu na kolana.

- Nie rób tak – mówi. Podnosi klawisz i odkłada go na miejsce.
- Skąd pan je ma?
- Pożyczyłem.
- Od kogo?

Millie dostrzega śrubokręt sterczący z kieszeni jego marynarki.

Mężczyzna kładzie dłoń na śrubokręcie, zasłaniając go przed jej wścibskim spojrzeniem.

– Nikt nie podejrzewa starych ludzi – mówi z krzywym uśmiechem. – Jakbyśmy byli niewidzialni.

- Jak się pan nazywa?
- Karl Maszynopiszący. A ty?
- Po prostu Millie.
- Gdzie twoja mama, Poprosto Millie?
- Zaraz wróci. Ma złote buty.

Na dźwięk ostatnich dwóch słów Millie czuje pociągnięcia Drugiej Kropki i chwytą się za brzuch. Wierci się na krzesło i stawia słoik z muchą na blacie stołu.

- Wczoraj zrobił pan nieżyłka.
- Karl bierze słoik do ręki i przygląda mu się z uwagą.
- Ja? – pyta, stukając palcami w szkło.

Millie kiwa głową.
– Urządzę jej pogrzeb.

* * *

Pierwszy pogrzeb w swoim życiu Millie urządziła pająkowi, którego tata załatwił butem. Mama skakała z nogi na nogę, wrzeszcząc:

– Harry, zabij tego pająka albo ja zabiję ciebie!
Tata wstał z fotela, ściągnął but i walnął nim w ścianę.
Raz.
Dwa.
Trzy.
Cztery.

Pająk odpadł od ściany i wylądował na podłodze. Tata podniósł go za nóżkę i wyrzucił przez frontowe drzwi. Potem usiadł i dalej oglądał telewizję. Mrugnął okiem do Millie po drugiej stronie pokoju. Nie potrafiła się zmusić, żeby odmrugnąć.

Obserwowała tatę przez trzy programy z rzędu, nim się odezwała:

– Czy możemy urządzić pająkowi pogrzeb? – spytała, gdy na ekranie pojawiła się lista płac. – Tak jak zrobiliśmy Nanowi.
– Pogrzeby urządza się ludziom, Mills – odparł, klikając po kanałach. – No i może psom.
– A koniom?
– Koniom też – przyznał, gdy cwaniak w telewizji próbował go wkręcić w kupno witamin.

– Kotom?
– Tak.
– Wężom?
– Nie.
– Dlaczego?
– Bo nie.

Na ekranie piękną krętą trasą w górach jechał samochód. Rodzina w środku głupkowato szczerzyła się do siebie. Wszyscy mieli śnieżnobiałe, lśniące zęby.

– Drzewom?
– Nie.
– Dlaczego?
– Bo nie.
– Stonogom? Planetom? Lodówkom?
– Millie! Pogrzeby urządza się ludziom. I może jeszcze dużym zwierzętom. Koniec,

kropka.

– Dlaczego?
– Bo byś miała pogrzeby stale, każdego dnia. A tak się nie da.
– Dlaczego?

– Bo są inne rzeczy do roboty – odparł tata, podczas gdy mężczyzna na ekranie patrzył Millie w oczy i piał z zachwytu nad jakimiś komórkami.

Tego wieczoru spakowała do plecaka wszystko, czego potrzebowała, chwyciła latarkę spod łóżka i wyslizgnęła się na dwór. Znalazła pająka w trawie przy podjeździe. Wzięła go w ręce. Wyglądał teraz inaczej, był mniejszy i lżejszy, wysuszony przez słońce. Wieczorny wietrzyk omiół jej dłonie, a pająk załaskotał ją w skórę.

Nagle porywisty podmuch wyrwał jej pająka z rąk. Millie pobiegła za nim, patrząc, jak szybuje wysoko nad jej głową. Leciał na tle gwiazd, nad ogródkiem od frontu, na drugą stronę

jezdni, w głąb ulicy, na pustą parcelę. Oświetlony blaskiem księżycy. Całą noc zdawały się okrywać posrebrzone księżycem pająki, przypięte hen wysoko do czarnego nieba.

A potem wiatr ustał tak nagle, jak się zerwał, a pająk zanurkował ku ziemi jak spadająca gwiazda.

Na środku pustej parceli rosło drzewo. Było największe, jakie Millie dotąd widziała, o wiele większe nawet od taty. Włożyła pająka do plecaka i wdrapała się na sam jego wierzchołek. Księżyc wydawał się tak bliski, że mogłaby wyciągnąć rękę i zakręcić nim jak bączkiem. Usiadła okrakiem na gałęzi, oparła się plecami o pień i z plecaka wyjęła pająka, stary słoik po vegemicie, kłębek sznurka, świeczkę do podgrzewacza, zapaliki i kawałek tektury.

Spojrzała ostatni raz na pająka, po czym włożyła go do słoika wymoszczonego chusteczkami higienicznymi. Zapaliła świeczkę i wsunęła ją do środka, następnie owinęła wylot słoika kawałkiem sznurka, na jednym końcu zawiązała pętelkę, a drugi przewlekła przez dziurę w tekturce. Przywiązała słoik do gałęzi. Słoik zawisł jak lampion, kołysząc się lekko wraz z drzewem. Na tekturce napisała najstaranniej, jak mogła: „Pająk, ? – 2011”.

Przesunęła palcem po kreseczce między pytajnikiem a rokiem śmierci pająka. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Dziwne, pomyślała, że ta kreska – prosta i długa – była wszystkim, co dało się powiedzieć o jego życiu.

karl maszynopiszący

co karl wie o pogrzebach

Karl nigdy nie rozmawiał z Evie o jej pogrzebie. Bo dlaczego miałby? Zbyt trudno byłoby mu wydobyć z siebie słowa. Więzły mu w gardle. Chciał tylko, żeby żyła, dopóki on żyje, nic więcej.

Dlatego organizację wziął na siebie syn, Karl zaś był zajęty przypominaniem sobie, jak się wstaje, myje zęby, czesze włosy, przeżuwa. Sam pogrzeb był długi, powolny, monotony. Zanim ceremonia się zaczęła, obściskiwali go w nieskończoność ludzie, których ledwo znał. Pilnował się, żeby nie dotykać policzkiem ich policzków. Czuł, że to nie w porządku kłaść dłonie na ramionach kogoś, kto nie był jego żoną.

Usiadł w pierwszej ławie, zerkając na trumnę, ledwo oddychając. Dziwnie było oddychać, gdy ona już nie mogła. Na wieku trumny piętrzyła się góra kwiatów. Pragnął, żeby trumna się otwarła i Evie wyskoczyła z niej na zewnątrz. Ta da! Musiałaby dobrze się wybić, żeby przeskoczyła nad kwiatami.

– Jeśli to taki kawał, wcale się nie pogniewam – szepnął.

Podczas jednej z mów pogrzebowych przypomniał sobie, że powinien wstać. Wygłaszała ją jedyna żyjąca jeszcze przyjaciółka Evie z dawnej pracy. Wszyscy jej pozostali przyjaciele umarli jeden po drugim, jakby walczyli na polu bitwy: padali nieżywi w supermarketach, na trawnikach podczas gry w kule; gaśli w domach starców i szpitalach. Ale ta kobieta nadal się trzymała, stała teraz na mównicy jak dar od Boga, i Karl pomyślał: Życzę ci, żebyś zdechła.

Podszedł do trumny.

– Evie – wyszeptał, obchodząc ją i przesuwając palcami po krawędzi skrzyni.

Dokoła rozległy się pomruki, ale brzmiały tak, jakby ludzie znajdowali się kilometry dalej. Przycisnął twarz do sosnowego wieka. Zamknął oczy. Wciągnął powietrze w płuca.

– Evie – szepnął ponownie, dotykając ustami drewna.

Musiał się upewnić. Chwycił za wieko. I gwałtownie otworzył trumnę.

Leżała w środku, martwa na sto procent, z kamienną twarzą, jakiej nigdy nie widział, ale nie potrafił cofnąć rąk. Nawet wtedy, gdy pastor szarpnął go za łokieć, nawet wtedy, gdy przez wrota wdarł się poryw wiatru i wieko trumny zatrzęsęło się tak dramatycznie i mocno, że przycięło mu palce. Nie poczuł bólu, bo był już przepelniony bólem do granic możliwości.

Chciał to napisać, wystukać palcami, ale mu nie pozwolili, bo chwycili go za ręce, próbując zatamować krew, więc tylko wykrzyczał to najgłośniej, jak mógł:

– JESTEM TU, EVIE! ZAWSZE TU BĘDĘ!

millie bird

– Czubki kilku pańskich palców gdzieś się zapodziały – mówi Millie, chwytając Karla za rękę, kiedy wychodzą z kawiarni.

– Tak – odpowiada, bębniąc w jej dłoń. – Zapodziały się.

Jego usta zaciskają się w linię, jaka robi się u dorosłych, gdy za żadne skarby świata nie chcą o czymś mówić w danej chwili, a może w ogóle. A więc Millie zatrzymuje pytania w sobie, odkładając je w tej części głowy, która zapamiętuje na później. Trzyma Karla za dłoń i pociera czubki jego okaleczonych palców. Może tak bardzo obgryzał paznokcie, że się w porę nie zatrzymał? A może zrobili to myszy, gdy spał? A może ktoś mu je obciął za coś, o czym nie chce teraz mówić? Millie pamięta, że kiedyś mama zagroziła jej czymś podobnym za bębnienie palcami w talerz podczas oglądania Tańca z gwiazdami. „Bo ci je poucinam – powiedziała wtedy, nie odwracając głowy. – Nie prowokuj mnie”. A że Millie nie zamierzała jej prowokować, ani nawet próbować, usiadła na swych palcach, żeby nikogo nie sprowokowały bez jej wiedzy.

Teraz prowadzi Karla do Ogromniastych Damskich Majtek, puszcza jego rękę i wpełza pod spód. Przesuwa majtki na stojaku, żeby Karl mógł zajrzeć w głąb.

– Co ty tam kombinujesz, Poprostu Millie?

– Mówiłam panu – odpowiada, odkręcając wieczko słoika. Otwiera plecak i wyjmuje Piórnik z Ołówkiem Pogrzebowym. Wyciąga świeczkę do podgrzewacza i zapalki i kładzie to wszystko na podłodze. Patrzy na cały zestaw. Po chwili przesuwa wszystko w kierunku Karla.

– Mógłby pan? Proszę.

Karl się rozgląda.

– A wolno tu palić ogień?

– Tak.

On zdaje się rozważać tę odpowiedź, potem kiwa głową. Millie patrzy, jak knot zajmuje się płomieniem. Chwyta się za brzuch i zaciska zęby, próbując ze wszystkich sił nie pamiętać Wieczoru Sprzed Pierwszego Dnia Czekania. Stara się umieścić to w tej części głowy, która zapomina. Podaje Karlowi słoik.

– Do środka poproszę.

Karl ostrożnie wkłada świeczkę i oddaje słoik. Millie przywiązuje go do stojaka i mucha dynda za rzędem majtek w cielistym kolorze.

– Powinien pan coś powiedzieć.

– Ja? – pyta Karl, wskazując siebie palcem.

– Tak, pan – odpowiada Millie, wskazując Karla wskazującego siebie. – To pan to zrobił. Znaczą niezłyka. Nie przykro panu?

Jej głowa odłącza się i widzi tatę zgniatającego pająka butem. Czy jemu było przykro?

– No pewnie – mówi Karl, kładąc dłonie na biodrach. – Pewnie – powtarza. – Ale – dodaje, biorąc głęboki wdech – to mucha.

– Tak. – Millie kiwa głową. – Ma pan rację. To mucha.

Karl patrzy w dół na Millie.

Millie patrzy w górę na Karla.

Karl wzdycha.

– To co powinienem powiedzieć? – pyta.

– A co chciałby pan, żeby ktoś powiedział na pańskim pogrzebie?

Karl patrzy w podłogę.

– Wątpię, by ktokolwiek coś powiedział.

– Cóż – mówi Millie, krzyżując ramiona. – Tak czy siak, musi pan coś powiedzieć.

– Jakim cudem tyle wiesz o tych sprawach?

– A jakim cudem pan nie wie?

fakt o świecie, który millie zna na pewno

Wszyscy wiedzą wszystko o byciu narodzonym, a nikt nie wie niczego o byciu martwym.

To zawsze dziwiło Millie. W szkole są książki z obrazkami pokazującymi na wylot brzuchy mam i zawsze chciała unieść spódnicę ciężarnej kobiecie, żeby się przekonać, czy jej brzuch naprawdę stał się przezroczysty. To miałoby sens, myślała, żeby dziecko oswoiło się ze światem, zanim nań przyjdzie, jak w łódce o szklanym dnie; w przeciwnym razie jakież to byłby szok! Jakże przerażający wydawałby się świat, gdyby dziecko nie dowiedziało się o nim z wyprzedzeniem. Millie widziała też rysunki ludzi kochających się tak bardzo, że mężczyzna dawał kobiecie rybę, a ryba wchodziła do środka kobiety i składała jajeczka i te jajeczka przemieniały się w ludzkie dziecko. Millie wie, że dziecko wychodzi z tego miejsca, którym się siusia, ale dotąd nie widziała obrazków to przedstawiających. Dlatego po kąpieli w oceanie zawsze uważnie obserwuje swoje siku, czy nie ma tam dziecka. Tak na wszelki wypadek.

Dorośli chcą, żeby o tym wiedziała, w przeciwnym razie nie daliby jej tych książek. Ale nikt nigdy nie dał jej żadnej książki o nieżyłkach. Czy to jakiś wielki sekret?

* * *

– No dobrze – mówi Karl. – Mucha, kochana przez tak wielu, pozostanie na zawsze w naszej pamięci. – Odchrząkuje. – Boże, chroń naszą łaskawą królową – intonuje tak cicho, że Millie ledwo go słyszy.

– Głośniej – komenderuje.

Karl śpiewa głośniej:

– Niech żyje nasza szlachetna królowa, Boże, chroń królową.

W trakcie śpiewania Millie widzi w odstępach między majtkami maszerujące nogi. Niektóre przyśpieszają przy wieszaku, inne zwalniają. Jedna para butów zupełnie staje.

– Obdarz zwycięstwem – Karl śpiewa teraz na cały głos, a dołeczki w jego policzkach znów się budzą – szczęściem i męstwem, i długim panowaniem. – Teatralnym gestem unosi ręce, pisząc palcami w powietrzu. – Boże, chroń królową. – Kłania się.

Buty – szerokie, czarne, niezgrabne – wciąż stoją w miejscu, jeden nawet przytupuje. Millie podciąga kolana do klatki piersiowej.

– Skończył pan? – pyta jakaś kobieta.

Karl spogląda mniej więcej w stronę butów. Wybałusza oczy.

– Tak, dziękuję panu. To znaczy, łaskawa pani.

Ręce chwytają go za ramię i pociągają w głąb alejki.

– Idziemy – mówi kobieta.

– Przepraszam pana! To znaczy, panią. Proszę pani! Tak strasznie mi przykro, naprawdę nie miałem na myśli tego, co powiedziałem. Nie sugeruję, że w jakikolwiek sposób przypomina pani mężczyznę!

Millie opiera się o środkowy słupek stojaka.

– Jest pani bardzo kobieca – ciągnie Karl. – Słowo. – A potem: – Przepraszam, przepraszam – i tak w kółko, aż w końcu Millie przestaje go słyszeć.

– O co ten cały raban?! – dobiega z bliska głos innej kobiety.

– Raban – porusza bezgłośnie ustami Millie, pakując Sprzęt Pogrzebowy. Przyciąga plecak do siebie i próbuje się ścieśnić jak najbardziej, jak dzieci w brzuchach swoich mam. Przyciska twarz do metalowego słupka. Na policzku czuje chłód. Słoik z muchą kołysze się na wyimaginowanym wietrze, płomyk świeczki kreśli linie, które pojawiają się i znikają. Millie przesuwa palcami w powietrzu. Nic nie czuje, ale wie, że powietrze utrzymuje wszystkich przy życiu.

Jak więc możliwe, że pachnie jak nic?

Manekin wciąż patrzy na nią przez odstęp między majtkami, a ona odwzajemnia jego spojrzenie. Podoba jej się, że on zawsze na nią patrzy. Dzięki temu ma poczucie, że nie pozwoli, by niezgrabne buty zabrały także ją.

Millie siedzi w tej pozycji aż do chwili, gdy w domu towarowym znów zapada noc. Jej stopy pocą się w kaloszach. Kolana się skleiły. Świeczka w słoiku wciąż się pali, ale ledwo, a migotliwe cienie sprawiają, że majtki łączą się brzegami, stając się najbardziej-olbrzymiasto-ogromniastymi-damskimi-majtkami-na-świecie. I te Najbardziej Ogromniaste Majtki krążą dokoła jej głowy, napierając, aż Millie jest pewna, że splotą się ciasno i ją zaduszą, i wtedy właśnie gaśnie światełko w słoiku, Millie nabiera mnóstwo powietrza, a policzki ma mokre od łez. Wtula twarz w kolana i zaciska mocno powieki.

Słyszy kroki. Złote buty, myśli, złote buty, złote buty, a oddech ma tak przyśpieszony jak u starych ludzi, sapiących głośno, aby dać znać, że wciąż żyją, lecz to nie jest jej mama, bo stopy szurają po podłodze, a mama nigdy tak nie chodzi. Kroki się zbliżają i nagle widać ruchliwy snop światła z latarki i blask skupia się na słoiku z muchą, a kroki są już bardzo blisko, latarka wciąż świeci na słoik, stopy nieruchomieją, latarka przypomina reflektor, jakby statek kosmitów próbował ponieść muchę za pomocą promienia jasności. Millie próbuje wstrzymać oddech, żeby latarka kosmitów nie odnalazła jej w mroku.

Dostrzega coś kątem oka, za snopem światła, jakby iskierkę za majtkami, to manekin wciąż na nią patrzy, a jego oczy wydają się większe, ona zaś czuje coś w brzuchu, coś ją ciągnie, jakby Trzecia Kropka, ale to przecież niemożliwe, a potem manekin przewraca się do przodu, uskakujące stopy krzyczą „O rany!”, latarka upada na podłogę, manekin tak samo, ale wciąż patrzy na Millie, oświetlony teraz przez latarkę, jakby występował na scenie, Millie czuje zaś uśmiech na swojej twarzy, dotyka więc tego miejsca palcami. Chciałaby dotknąć twarzy manekina, bo on też się uśmiecha, do niej, w świetle latarki.

jeszcze jeden fakt o świecie, który millie zna na pewno

Ważne jest, żeby mieć mamę.

Mama podaje ci kurtkę i włącza koc elektryczny przed położeniem cię spać i zawsze wie lepiej, czego chcesz. Czasem mama bierze cię na kolana i pozwala pobawić się pierścionkami na jej palcach, gdy w telewizji leci *Grasz czy nie grasz*.

Mama Millie jest wiatrem hulającym po domu. Zawsze pierze ogrodniczki albo prasuje majtki, albo wyciera kurz z lamp, albo rozmawia przez telefon, albo zamiata podjazd, albo przykrywa rzeczy prześcieradłami.

Włosy ma zawsze mokre od potu i jakby trochę przyklepane, głos jak skrzypce i wygląda na osobę wiecznie próbującą dźwignąć coś ciężkiego. Millie ciągle wchodzi jej pod nogi, choćby z całego serca starała się tego nie robić, nauczyła się więc w końcu siedzieć pod ścianą lub w kącie, przebywać na dworze, kryć się w krzakach i na drzewach.

Czasem przed Wyjściem mama znika na krótko w łazience. Millie podsłuchuje wtedy pod drzwiami, a w środku jest jakby fabryka z tymi wszystkimi brzękami, sykami i pluskami. A potem mama pojawia się z kolorami na skórze i fryzurą jak z żurnala. Słodki zapach podąża za nią jak cień.

Pewnego dnia, gdy mama poszła porozmawiać z sąsiadami, Millie uklękła na podłodze w łazience i otworzyła szafkę pod umywalką. Znajdowały się tam rzeczy, które się wyciskało, i rzeczy, które się wylewało. Tkwiły tam w środku bardzo ciepłiwie. Millie ustawiła je w szeregu na zimnych kafelkach, od najmniejszej do największej. Patrzyła przez długą chwilę na tę kosmetyczną widownię.

– Ehem – powiedziała wreszcie.

Wzięła szminkę i pomalowała sobie płatki uszu, trysnęła perfumami w powietrze, raz, drugi, trzeci, żeby popatrzeć na mgiełkę, posmarowała policzki tuszem do rzęs i wtarła błyszczak w paznokcie. Nagle w drzwiach stanęła mama, więc próbowała usiąść pod ścianą, żeby nie wchodzić pod nogi, ale mama chwyciła ją pod pachy, posadziła na krześle i umyła jej twarz ściereczką. A potem uczesała włosy Millie, pomalowała usta szminką, dodała coś do rzęs i coś na policzki. Była tak blisko niej, a w jej głosie był śmiech, gdy obróciła córkę na krześle, żeby mogła zobaczyć siebie w lustrze.

– Widzisz?

I Millie zobaczyła. Że jeśli chce, może być inną osobą. Nową i Lepszą.

* * *

Teraz, w Drugą Noc Czekania, postanawia uczynić się Nową i Lepszą Osobą. Chciałaby, żeby mama do niej podeszła i powiedziała:

- Przepraszam panią, ale szukam małej dziewczynki. Widziała ją pani?

Wtedy Millie zdjęłaby kapelusz, starła dłonią szminkę z ust i zawołała:

– Mamo, to ja! Millie Bird!

Mama by się roześmiała, chwyciła ją na ręce i zaniósła do samochodu, a Millie pomachałaby domowi towarowemu na pożegnanie.

– Do widzenia, kawiarnio, do widzenia, wielkie majtki, do widzenia, kwiatki w doniczkach, do widzenia, Karl, do widzenia, manekinie.

Pojechałyby z powrotem do domu i Millie usiadłaby na blacie w kuchni, podczas gdy mama kroiłaby warzywa na kolację.

Znajduje więc najładniejszą sukienkę, jaką może znaleźć – jest żółta i w dotyku przypomina chmurę – i wciąga ją na swoje ubranie. Podchodzi do ściany z kosmetykami do makijażu, gdzie na metalowych haczykach wiszą małe czarne etui z plastiku, jakby były wędkarskimi przynętami. Wybiera te, których może dosięgnąć. Starannie nakłada szminkę, cień do powiek i błyszczak, tak jak pokazała jej kiedyś mama. Żeby przejrzeć się w lustrze, musi wejść na stertę książek, ale ani razu z niej nie spada.

– Widzisz? – zwraca się do manekina.

Znajduje czerwony kapelusz z opuszczonym rondem. Lakieruje paznokcie na zielono. Spogląda na swoje nogi, zdając sobie sprawę, że kalosze prawdopodobnie zdradzą jej tożsamość, ale nie zdejmie ich za żadne skarby świata. Mocuje przylepcem po cztery samochodziki Matchboxa do podeszew i zaczyna jeździć po domu towarowym.

Sunie obok stojaków z biustonoszami; jest ich tu całe mnóstwo! Wiszą w szeregu, jak żołnierze czekający na sygnał do boju. Głowa Millie odłącza się i widzi mamę wychodzącą spod prysznicą, włosy mokre i oblepiające głowę, parująca skóra. Cycki wiszą jak balony z wodą, próbują uderzać w siebie nawzajem, gdy mama idzie do szafy. Chwyta wzrok Millie obserwującej, jak nasuwa ramiączka stanika.

– Pewnego dnia sama będziesz takie mieć – mówi.

Millie nie chce mieć cycków. Nigdy. Kiedyś w szufladzie stolika nocnego taty znalazła czasopisma. Cycki sterczały z kobiecych ciał, jakby je można było odpiąć niczym broszkę. Wyglądały nieprzewidywalnie. Roszczeniowo. A potem była ta Naga Kobieta Niebędąca Jej Mamą, która pewnego popołudnia schowała się w łazience.

– Nie widziałas mnie, mała – szepnęła.

Jej sutki przyciągały wzrok jak magnes. A właśnie, że widziałam, pomyślała Millie.

Jedzie do działu z zabawkami i zaczyna ściągać gry planszowe z półki. Układa je w szeregu przed manekinem. Jest „Twister” i „Monopol”, i „Zgadnij kto to?”, i „Pułapka na myszy”, i warcaby, i tryktrak, i „Bitwa morska”, i „Operacja”, i scrabble, i „Głodne hipcie”, i „Connect 4”. Nie umie grać w żadną z nich, dlatego po prostu rzuca kostką, raz jako Millie, drugi raz w imieniu manekina, i przesuwa figury, okręty wojenne próbują zatopić hotel, ludziki ze „Zgadnij kto to?” są publicznością w „Pułapce na myszy”, a hipcie pożerają warcaby.

– Poszłam za nim po tym, jak uderzyłeś go w głowę – zwraca się do manekina, zakładając sobie miseczkę biustonosza na usta i związując ramiączka z tyłu głowy. – To dla higieny – wyjaśnia nieco stłumionym głosem, myśląc o szpitalnych serialach, które ogląda jej mama. – Poszedł tam – dodaje, wskazując biuro na końcu domu towarowego. Literami ze scrabble’a zapełnia postać z „Operacji”. – Przyłożył sobie do głowy paczkę mrożonego groszku. – Delikatnie wyjmuję literę M z brzucha operowanej postaci. – I zasnął. Klucz zostawił w drzwiach. – Podnosi klucz z uśmiechem. – Zamknęłam. – Klepie manekina po głowie. – Jestem ci dłużna – szepcze mu do ucha.

Na kolację Millie zaprasza ludziki ze „Zgadnij kto to?”, manekina, konika na kiju – bo może postacie ze „Zgadnij kto to?” będą mniej stremowane, jeśli zjawi się ktoś jeszcze mający wyłącznie głowę – i psa zabawkowego, który wygląda dokładnie jak Rambo. Sadza wszystkich przy największym stole w dziale meblowym. Stół jest co najmniej dwa razy większy od tego w jej domu, nie znaczą go żadne kręgi po kawie, krople parafiny ani jej imię wypisane na jednej z nóg, a serwetki, maty pod nakrycia, talerze i miseczki są wszystkie białe i identyczne.

Dźwiga manekina na krzesło u szczytu stołu i obok sadza Rambo na macie. Podoba jej się, jak ludziki ze „Zgadnij kto to?” i konik patrzą na nią z naprzeciwka, jakby oczekiwali, że zrobi coś ważnego.

– No dobra – mówi, odjeżdża na „wrotkach” i wraca z garściami serpentyn.

Rozrzuca je po stole, owija wokół krzeseł i zawiązuje kokardki na widelcach.

Obok manekina Millie przygotowuje miejsce dla mamy.

Tak.

Na.

Wszelki.

Wypadek.

Przysuwa sobie krzesło, między manekina a Rambo, otrzepuje sukienkę i poprawia kapelusz. Czuje na sobie spojrzeń manekina.

– O co ci chodzi? – pyta. – Coś ją zatrzymało. – Odchrząkuje. – Dobry Boże – ciągnie, składając dłonie do modlitwy, zerkając na manekina spod opuszczonych powiek – dziś na początek podamy zupę z fanty, na główne danie węże i dinozaury oraz sałatka z liści mięty, a na deser puchar bananowy. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. – Napęlnia szklankę sokiem grejfrutowym. – Ale najpierw toast.

Wstaje i stuka się szklanką ze wszystkimi gośćmi. Po chwili jeszcze raz, bo w tym dźwięku jest muzyka, szybciej i szybciej, zaczyna jeździć dokoła stołu, dzyng! dzyng! dzyng! a potem w odwrotnym kierunku, dzyng! dzyng! dzyng! dzyng!

Siada u szczytu stołu zamiast na swoim miejscu, bo to ona jest tutaj szefem, i wszyscy jedzą i mówią o tym, jak pies sąsiadów sady duże kupy na ich trawniku i jak to pani Pucker zawsze dostaje pocztą świetne kosmetyki do makijażu, ale to i tak jej nie pomaga, a Ablett to chyba pluje sobie w brodę, że zmienił klub, bo jego nowa drużyna gra jak banda patałachów. Przez cały czas manekin wpatruje się w Millie bez mrugnięcia okiem, bez słowa.

kolejny fakt o świecie, który millie zna na pewno

Nie wie, gdzie jest jej tata.

Kiedy odwiedziły tatę na cmentarzu, okazało się, że siedzi w małej skrzynce w ścianie.

– Tata by się tam nie zmieścił.

– To magiczna skrzynka – odparła mama.

– Jak to magiczna?

– Po prostu. Jasne?

– Mogę zajrzeć do środka?

– Gdybyś zajrzała, magia przestanie działać.

– To tak jak ze Świętym Mikołajem?

– O, właśnie, jak ze Świętym Mikołajem.

Dała puszkę rodzynków Perry’emu Lake’owi, jednemu z dużych chłopaków w szkole, który wiedział wszystko o wszystkim.

– Co się dzieje z ciałem, jak ktoś umiera?

Wepchnął sobie garść rodzynków do ust i zaczął żuć.

– Zależy – odparł.

– Od czego?

– Od tego, ile masz jeszcze takich puszek z rodzynkami.

Nazajutrz Millie obróciła plecak do góry dnem i wytrząsnęła z niego stos puszek z rodzynkami. Perry otworzył jedną i wsypał sobie zawartość do ust.

– Twardnieje.

– Twardnieje?

– No tak. I robi się zimne.

– Zimne?

– Tak.

– Jak plastik?

Wzruszył ramionami.

– Może.

– Kurczy się?

– Kurczy?

– No czy się kurczy?

Rzucił rodzynek do góry i złapał go zręcznie w usta.

– Ciało umarłego się nie kurczy.

* * *

Millie polewa syropem czekoladowym czubatą salaterkę cukierków o smaku banana, gdy nagle pewna myśl przychodzi jej do głowy. Kładzie rękę na dłoni manekina.

– Nie zrozum tego źle – mówi, czując pod palcami twardą i zimną powierzchnię. – Ale...

– Zagląda mu w twarz. On patrzy na nią, jakby był narysowany. – Czy ty jesteś niezłynek?

czekanie, dzień trzeci

Millie siedzi w biurze na tyłach domu towarowego. Za dnia wygląda to inaczej. Jest biurko z długopisami, papierem i spinaczami ułożonymi starannie obok siebie, a także tacka na korespondencję przychodzącą i tacka na korespondencję wychodzącą, na których nie ma żadnej korespondencji. Na środku biurka leży złożona żółta sukienka, którą Millie miała na sobie ostatniego wieczoru. Na ścianie z boku zamontowany jest duży ekran telewizyjny. Millie pstryka w kółka resoraków przyczepionych do podeszew kaloszy.

Otwiera *Księgę Nieżyłków*, rozkłada ją na płask i wygładza kartki. Patrzy na swój rysunek przedstawiający magiczną skrzynkę taty. Kreska pulsuje. Jakby ożywiało ją bijące serce. Teraz Millie już wie o łącznikach. Że można nosić ich dużo w kieszeni. „Harry Bird – głosi rysunek. – 1968–2012. Kochany mąż i ojciec”. Millie wypowiada głośno ostatnie słowa.

* * *

– Kochany przez kogo? – spytała.

Stały z mamą, trzymając się za ręce, i patrzyły na magiczną skrzynkę taty, jakby to był obrazek.

– Przez ciebie – odpowiedziała mama.

– I ciebie też?

Mama odchrząknęła.

– Oczywiście.

Millie patrzyła, jak mama wciąż obraca na palcu obrączkę. W tym tygodniu znowu zaczęła ją nosić.

– I jeszcze przez kogoś?

– Tak, Millie.

– To dlaczego nie napisano?

– Millie!

Mama wyrwała rękę z jej uścisku, uklękła na ziemi i ukryła twarz w dłoniach.

Millie zastygła.

– Mamo?

– Bo nic nie jest za darmo, Millie! Nawet to cholerstwo kosztuje. – Mama wstała i ruszyła do samochodu, patrząc przed siebie. – Chodź!

Millie zerknęła jeszcze raz na magiczną skrzynkę taty, po czym poszła za mamą.

Kiedy wieczorem wpadły z wizytą Panie Od Tenisa, jedna z nich objęła Millie i powiedziała:

– Jego ciało odeszło, ale jego dusza zawsze będzie z nami.

– A więc to dusza jest w magicznej skrzynce? – spytała Millie.

– Jego dusza jest w tobie – odparła kobieta, przykładając jej dłoń do klatki piersiowej.

Millie spojrzała na obcą rękę.

– A jak się tutaj dostała?

– Nie musiała się dostawać, zawsze tu była.

– Co?

– Dobrze wychowane dziewczynki nie mówią „co”.

– A co?

– Dobrze wychowane dziewczynki mówią „słucham”.

– Słucham?

– Grzeczna dziewczynka.

Pani Od Tenisa wyprostowała się, żeby porwać mamę w ramiona.

– Słucham? – powtórzyła Millie, ale kobieta jej nie usłyszała.

Nazajutrz poszła do osiedlowego sklepu. Napełniła szkolny plecak rodzynekami i wyszła, podczas gdy pracująca tam dziewczyna chichotała z chłopcem, który tam nie pracował.

– Co to jest dusza? – spytała Perry’ego Lake’a, pokazawszy mu rodzyнки.

– Dusza to jak serce, tylko że siedzi w brzuchu.

– A jak wygląda?

– Jak duży rodzynek – odparł, zerkając na puszkę.

Zasunęła zamek błyskawiczny i zasłoniła sobą plecak.

– Co się z nią dzieje, kiedy człowiek umiera?

– Wypada.

– Wypada?

– Tak. Jak łowisko.

– Co to jest łowisko?

– To, co wypada z kobiety. Jak kobieta ma dziecko czy coś.

– I co z tym robią?

– Chowają do lodówki, a potem zjadają.

– Duszę, tak?

– Nie, łowisko. Duszę się przechowuje.

– Gdzie?

– W innej lodówce.

– Gdzie?

W oddali rozbrzmiał dzwonek. Obok przebiegły gromady dzieci, wrzeszczących i roześmianych.

– Gdzieś – odparł Perry, wywracając oczami. – Nie wiem. Przecież ja nie wiem WSZYSTKIEGO. Mogę dostać, chociaż nie wiem? – Wyciągnął rękę. Miał długą, cienką, kościstą dłoń. – No, daj te rodzyнки.

* * *

Drzwi do biura otwierają się gwałtownie. Millie czuje powiew powietrza ciągnący za ubranie jak odkurzacz. Prostuje się na krześle, zamyka Księgę i chowa ją za plecy. W progu staje jakaś kobieta, prowadząca rozmowę z kimś niewidocznym.

– A może kolacja u mnie dziś wieczorem? – pyta cicho.

– Nie da rady, Helen – odpowiada męski głos.

– Nie? Zrobię coś meksykańskiego.

– Jestem zajęty.

– A jutro?

– To samo.

– Daj więc znać, jak będziesz wolny.

– Helen, będę zajęty aż do końca życia.

– Dobrze, skoro tak – odpowiada kobieta rażno, głośniej – przyniosę ci tę maść na siniaki.

Posmarujemy i zaraz zniknie.

Millie widzi plecy oddalającego się mężczyzny.

– Nie dam ci dotknąć mojej twarzy.

– Jak chcesz, Stan. Ale jakby co, daj mi znać, tak? – mówi kobieta do znikających pleców.

Odwraca się w stronę Millie.

Jak na dorosłą osobę jest niewysoka, ale za to rozłożysta, jakby jej wzrost rozprzestrzenił

się na boki. Guziki przylegają do bluzki jak ludzie wiszący nad przepaścią. Millie zerka na buty. Małe, czarne, niezgrabne.

– Dobra! – mówi kobieta, jakby nie mogła uwierzyć, jak ekscytujące jest to słowo, gdy się je wypowiada.

Osuwa się ciężko na krzesło po drugiej stronie biurka. Ma różowe i pulchne policzki.

– Toś się nieźle urządziła, co?

Chwyta pilota z biurka i kieruje go ku ścianie. Telewizor ożywa. Na ekranie pojawia się Millie. Obraz jest niewyraźny, czarno-biały, i nie ma dźwięku, ale to z całą pewnością Millie. Podchodzi do okna, patrzy na zewnątrz. Wystawia język. Wyjmuje klucz z zamka i się oddala.

Helen wciska pauzę. Prawdziwa Millie patrzy na Millie telewizyjną. Co za dziwne uczucie widzieć siebie w trakcie robienia czegoś, co już się zrobiło i czego cofnąć nie można.

Prawdziwa Millie patrzy wyzywająco na Helen. Helen unosi brwi. Prawdziwa Millie rewanżuje się tym samym.

co robiła millie poprzedniego wieczoru

Millie знаła drogę do domu, ale była pewna, że jej mama sprawdzi, czy córka robi to, co jej kazano, czy wie, jak być grzeczną dziewczynką. A więc po rozmowie z manekinem przy kolacji Millie postanowiła ułatwić мамie jej znalezienie. Wykorzystując farby z działu z wyposażeniem wnętrz, napisała na szklanych automatycznych drzwiach TUTAJ MAMO literami tak dużymi, jak wysoko mogła sięgnąć. W lustrzanym odbiciu oczywiście, żeby mama mogła to przeczytać z zewnątrz. Ułożyła elementy z „Connect 4” w taki sposób, że utworzyły prawoskrętną strzałkę, i ustawiła stojak w pobliżu wejścia. Przekręciła ręce wszystkich manekinów ustawionych w alejkach, aby wskazywały kierunek, w którym powinna podążać mama. Niektóre trzymały wywieszki. „Cześć, mamol”, głosiła jedna. „Idź dalej”, mówiła inna. „Przystań tutaj na przegryzkę”, zachęcał następny manekin, któremu Millie włożyła do odwróconej dłoni żelki owocowe. Ludziki ze „Zgadnij kto to?” zostały ułożone w strzałkę, domy z „Monopolu” wskazywały skręt w lewo, strzałka z „Twistera” kierunek na wprost. Każdy z dziewięciu manekinów stojących najbliżej majtek trzymał kawałek papieru z jedną literą, razem tworząc napis TUTAJ MAMO. Manekin w hawajskiej koszuli dostał „o”. Połączyła haftkami kilka biustonoszy, rozpięła je od ręki manekina w poprzek alejki i zawiązała drugi koniec na stojaku z Ogromniastymi Damskimi Majtkami, jakby to była meta. Cały ten szlak Millie udekorowała lampkami bożonarodzeniowymi, które znalazła w koszu z przecenionymi artykułami, a potem – wystawiając czubki swoich czerwonych kaloszy na widok – położyła się pod wielkimi majtkami i czekała.

Ale buty, które nadeszły, nie były złote.

* * *

– Ty jesteś z tamtym mężczyzną? – pyta Helen. – Z tym, co śpiewa? – Otwiera szufladę biurka i zaczyna układać wszystko w równym szeregu na blacie. Papierek po toberone.
– Sprawiał przemiłe wrażenie. – Kartonik po soku. – Ale chyba jest lekko stuknięty. – Słoik z muchą. – Lekko teges. – Dwie garście papierków po lizakach. – Rozsypuje je na biurku, upuszczając wysoko znad głowy, jakby chciała pokazać Millie, jak pada deszcz. – Kuku na muniu. Nie? Oczywiście, że nie. Przepraszam. – Żelek owocowy. – Ale jest spowolniony? Troszkę? – Nachyla się nad biurkiem i szepcze: – Opóźniony? – Zaslania dłonią usta. – Och. Oczywiście, że nie. Przepraszam. Nie wierzę, że to powiedziałam. Nie chciałam go wyrzucać ze sklepu, jakoś tak wyszło. Stan utrzymuje bardzo wysokie standardy w tym miejscu.

– W zamyśleniu przesuwając palcami po żelku. Nachyla się w stronę drzwi. – Jest bardzo specyficzny – mówi głośno. Prostuje się. – Czy ten mężczyzna, ten, co śpiewa, czy on ma jakiś loch albo coś? – Znika pod biurkiem, wyłania się ze stertą gier planszowych i stawia chybotały stół na blacie. „Connect 4”, „Bitwa morska”, „Twister”, „Monopol”. Opiera się łokciem na stercie. – Pejczy i tak dalej? Kajdanki? Chyba nie zakuwa nikogo w łańcuchy, co?

– Zaprzyjaźniliśmy się wczoraj – odpowiada Millie.

– To po prostu stary facet – ciągnie Helen. – Można być starym samotnym mężczyzną kręcącym się wokół małych dziewczynek i zarazem całkowicie normalnym człowiekiem. Prawda? – Znowu nurkuje pod biurko, po czym wyłania się i wstaje, w jednej ręce trzymając plecak Millie, a w drugiej otwarty kubełek z farbą. – Ta da! – Farba chlupocze i wylewa się na podłogę. – Takie jest społeczeństwo, wiesz? – Helen zastyga, stawia plecak i kubełek na biurku, odsuwa na bok stertę gier i siada na blacie. – Czy to wszystko – kręci palcem wycelowanym w twarz Millie – dla niego? Makijaż?

Millie przesuwając dłonią po ustach. Na wierzchu dłoni widać czerwoną smugę, jak barwa wojenna.

– Chce mi się jeść.

– Och, przepraszam, skarbie. Miałam ciastka. Ale Stan... – Odwraca głowę do drzwi i dodaje głośniej: – Stan je zjadł. Zjada moje ciastka, jak ma ochotę.

Czeka, nasłuchując z uchem skierowanym w stronę drzwi.

W progu staje Stan i Helen podskakuje. Millie wstrzymuje oddech. To ochroniarz z poprzedniego wieczoru. Ma podbite oko. Rozmawia przez telefon komórkowy, wlepiając wzrok w Millie i obmacując palcami spuchniętą kość policzkową.

– Zaliczyłem już Cosby Show, więc chciałem jakąś inną płytę, tak? – mówi do aparatu.

– Nie wiedziałem, że zostanę zaatakowany. – Wciąż patrzy na Millie. – Helen wypuściła mnie rano. – Millie czuje napięcie w całym ciele. – Czeka, mam, sekundę. – Zakrywa dłonią telefon. – Dałabyś jej coś do jedzenia, Helen. Zanim przyjadą.

Kobieta zeskakuje z biurka.

– No jasne – odpowiada i otwiera drugą szufladę. Jest zarumieniona. – Mentosy? Są zaskakująco sycące.

– Kto ma przyjechać? – pyta Millie.

– Jestem na diecie – mówi Helen. – Atkinsa? Na diecie Atkinsa jestem? Czy tej od CSIRO? Trzeba wachać to, co chce się jeść. Fantastyczne. – Zerka kątem oka na Stana. – Nie żebym musiała. – Zrywa papierek z mentosów, wrzuca sobie dwa do ust i zaczyna chciwie żuć. – To znaczy, nie muszę być na diecie, o to mi chodzi. Nie należę do kobiet, które nie mogą spać z takiego powodu. Bardziej chodzi o to, żebym traktowała siebie tak, jak na to zasługuję. To dodaje sił.

Stan przewraca oczami.

– Helen, daj jej coś porządnego, dobra? Zaraz tu będą. Przed nimi kawał drogi, więc musi być nakarmiona. – Rzuca Millie ostatnie spojrzenie, odwraca się i odchodzi. – Hm? – pyta do aparatu, oddalając się. – Nie, to mała dziewczynka. Nie zamierzam stawiać żadnych zarzutów, mam, mam! Nie zamierzam. Ktoś ją tutaj zostawił, tak? Pewnie mu się nie przelewa.

– Uroczy jest, prawda? Stan! – Helen wygląda przez drzwi, wypluwając mentosy w chusteczkę.

– Kto ma przyjechać? – pyta znowu Millie. Czuje, jak ścisną ją w żołądku. – Moja mama przyjdzie – dodaje. – Ona się tylko zgubiła.

– Skarbie – wzdycha Helen, wrzucając chusteczkę do kosza na śmieci obok swoich nóg i ocierając dłoń o spódnię. – Na pewno przyjdzie.

– Mój tata umarł. Ale mama po mnie przyjdzie.
– Och, skarbie. – Kobieta obchodzi biurko i kuca przed Millie. Bierze jej dłoń w swoje ręce. – A jak umarł? Och, nie mów. – Sprawia wrażenie, jakby zaskakiwały ją słowa wychodzące z jej ust, jakby wypowiadał je ktoś inny. – Nie mów. Jak nie chcesz. Ale jak chcesz, to powiedz. Jak? Co to było, że umarł? Był nałogowym hazardzistą? Troszkę? Był w coś zamieszany?

– Zamieszany?
– W prochy? – szepcze Helen.
– No, dawali mu proszki w szpitalu.
– Czy to był szpital dla umyślowo chorych?
– A co to?
– Zapomnij, że cokolwiek mówiłam.
– Miał raka.
– Och, słoneczko, ja też kiedyś miałam raka. To znaczy myślałam, że mam. Okropny czas. Okropny. Ale okazało się, że to był tylko duży czyrak.
– Mama po mnie przyjdzie.
– Na szyi, o tutaj. Okropny czas. Co? No jasne, skarbie. Oczywiście, że przyjdzie. W kieszeni Helen dzwoni telefon. Kobieta zrywa się na nogi i odbiera.
– Tak, tak. Jest tutaj. Oczywiście, tak. – Rozłącza się. – Och, słonko, już jadą po ciebie.
– Kto?
– Ludzie z Pogotowia rodzinnego. Potrafią się fantastycznie zająć porzuconymi dziećmi.
– Porzuconymi?
– Znajdą ci inną mamę i tatę na pewien czas. Dopóki nie odnajdą twoich rodziców. Przez otwarte drzwi Helen patrzy, jak Stan śmieje się razem z młodą praktykantką.
– Ale mama kazała mi tutaj czekać.
– Wiem, skarbie, wiem. Tylko że – wzdycha i podchodzi do drzwi, kładzie dłoń na framudze i patrzy na Stana – niektórzy ludzie nie zawsze mówią to, co myślą.

Millie ściska mocno za plecami *Księgę Nieżyłków*.

Helen odwraca się gwałtownie. Jej ciało trzęsie się pod bluzką. Ludziki-guziki rozpaczliwie czepiają się urwiska.

– Nie martw się, skarbie. Oni będą cię kochać. Jesteś urocza. A teraz, kochanie, zaczekaj tu grzecznie. Tak? Obiecujesz? – Milknie i obie patrzą na siebie. – Przyniosę ci sok. I ciastka. Tak? – Wychodzi, nie czekając na odpowiedź.

Millie patrzy za oddalającą się Helen, dopóki tamta nie zniknie z jej pola widzenia. Chce się jej wymiotować. Za otwartymi drzwiami przechodzi mały chłopiec z mamą.

– Ale ja chciałem niebieski! – piszczy dzieciak. A Millie pragnie wykrzyknąć mu w twarz: „A ja chcę moją mamę!”.

Zrywa Matchboxy z kaloszy i zsuwa się z krzesła. Chwyta plecak i wkłada samochodziki do środka. Zerka szybko przez drzwi. Nie ma Helen. Nie ma Stana. Bierze głęboki oddech i puszcza się biegiem w stronę kawiarni. Plecak podskakuje na jej plecach. W głąb alejki ze szczotkami, ścierkami i mopami w jaskrawych kolorach. Obok punktu fotograficznego, ludzi przeglądających zdjęcia na jasnych ekranach. Obok płyt kompaktowych i telefonów, obok urządzeń elektrycznych. Millie kryje się za tekturową postacią znanej piosenkarki, gdy nagle dostrzega Stana szperającego wśród płyt DVD, mrużąc pod nosem:

– To mam, to mam, tego nie chcę, tego też.

Dzwoni jego telefon.

– Tak? Tak, tak. Będę.

Rusza dalej, nie zauważając Millie.

Karl siedzi na swoim stałym miejscu w kawiarni. Millie kryje się za swoją stałą donicą z kwiatami. Przy ladzie dostrzega Helen.

Bu-bum, bu-bum, bu-bum.

– Jakiś mały kawałek ciasta poproszę – mówi Helen do dziewczyny za ladą. – Może być marchewkowe. No, może dwa kawałki poproszę. Tak, ten. Świetnie, dziękuję, o, trzy to w sam raz.

– Karl – szepcze Millie.

On się prostuje i odwraca do donicy.

– Mm, tak?

– To ja, Millie. – Wystawia głowę zza paproci.

– Ach, Proszę Millie! Gdzieś ty się podziewała?

Spod osłony liści Millie szybko relacjonuje ostatnie wydarzenia:

– Najpierw manekin uratował mi życie. Potem ukradłam klucz. Potem ochroniarz był zamknięty w środku. Potem zjedliśmy kolację. Był Rambo. I konik na kiju. I ludziki ze „Zgadnij kto to?”. I manekin też. Później was ze sobą zapoznam. A potem spytałam manekina, czy jest nieżyłkiem. A potem próbowałam pomóc mamie. Potem Helen chciała mi dać sok i ciastko, ale nie wzięłam ani jednego, ani drugiego. A potem się okazało, że mają przyjechać moi nowi rodzice. No to uciekłam. Teraz znalazłam ciebie. Będziesz to jadł?

Karl podaje jej babeczkę.

– To wszystko – mówi Millie z pełnymi ustami.

– Przed kim uciekłaś?

– Przed nią. – Millie wskazuje i jednocześnie nurkuje za donicę, bo Helen rozmawia ze sprzedawczynią w odległości niecałych dwudziestu metrów.

– To nie dla mnie. Ja jestem na diecie. North Beach? Kate Moss ją stosuje. Można przyswajać wszystko, co się lubi.

Gdy Helen przechodzi obok, wracając do biura, Karl odwraca głowę w przeciwną stronę.

– Mówisz, że uciekłaś? – Wstaje. – No dobra.

– Dobra?

– Wyprowadzimy cię stąd. Natychmiast – mówi głośno.

Dziewczyna za ekspresem podnosi na niego wzrok.

– Cicho! – szepcze Millie.

Karl siada.

– No tak, przepraszam. – Macha ręką do dziewczyny.

– Ale musimy iść.

– Tak – odpowiada i znowu wstaje.

Docierają do stojaka z ogromnymi majtkami, trzymając się mniejszych alejek między głównymi. Manekin w hawajskiej koszuli patrzy na Millie. Ona nie potrafi odwrócić wzroku.

– Łap go.

– Co?

– Dobrze wychowani panowie mówią „słucham”.

– Słucham?

– Zabieramy go.

– Jego?

– Tak.

– Dlaczego?

– Uratował mi życie.

Karl patrzy na Millie, potem na manekina i znów na Millie.

– Dobrze – mówi, ponownie za głośno. – Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi.

– Ćśśś.

– Och, racja. – Chwyta manekina w objęcia, jakby chciał go przytulić w tańcu.

– Gotowy? – pyta Millie.

– Gotowy.

Przekradają się obok urządzeń elektrycznych, przyborów kuchennych, kolorowanek, ręczników. Jakaś kobieta próbuje spryskać Karla perfumami. On chichocze. Wyjście znajduje się zaledwie kilka metrów dalej – połyskuje oślepiająco pośrodku wszystkiego. Biegną teraz, robiąc widowisko, ale wydaje się, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Chyba się uda.

– Jesteśmy niewidzialni – mówi Millie.

– Tak – odpowiada Karl.

Spoglądają na siebie z uśmiechem. Uda im się.

Ale chwilę później Millie widzi ludziki ze „Zgadnij kto to?” patrzące z dołu i jest za późno na ostrzeżenie, Karl zahacza stopą o ich twarze i nurkuje głową w koszu z przecenionymi artykułami, wypełnionym światełkami bożonarodzeniowymi. W tej samej chwili wywraca się Millie, uderzając czołem w bok kosza. Karl upuszcza na nią manekina, noga odpada i koziołkuje po podłodze.

Wtedy rozbrzmiewają dwa słowa, których Millie nie chce słyszeć:

– Tutaj jest!

Nadchodzą Helen i Stan w towarzystwie mężczyzny i kobiety w niewygodnych eleganckich ubraniach. Nowi Rodzice.

– Szybko, Karl! – woła Millie, wstając. Pociera bolącą głowę, ciągnąc mężczyznę za ramię.

Ale Karl zaplątał się w lampki bożonarodzeniowe, a jego szamotanina tylko pogarsza sprawę.

– Łap go, Stan! – krzyczy Helen, rzucając się biegiem za ochroniarzem. – Myślę, że on... To znaczy... Nie chcę wyciągać pochopnych wniosków... Ale... Każdy by... Na podstawie tego, co widziałam... Najprawdopodobniej jest... Zdecydowanie... Tak myślę.

Karl wciąż wymachuje nogami i rękami we wszystkie strony, gdy Stan ich dopada. Chwyta go mocno za łokieć i pomaga mu wydostać się z kosza.

– Dobra, ty stary, sprośny skurwielu – mówi. – Zabawa skończona.

– Och, Stan! – sapie Helen, dobiegając do nich bez tchu. – Udało ci się! – Kładzie mu dłoń na ramieniu i jej oczy się rozszerzają. – Jesteś taki silny.

Karl nie patrzy na dziewczynkę, ale mówi kącikiem ust:

– Więcej, Millie, więcej. Znajdę cię.

Za to ludziki ze „Zgadnij kto to?” patrzą na nią, jakby oczekiwały, że coś zrobi, więc Millie chwyta nogę manekina i działa, to znaczy kluczy przez las ludzi, między, obok, pod. „WiejMillieWiej”, nuci, biegnąc ile sił w nogach przez drzwi i parking. Pędząc, zerka przez ramię i widzi, są tam, na swoim miejscu, litery zbiegające się i rozbiegające wraz z ruchem otwieranych i zamykanych automatycznie drzwi, tworzące napis: TUTAJ MAMO.

* * *

Millie podchodzi ścieżką do domu, kładzie nogę manekina na schodku i próbuje otworzyć drzwi. Są zamknięte. Wyjmuje zapasowy klucz spod wycieraczki, wsuwa go do zamka, rozgląda się, aby sprawdzić, że w pobliżu nie ma radiowozu z poszukującymi jej policjantami, i wchodzi do środka. Zimno i ciemno. Jest zmęczona biegiem przez całą drogę.

– Mamo! – woła z progu.

Zagląda do kuchni.

– Mamo!

Słowo odbija się od ścian. W zlewku piętrzy się stos naczyń, a w koszu na śmieci coś śmierdzi. Millie wchodzi do salonu.

– Mamo!

Kanapa wydaje się ogromna od ziejącej z niej pustki, a ekran telewizora jest wielką czarną dziurą pośrodku ściany. Dlaczego nigdy dotąd nie zwróciła uwagi na to, jak wielki i czarny jest ten ekran, że wygląda tak, jakby za przyciśnięciem włącznika mógł wessać cały dom?

Na stoliku stoi ojcowski ochładzacz do napojów. Millie podnosi go do światła wpadającego przez okno. W promieniach słońca tańczą drobinki kurzu. Pociera palcami materiał. Jest czarny, z mapą Australii po jednej stronie i cysnącą kobietą w bikini po drugiej. Millie wsuwa sobie ochładzacz na rękę i pociera nim o policzek.

Wchodzi do sypialni rodziców. Pościel po stronie mamy jest skłębiona. Kładzie się na moment pod kołdrę, naciągając ją na głowę. Tutaj też jest zimno i ciemno. Sięga ręką na stronę taty, odgarnia kołdrę, wstaje i przykładą dłoń do drzwi szafy, jakby chciała zostawić na nich ślad. Zaciska powieki i rozsuwa drzwi. Otwiera oczy i widzi tylko wieszaki z drutu. Jak ramiona szkieletów.

Siada na łóżku i przeczesuje palcami powietrze, nic nie czując. Chciałaby powiedzieć: „Przepraszam, mamo, tak mi przykro, że tak zrobiłam”.

i jeszcze jeden fakt o świecie, który millie zna na pewno

Czasem wszystko, co można powiedzieć, to „przykro mi”.

– Co się powinno mówić, gdy ktoś umiera? – spytała szeptem tatę, gdy mama oglądała *Grasz czy nie grasz*.

Umarła siostra szkolnej koleżanki i nauczycielka kazała Millie zrobić kartkę okolicznościową.

– Mills, dziecinko – odparł szeptem tata, biorąc ją na kolana. – Nikt nie zamierza umierać. Zmarszczyła czoło.

– Wszyscy umrą.

– Posłuchaj – odrzekł i nagle zamilkł. Chwycił ją pod pachy i obrócił twarzą do siebie.

– Tak. Owszem. Ale nikt z tych, których znasz.

– A właśnie że wszyscy, których znam.

– Ale nie tak szybko.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem.

– O czym, do licha, wy dwoje rozmawiacie? – spytała mama, gdy w telewizji zaczęły dudnić reklamy.

– Mamusiu, co się mówi przyjaciołom, gdy umierają ludzie, których oni kochają?

– spytała Millie, patrząc na tył jej głowy.

Mama odwróciła się i rzuciła tacie Spojrzenie. Chwyciła Millie za obie ręce i zajrzała jej w twarz.

– Nie musisz wiedzieć takich rzeczy – odparła. – Jesteś jeszcze dzieckiem. Małą dziewczynką. Powinnaś, ja wiem, bawić się lalkami. W biuro. W sklep.

Millie wzruszyła ramionami.

Mama wyprostowała się w fotelu i zerknęła na nią.

– O kogo chodzi?

– O siostrę Bec. Ze szkoły.

Na ekranie znów pojawiło się *Grasz czy nie grasz*.

– Wyślij im kartkę – powiedziała mama, odwracając się z powrotem do telewizora.

– Napisz coś miłego.

– Ale co?

– Na przykład... Gram! Żartujesz? Bierz te pieniądze!

Tata położył Millie dłoń na głowie. Poczowała jej ogrom.

– Napisz, że ci przykro.

– Ale to nie moja wina.

– Oczywiście, że nie. Napisz, że współczujesz jej z powodu tej straty. – Objął Millie i przycisnął ją do piersi. – Po prostu bądź życzliwa, to wszystko.

Później, gdy tata umarł, mama przesiadywała przed telewizorem co dzień od świtu do nocy i wreszcie Millie położyła jej rękę na ramieniu i powiedziała:

– Przykro mi z powodu twojej straty.

Mama przytuliła ją tak mocno, że prawie nie można było oddychać, i odpowiedziała:

– Mnie też jest przykro z powodu twojej straty.

* * *

Teraz, wyglądając przez okno w sypialni rodziców, wypatrując na ulicy radiowozu policyjnego, napotyka na spojrzenie starej kobiety z przeciwka. Ona też wygląda przez okno w swoim domu. Ona też, Millie to wie, straciła kogoś. Nie ma pojęcia, skąd to wie, ale wie. „Przykro mi z powodu twojej straty”, porusza ustami bezgłośnie, powoli i starannie, przyklejona czołem do szyby. Stara kobieta gapi się na nią. A potem zaciąga zasłony.

agatha pantha

Przez całe małżeństwo Agatha Pantha starała się jak mogła unikać kontaktu z nagim ciałem męża. Nazbyt przypominało konika polnego, powyginane i cienkie. Kości wydawały się zaskoczony tym, że się znajdują w tym ciele, sterczały pod skórą, jakby chciały się wydostać na zewnątrz. W noc poślubną, gdy rozsunął suwak w jej sukni w ten oślizgły sposób, który wkrótce stał się tak nieznośnie swojski, dostrzegła jego członek, połyskujący w poświęceniu księżycu jak miecz dobyty z pochwy. Wreszcie zrozumiała, dlaczego on zawsze chodzi tak, jakby ktoś go popychał w plecy. Członek wydawał się nieproporcjonalnie wielki w porównaniu z resztą ciała. W trakcie zbliżenia mąż w kolejnych odślonach rozkładał swe ciało, jak gdyby było czarodziejską sztuką. Patrzyła na niego zamglonymi oczami, próbując wzrokiem wetrzeć jego nagie członki w ściany. On sądził, że to jej Erotyczne Spojrzenie, które człowiek ćwiczy przed lustrem, gdy dowiaduje się, że istnieje coś takiego jak seks.

Kiedy sprawa dobiegła końca, potruchał do toalety, Agatha zaś naciągnęła kołdrę pod brodę, wyobrażając sobie, że jego członek huśta się między nogami w trakcie marszu jak orangutan między drzewami w dżungli. Gdy tak leżała w oczekiwaniu na jego powrót, nie czuła zaskoczenia, szoku ani nawet gniewu; czuła rozczarowanie. Rozczarowanie, że ludzkość nie wymyśliła nic lepszego jak to, że mężczyzna wlezie na nią i przylepi się jak kawałek ugotowanego szpinaku.

Przypomniała sobie chwilę, kiedy dowiedziała się, że wszyscy mężczyźni mają to okropieństwo między nogami. Potem przez całe miesiące nie mogła spojrzeć na żadnego. Rozstrajała ją sama myśl o tym, że dokoła jest tak dużo poukrywanych członków. Nie miała pojęcia, jak inne kobiety potrafią żyć w takim świecie. Czuła się osaczona jak w matni. Mężczyźni mijali ją na ulicy, mówiąc „cześć” z takim zadowoleniem, a ona potrafiła tylko spuścić wzrok i myśleć: „On ma członka, on ma członka, ma członka”.

Z czasem jednak, gdy widziała, że członek jej męża smutnieje i starzeje się, co w końcu spotyka wszystkie stworzenia – nauczyła się patrzeć mijanym na ulicy mężczyznom prosto w oczy. „Cześć”, odpowiadała z jasnym wzrokiem i spokojnymi wargami. Jednocześnie myślała: „Żal mi ciebie i twojego zdychającego ptaka”.

Smutniejący penis był pierwszą oznaką, że jej mąż się starzeje. Drugą były dostrzeżone pewnego dnia włosy w uszach, wyprężone na wietrze jak dłonie tonącego. Agatha patrzyła bezradnie, jak włosy znikają z jednych części jego ciała, a pojawiają się na innych. Trzecią był udar, w efekcie którego stracił czucie w lewej nodze. Trzymając się za udo, musiał ją pociągać za sobą, gdy szedł.

Łup, pac, szuuur. Łup, pac, szuuur.

Czwartą był plastikowy kateter, z którym zaczął kłaść się do łóżka. W rezultacie poranek Agathy zaczynał się od chlupotania uryny o jego ścianki, kiedy mąż niósł go do toalety.

Łup, chlup, szuuur. Łup, chlup, szuuur.

Pewnego dnia uzmysłowiła sobie, że niesiony do stołu sok pomarańczowy wydaje podobny odgłos. Nigdy więcej nie kupiła soku pomarańczowego.

Piątą oznaką było coraz więcej tłuszczu między jego podbródkiem a gardłem, przypominającego worek pod dziobem pelikana. Każdemu wypowiedzanemu przez męża słowu towarzyszyło bezdźwięczne drżenie skóry; wybrzuszała się tym mocniej, im głośniejszy mówił. Dygotała, jakby z dedykacją dla Agathy, dniem i nocą, stały element życia niczym słońce. I podobnie jak na słońce, Agatha ledwo mogła na to patrzeć.

Właśnie mniej więcej wtedy przestała rozmawiać z mężem. Odchrząkiwała, wzdychała, kiwała głową, wskazywała palcem, szturchała łokciem, ale się nie odzywała. Nie zostało nic do powiedzenia. Ukryli swoje sympatie i antypatie, różnice i podobieństwa, wzrost, wagę, rozmiar obuwia. Przez czterdzieści pięć lat toczyli spory, dzielili się opiniami, dyskutowali, jak można by wygrać w *Dobrej cenie*. Teraz jednak, z zadziwiającą trafnością, potrafiła przewidzieć, co on powie, pomyśli, zrobi, włoży na siebie i zje. To, co zostało do powiedzenia – „Weź sobie sam!” – można było łatwo przekazać za pomocą gestów. Jedli więc razem, razem spali, siedzieli, razem oddychali – lecz nigdy nie byli dalej od siebie.

Kiedy umarł, zjawili się bez zapowiedzi sąsiedzi, wyłaniając się na jej progu zza wielkich, masywnych naczyń żaroodpornych, wypełnionych martwymi zwierzętami i litością. Ich dzieci, jakby przygaszone, przynosiły tace z ciastem kokosowym. Rozłożyli się obozem w jej kuchni, jakby prowadzili kampanię polityczną. Materializowali się w korytarzu, sypialni i łazience. Czy potrafili przenikać przez ściany? Przekrzywiali głowy i dopadali ją. Rozmawiali, trzymając twarze o centymetry od jej twarzy. „Rozumiem cię – mówili – bo Susie/Azor/Henry zmarł/ła w zeszłym roku/tygodniu/dziesięć lat temu, miał/ła raka/wpadł pod samochód/wcale nie umarł, ale dla mnie jakby nie żył, bo zamieszkał z dwudziestosześcioletką na Złotym Wybrzeżu.

– Dlaczego w oranżerii jest dziewiętnaście bukietów? – spytała podczas jednej ze swoich wędrówek między pokojami.

Nikt nie odpowiedział. Bukiety były wypracowanymi eksplozjami barw, jak rozbryzgi fajerwerków zastygłe w czasie.

Phillip Stone spod szóstki przyniósł jej filiżankę herbaty, której nie chciała, i położył jej rękę na ramieniu. Nigdy wcześniej jej nie dotknął.

– Trzeba to przetrawić, Agatho – powiedział.

Skóra zaswędziała ją nieprzyjemnie pod bluzką od jego ciepłej dłoni.

– Jeszcze nic nie jadłam, jeśli o to ci chodzi – odparła, cofając się poza zasięg jego rąk.

– Stosujesz wyparcie – stwierdziła Kim Lim spod trzydziestki dwójki. Prawie dotykały się nosami. – Nie bój się wyrazić smutku – dodała.

W jej oddechu Agatha wyczuła zapach ciasta kokosowego.

Przydybała Frances Pollop spod dwunastki w swojej garderobie, wymachując dyspenserem z przylepcem jak piłą łańcuchową. Na całej podłodze były porozstawiane kartonowe pudła z ubraniami Rona. Popatrzyły na siebie. Dyspenser zadrżał lekko nad głową Frances. Po upływie dobrej minuty Agatha odwróciła się i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

A potem wszyscy nagle przepadli. Zostawili po sobie wolnowary, obce wonie i krzyczącą ciszę. Przez okno Agatha patrzyła, jak wychodzą przez furtkę, wracając do swoich domów. Światła w ich oknach przypominały źrenice. Skrzynki na listy – peryskopy. Nawet kwiaty od frontu zdawały się tłoczyć w kręgach, jakby szeptały do siebie nawzajem.

Lampy w domu pozostawiła zgaszone. Pudła z ubraniami męża ustawiono pod ścianą w przedpokoju. Mimo ciemności na każdym widziała słowa napisane czarnym flamastrem: „Armia Zbawienia”. Litery były pogrubione raz za razem. Środek każdego pudła został z brutalną zaciekłością owinięty wielokrotnie taśmą klejącą.

Zadzwoił telefon w kuchni. Włączyła się automatyczna sekretarka. „Dodzwoniłeś się do Agathy Panthy – zabrzmiał obcy głos. – Proszę zostawić wiadomość”. Brak imienia męża odczuła jak zawrót głowy.

– Agatha? Jesteś tam?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Stała w sypialni i patrzyła na kaptcie męża. To właśnie teraz robiła – chodziła i wystawała po pokojach. I wtedy to poczuła – jak coś próbuje wypełznąć z jej gardła. Chwyciła

się słupka od łóżka i przełknęła, raz, drugi, trzeci, aż się cofnęło.

– To przez to całe gadanie – zwróciła się do kapci. – Tym gadaniem mnie do tego doprowadzili.

Usiadła na łóżku i objęła się za kolana. „Jak się zestarzeć, żeby wszystko nie przemieniło się w smutek?”. Jej matka była kiedyś młoda, miała gibkie kończyny i ładne palce, ale potem posmutniała i się skurczyła. Końcówki wypowiedzianych przez nią zdań drżały i wydawało się, że zawsze wstrzymuje oddech.

Krewni Agathy nazywali to „zniedołężnieniem”. Nie wymawiali tego słowa na głos, lecz je szeptali, jakby było bluźnierstwem. Agatha, wtedy już kobieta w pełni dorosła i mężatka, z własnymi opiniami wykluwającymi się w głowie, uznała to słowo za mętne. Karykaturalne. A nade wszystko uważała, że tego, co przydarzyło się matce, można uniknąć, ominąć jak kałużę na ulicy.

W tamtym czasie nie zdawała sobie sprawy, że patrzy w przyszłość. Że matka to ona, że nie minie wcale tak dużo czasu, gdy zajmie jej miejsce. Ale czy ewolucja nie znaczy, że stajemy się lepsi od rodziców? Tyle że Agatha nie czuła się lepsza od matki. Widziała matkę w sobie, w dłoniach pokrytych plamami, w Starczych Zmarszczkach znaczących twarz, w żyłkach ciągnących się na łydkach jak korzenie drzewa. Czuła mdlącą nieuchronność tego wszystkiego. Jakby Sednem było stanie się jej matką.

A więc poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Światło rozlało się dokoła. Zajrzała w głąb, przyzwyczajając wzrok. Na półkach ciągnęły się łąpska pieczeni, paluchy kanapek i różowe babeczki zwieńczone sutkami wisienek. Po kolei wyjęła wszystkie naczynia żaroodporne. Wyniosła je z domu i wywaliła zawartość na ścieżkę. Bulion z kurczaka, marchewka, sos, cebula i kawałki wołowiny bryzgnęły przyjemnie na jej golenie. Zgarnęła garść lamingtonów i wyrzuciła je za próg. Wylądowały w krzakach róż, na szybach zaparkowanych samochodów i u stóp pobliskich skrzynek na listy. Trójwarstwowe ciasto biszkoptowe cisnęła zza głowy, jakby wykonywała wrzut piłką z autu. Rozpadło się w powietrzu i na podjazd chlusnęły jęzory gęstego czerwonego dżemu. Kanapki ułożyła na małym murku z cegły. Potem na niego weszła i z rękami wysuniętymi na boki dla utrzymania równowagi przeszła przez całą jego długość, czując pod stopami zgniataną żywność. Plasterki ogórka strzelały w obie strony. Ustawiła dwie babeczki posypane pudrem na skrzynce na listy. Chwyciła pieczeń oburącz, uniosła ją za głowę i zrobiła wymach. Pieczeń rozpadła się jej w palcach. Trafione babeczki wylądowały na ścieżce. Wisienka dotoczyła się do stopy, więc Agatha ją kopnęła.

Umyła pojemniki, naczynia żaroodporne i kubelki po lodach, aż woda bryzgała na boki, gdy wściekle obracała dłońmi w zlewie. Wytarła wszystko równie gwałtownie. A potem ułożyła to w stos, jedno na drugim, na podjeździe przed domem. Przypominało totem jakiejś zapomnianej dawnej kultury. W pochyłości tej sterty naczyń krył się jakiś smutek, który Agatha starała się ignorować.

Obok położyła kawałek tektury, na którym napisała wielkimi ciemnymi literami: „DZIĘKUJĘ ZA WASZĄ ŻYCZLIWOŚĆ”. Pogrubiała litery kilka razy. „ALE JEJ NIE POTRZEBUJĘ”.

Na dole dopisała mniejszymi literami: „Poza tym nie lubię kokosa”.

Stanąła w progu i zamrugła powiekami, żeby strząsnąć pot z rzęs. Wyjadła palcami zapiekankę kartoflaną prosto ze szklanego naczynia i rozejrzała się, oceniając swoje dokonania. Czy to sztuka piękna? Czy wojna? Nigdy nie rozumiała ani jednej, ani drugiej, ale patrząc na rzekę jedzenia płynącą rynsztokiem w dół ulicy, uznała, że być może to obie naraz.

Światła w okolicznych domach migotały jak znaki ostrzegawcze. Wcisnęła sobie do ust garść ziemniaków z serem. Poczowała, że ulica tężeje z napięcia.

– Tak wyrażam swój smutek, Kim Lim! – krzyknęła w noc, plując drobinkami ziemiaka na wszystkie strony. Weszła do domu, zatrzasnęła drzwi i zasunęła zasuwkę. Drzwi od tyłu też zarygłowała. Pozamykała okna. Zaciągnęła wszystkie zasłony.

– Teraz włączę telewizor! – wrzasnęła i tak zrobiła. Cienie zaczęły przemykać po ścianach.

Nastawiła głośność do oporu. Biały szum wypełnił pokój. Przysunęła krzesło do okna od frontu i usiadła, nachylona do przodu. Odciągnęła zasłonę, żeby widzieć ulicę.

– Szszszsz – gadał telewizor w tle.

Wschodziło słońce.

– Nie mogę się doczekać, by zobaczyć ich gęby! – wrzasnęła.

Wrzeszczenie chyba pomagało.

* * *

Od tamtej nocy minęło siedem lat i w tym czasie Agatha ani razu nie wyszła z domu. Ani żeby podlać ogródek, ani na autobus lub by zamieść podjazd. Nie otworzyła drzwi ani nie rozsunęła zasłon; nie słuchała radia, nie czytała gazet. Nie zgasiła telewizora; „szszszsz” stało się jedyną prawdą, której była pewna. Nieotwarta poczta z siedmiu lat zalała podłogę w korytarzu. Brodzi w tych listach, gdy przechodzi z sypialni do salonu.

1 – To, że wiecie, jak się nazywam, wcale nie oznacza, że jestem wam coś winna!
– wrzeszczy.

Przesyłki jakby pękały pod jej stopami.

Co poniedziałek kobieta z supermarketu zostawia jej pod oknem karton z jedzeniem. W co drugi wtorek pracownik poczty odbiera pieniądze za rachunki z progu i wrzuca przesyłki przez szparę w drzwiach. Agatha płaci im pieniędzmi w kopertach z napisem „proszę wziąć”, które wysuwa pod drzwiami na zewnątrz. Od frontu trawa się płoży, zbrązowiła od kurzu. Chwasty rosną wysoko. Bluszcz oplótł dom. Agatha otworzyła okno i nożyczkami wycięła w bluszczu dziurę. Nie wie, co się dzieje na świecie, ale wie, co się dzieje na jej ulicy.

Ma teraz kluchowate ciało starej kobiety, kiedy to trudno powiedzieć, gdzie się cokolwiek zaczyna i kończy. Z podbródka kiełkują długie wijące się włosy. Wyrывa je, ale zawsze odrastają, jakby były częścią Bożego planu. Od przebudzenia aż do zaśnięcia nosi okulary z przyciemnionymi brązowymi szklami. Są dla Agathy jak mąka kukurydziana, zagęszczają i wyhamowują świat wokół niej.

dzień z życia agathy panthy

06.00: Wstaje bez budzika. Oczy otwiera dopiero po włożeniu brązowych okularów. Sprawdza czas na zegarze ściennym naprzeciwko. Kiwa głową z aprobatą. Idzie do łazienki w rytm cykania zegara. Uważa, żeby się nie potknąć o kapcie męża, stojące tam, gdzie je zostawił po raz ostatni.

06.05 do 06.45: siada na Krześle Niewiary i sprawdza Elastyczność Policzka, mierzy Odległość Od Sutka Do Talii, Rozrost Obcych Włosów, ustala Liczbę Zmarszczek, oblicza Prognozowaną Trajektorię Zmarszczek i Obwis Ramion. Zapisuje dane w zeszytce zatytułowanym Starość. Relacjonuje całe zdarzenie, patrząc na siebie w lustrze.

– Teraz mierzę Obwis Ramion! – wrzeszczy do siebie, targając palcami skórę pod przedramieniem. – Jest większy niż wczoraj! Zawsze jest większy, niż był!

06.46: Pozwala sobie na jedno głębokie, posępne westchnienie.

06.47: Bierze prysznic.

– Teraz się kąpię! – krzyczy. Pod prysznicem nigdy nie mówi nic szczególnego.

07.06: Ubiera się w jedną z czterech brązowych garsonek.

– Rajstopy! – wrzeszczy, naciągając nylon na pępek. – Spódnica! Bluzka! Buty!

07.13: Przygotowuje śniadanie złożone z dwóch smażonych jaj, plastra bekonu i razowego tosta.

07.21: Siada na Krześle Konsumpcji, kroi śniadanie na małe kwadraciki i zjada porcję za porcją.

– Teraz jem bekon! – wrzeszczy między kęsami.

07.43: siada na Krześle Rozeznania. Obserwuje ulicę przez dziurę wyciętą w bluszczu, pochylona do przodu, ściskając dłońmi kolana.

– Za dużo piegów! – krzyknie czasem do przechodnia, zrywając się z krzesła i dźgając palcem powietrze, jakby grała w bingo.

– Za bardzo azjatyckie rysy!

– Za bardzo łysy!

– Podciągnijże portki!

– Głupie buty!

– Za dużo spinek we włosach!

– Za cienkie usta!

– Garnitur za bardzo fioletowy!

– Spiczasty nos!

– Asymetryczna twarz!

– Guzowate kolana!

Czasem obelgi dosięgają podwórek sąsiadów.

– Przytnijże żywopłot!

– Za dużo kwiatów!

– Skrzynka na listy się przekrzywiła!

A nawet ptaków:

– Za głośny świergot!

– Za krótkie nóżki!

Słowa odbijają się od ścian, głos nabiera mocy, kulminując się w ostatniej wszechogarniającej obeldze, która nigdy nie daje upragnionego efektu:

– Ludzkość jest zgubiona!

12.15: Opada zdyszana na krzesło.

12.16: Pozwala sobie na pot i ulgę.

12.18: Lunch. Kanapka z chleba razowego i vegemity. Nie kroi na kwadraciki, jak śniadania: lecz w długie, cienkie paski.

– Liczy się różnorodność! – wrzeszczy. – Jeśli chcesz zachować rozum! – dodaje, machając kawałkiem chleba przed ustami.

12.47: Popołudniowa herbata. Dzbaneł herbaty i ciastko. Siedzi w korytarzu, na Krześle Pretensji. Patrzy na brązową ścianę i wrzeszczy:

– Za głośne kosiarki!

– Hałaśliwi sąsiedzi!

Czasem nic nie przychodzi jej do głowy i wtedy po prostu mówi:

– Brązowe ściany!

Odczuwana niechęć nadaje jej twarzy większą wyrazistość niż zwykle. Agatha czerpie z tego satysfakcję, której powodów nie umie do końca wyrazić słowami.

– Lubię się tak czuć! – zwraca się do ściany.

13.32: Sprząta dom, wrzeszcząc:

– Czyszcę wieszaki na ubrania!

Albo:

– Przecieram żarówki!

15.27: Siada na Krześle Niezgody w salonie i pisze skargi, które trzyma w pudełku oznaczonym napisem: „DO ROZDANIA, GDY TO WSZYSTKO JUŻ SIĘ SKOŃCZY”.

Podkreśliła „TO WSZYSTKO”, ale nie precyzuje, co to znaczy.

16.29: Dzieje się jedno z dwojga. Siada na Krześle Znikania, zamyka oczy i słucha „szszsz” dobiegającego z telewizora. Albo, ale to bardzo, bardzo rzadko, siada na Krześle Rozczarowania i patrzy na kaptcie męża.

17.03: Kolacja. Na ogół pieczeń. Polewa sosem mięso, ziemniaki i brokuły.

18.16: Siada na Krześle Oziębłości. Wypija kubek bulionu z kostki wołowej i patrzy na śnieg na ekranie telewizora.

20.00: Rozbiera się.

– Buty! Bluzka! Rajstopy!

Odwiesza wszystko na miejsce.

20.06: Siada na Krześle Niewiary i patrzy na siebie w lustrze.

20.12: Wkłada koszulę nocną i gasi światła.

Dopiero pod osłoną mroku Agatha zdejmuje okulary z brązowymi szklami. Ale nawet wtedy, gdy już leży w łóżku, naciąga kołdrę na twarz i kurczowo zaciska powieki. I nawet wtedy czuje, że świat znajduje się zbyt blisko, że unosi się nad nią w odległości zaledwie kilku centymetrów. I w ciągu tych paru rozmyślonych sekund między jawą a snem – w tej drobnej luce w świadomości, kiedy jesteśmy jeszcze na tyle przytomni, by wiedzieć, i już na tyle senni, by nie wiedzieć, mniej więcej o

21.23: Agatha Pantha dopuszcza do siebie poczucie samotności.

lecz dziś, o 10.36, wszystko się zmienia

06.00: Budzi się. Szuka po omacku okularów.

06.05 do 06.45: Siedzi na Krześle Niewiary i wrzeszczy:

– Teraz liczę zmarszczki! Tej na kolanie chyba dotąd nie widziałam!

Pisze: „Nowa zmarszczka” pod nagłówkiem „Liczba zmarszczek”.

06.47: – Odkręciłam kran! – wrzeszczy, stojąc pod prysznicem.

07.06: – Rajstopy! Spódnica! Bluzka! Buty!

07.22: – Teraz jem jajka!

07.56: Siada na Krześle Rozeznania.

– Zaparkowany za daleko od krawężnika!

08.30: – Kwiatki nie rosną!

09.16: – Na ścieżce brudno!

10.12: – Kaski to nie są dodatki do ubrań!

10.36: Ulicą przejeżdża powoli radiowóz policyjny.

– To co innego!

10.42: Ten sam radiowóz wraca z przeciwnej strony.

– To też!

10.47: Ulicą biegnie dziewczynka o kręconych rudych włosach. Otwiera furtkę przed domem Agathy, wpada na trawnik, chowa się za ogrodzeniem. Patrzy na Agathę.

– Co jest?! – wrzeszczy Agatha.

10.49: Dziewczynka zerka nad ogrodzeniem. Rozgląda się po ulicy. Potem znowu patrzy na Agathę. Wyprostowuje się, wychodzi przez furtkę, przecina jezdnię i kieruje się ścieżką do domu naprzeciwko. Szarpie za klamkę, znajduje klucz pod wycieraczką i jeszcze raz rozgląda się po ulicy. Potem znika w domu.

10.50: – Co jest?! – wrzeszczy Agatha.

Od pewnego czasu obserwuje ten dom. Trzy miesiące wcześniej widziała, jak podjechał tam ambulans z wyłączonymi światłami. Widziała nosze przykryte białym prześcieradłem, pod spodem niewyraźny zarys ciała. Widziała, jak na ulicy zapanowało poruszenie, widziała, jak przynoszą to całe jedzenie, powodowani kołtuńskim współczuciem. Widziała furgonetki z kwaciarni zaparkowane przy krawężniku. Widziała, jak z tej kobiety zostaje sama skóra i kości.

– Powinnaś zjeść coś z tego, co ci przynoszą! – wrzasnęła pewnego razu, pukając w szybę. Widziała to dziecko. Bo to było po prostu małe dziecko.

– Ja dam wam spokój! – wrzasnęła. – To będzie dla was najlepsze! – Wyprostowała się na krześle, splatając ręce na piersi. – Możecie mi wierzyć!

A więc kiedy Agatha widzi, że dziewczynka znika w środku, wie, że jej ojciec nie żyje, a matki nie ma. Matka spojrzała na Agathę dwa dni wcześniej. Wprost przez dziurę w bluszczu, wprost przez szybę, prosto w oczy. Włożyła walizkę do bagażnika samochodu, próbując spojrzeniem coś powiedzieć Agacie, wyrazić jakby skruchę, jakby krzyk, błaganie, coś w rodzaju:

„Jak się zestarzeć, żeby wszystko nie przemieniło się w smutek?”.

Agatha zadrzała wtedy lekko.

Zdawała sobie sprawę, że coś się dzieje, choć nie rozumiała tego do końca.

– Tutaj coś się dzieje! – wrzasnęła. – Coś nie w porządku! – dodała, wstając, przyklejając się policzkiem do szyby, patrząc, jak matka i dziewczynka odjeżdżają samochodem. Czują to. Coś się działo.

11.37: Próbuje nie myśleć o powrocie dziewczynki. Próbuje zapomnieć, jak wygląda twarz jej matki, próbuje nie zwracać uwagi na to, że na podjeździe nie ma samochodu. Usiłuje skupić wzrok na wszystkich domach w okolicy oprócz tego jednego naprzeciwko.

– Trawnik jest łysy! – wrzeszczy.

– Widzę chwast, o tam!

– Ale paskudny pies!

– Za dużo dzieci!

– Też są paskudne!

Potem otwierają się drzwi po drugiej stronie ulicy. Pojawia się dziewczynka. Agatha obserwuje ją z naprzeciwka. Dziewczynka się zbliża, otwiera furtkę i wchodzi na podjazd.

– Czego?!

Dziewczynka puka do drzwi. W ręce trzyma świstek papieru.

– Nie, dziękuję! – wrzeszczy Agatha. – Mam dość makulatury!

Dziewczynka znika, a potem pojawia się, wymachując plastikową skrzynką. Ustawia ją pod oknem, wchodzi na nią i staje twarzą w twarz z Agathą.

Podnosi do okna świstek.

– Co to? – pyta.

Agatha zerka zmrużonymi oczami.

– Jak ci powiem, to sobie pójdiesz?

Mała kiwa głową.

– To plan podróży.
– A co to?
– Na tym papierze jest napisane, gdzie się ktoś wybiera. Czy to nazwisko twojej mamy? Dziewczynka znowu kiwa głową.
– Pojechała do Melbourne. Dwa dni temu. – Agatha milknie na moment. – A za sześć dni jedzie do Ameryki. – Patrz na siebie przez szybę. – A teraz idź sobie.

nazajutrz

07.43: Dziewczynka stoi w oknie domu naprzeciwko, patrzy na Agathę. Obserwują siebie nawzajem. Oczy dziewczynki jakby zdają się pytać: „Jak to jest być starym?”.

08.07: Agatha wiesza w oknie poszewkę na poduszkę, żeby zasłonić dziurę wyciętą w bluszczu.

09.13: Rozlega się pukanie do okna. Agatha podskakuje.

– Jeść mi się chce – mówi cichy głos.

Agatha nastawia głośność telewizora do oporu.

– Szszszsz.

12.15: Zdejmuje poszewkę z okna. Dziewczynka wciąż patrzy w jej stronę z domu naprzeciwko, ale teraz siedzi na krześle.

15.27: Agatha próbuje pisać skargi, ale do głowy przychodzi jej tylko jedno: „Szanowna Matko Małej Dziewczynki, za kogo, suko, się uważasz?”.

16.16: Dziecko wciąż patrzy z okna w jej stronę. Agatha nie może się skupić. Potrafi myśleć tylko o twarzy tej matki i o podjeździe bez samochodu. Zanim orientuje się, co robi, przedziera się przez listy w korytarzu i otwiera drzwi. Trzyma ciastka i filiżankę herbaty. Czuje na twarzy, na ciele dotyk świeżego powietrza. Nie czuła takiego powietrza od... Od. Czuje podmuchy na nogach, pod rajstopami. Skóra ją swędzi. Łapie oddech.

– Jest inaczej!

Chwasty dokoła wejścia, wyrosłe na wysokość dorosłego człowieka, witają ją jak grupa zagłodzonych ludzi.

– Nic ode mnie nie dostaniecie! – wrzeszczy, roztrącając je łokciami i prąc do przodu. Staje przed furką, zwrócona twarzą do ulicy.

– Za dużo pęknięć w płytach chodnikowych! – wrzeszczy. – Przechodzę teraz przez jezdnię! Żywopłot za bardzo wydziwaczony! Uważaj, samochodzie, bo nie przystanę z twojego powodu! To wcale nie jest takie trudne! W końcu to tylko chodzenie! Milion razy to robiłam! Jak długo mam nogi do chodzenia, tak długo prawdopodobnie będę z nich korzystać!

Idzie ścieżką do domu dziewczynki i puka do drzwi. Dziewczynka otwiera.

– Cześć – mówi.

Agatha podaje jej talerzyk z ciastkami i filiżankę herbaty. Dziewczynka patrzy na poczęstunek.

– No i? – pyta Agatha.

Mała bierze ciastka, ale ignoruje herbatę.

– Dzwoniłaś do matki?

Dziewczynka odstawia talerzyk na stolik obok i zaczyna jeść ciastko. Umyka oczami przed spojrzeniem Agathy.

– Ma wyłączony telefon.

– No to do kogoś z rodziny. – Agatha zerka na filiżankę, po czym upija trochę herbaty.

- Masz jakichś krewnych?
 - Moja ciocia mieszka na wschodzie – odpowiada dziewczynka. – W Melbourne.
- Sylwetka Agathy majaczy nad nią jak olbrzym. „Czy zawsze byłam taka mała?”. – Ale mama mówi, że nikogo nam nie potrzeba.
 - Och, tak mówiła? Próbowалаś zadzwonić do cioci?
 - Nie znam numeru.
 - Nie masz jakiejś książki z adresami?
 - Mama ma w swoim telefonie.
 - To poszukaj na Białych Stronach.
 - Co to takiego?
 - Jak ona się nazywa?
 - Judy.
 - Judy i co dalej?
 - Nic, ciocia Judy.
 - Ciocia Judy! Z Melbourne! – Agatha odwraca się i rusza do siebie. – Co ja niby mam z tym zrobić?

Unosi rękę do góry, herbata ulewa się z filiżanki.

Dziewczynka biegnie za nią.

– Mój tata zmarł.

– No i co z tego? – Agatha odwraca się do niej. – Mój też! – Zajadle siorbie resztkę herbaty.

– Kiedy zmarł?

– Sześćdziesiąt lat temu!

– A mój trzy miesiące temu.

– To nie są żadne zawody! A nawet gdyby, to żyję bez swojego taty dłużej niż ty bez swojego! No więc?!

– Co się działo na jego pogrzebie?

– Co to za pytanie?

– Bo mama nie pozwoliła mi iść na pogrzeb taty.

– Prawdopodobnie tak było lepiej!

– Czemu pani krzyczy?

– A czemu ty szepczesz?

– Nie szepczę.

– A ja nie krzyczę! – Agatha odwraca się, żeby przejść przez jezdnię, ale zatrzymuje się w pół kroku. Patrzy na dom naprzeciwko. Znów upija łyk herbaty. – Ja tam mieszkam?

Dziewczynka kiwa głową.

– Ale to... – Agatha nie umie dokończyć zdania. To dom, którego bałyby się dzieci i którym pogardziliby dorośli. Odwraca się znów do dziewczynki. – Na pewno tam mieszkam?

Mała znowu kiwa głową.

– Pomoże mi pani odnaleźć mamę? – pyta.

– Ależ skąd! Mam co innego do roboty! Jestem bardzo zajęta! Idź na policję!

– Nie mogę, bo chcą mi dać nowych rodziców.

– Wracaj do siebie! – wrzeszczy Agatha, ruszając do domu. – Dzwon do matki!

18.16: Siada na Krześle Oziębłości. Wypija kubek bulionu z kostki wołowej i patrzy na śnieg na ekranie telewizora.

18.24: Spomiędzy śniegu na ekranie wyziera twarz dziewczynki.

18.25: Agatha wylewa resztkę bulionu do zlewu.

18.26: Rozbiera się.

– Buty! Bluzka! Rajstopy!

Odwiesza wszystko na miejsce.

18.31: Siada na Krześle Niewiary i patrzy na siebie w lustrze.

18.33: Jej twarz przemienia się w twarz dziewczynki. Agatha niechcący strąca zegar z ławeczki, rozbijając go na kawałki na podłodze.

18.33 do 18.45: Patrzy na strzaskany zegar.

18.46: Wkłada koszulę nocną i gasi światła.

nazajutrz

17.36: Agatha puka do domu dziewczynki i podaje jej talerz z pieczonym mięsem, ziemniakami i brokułami polanymi sosem.

– Dziękuję – mówi dziewczynka i zaczyna jeść na stojąco prosto z talerza.

– Co ty wyprawiasz?!

– Jak to? – pyta mała, z twarzą umazaną sosem.

– Powinnaś spędzać czas na dworze! Bawić się! Jesteś dzieckiem! Nie siedź przy oknie!

– A pani siedzi.

– Bo jestem stara! Mnie wolno! Mnie wolno robić, co mi się żywnie podoba! Tak to jest, gdy człowiek się zestarzeje! Zapisz to, bo to ważne!

– Ja się ukrywam.

– Przed kim?

– Przed Helen. I Stanem. Przed moimi nowymi rodzicami. Przed policją.

Agatha patrzy na nią.

– A coś ty narobiła?

– Nie wiem – odpowiada dziewczynka i zaczyna płakać.

20.12: Agatha wkłada koszulę nocną i gasi światło. Rusza do łóżka i wtedy potyka się o coś miękkiego. Zapala światło.

20.13: Niechcący kopnęła kaptcie męża aż pod ścianę.

20.14: Zapala światło w łazience i patrzy na siebie w lustrze. Znowu doznaje tego uczucia. Gęstnienia w gardle.

– Ona mnie w to wciąga! – wrzeszczy.

nazajutrz

06.00: Agatha ma dość.

07.43: Pakuje do torebki wszystko, co może być potrzebne. Starość. Dwa zegarki i zasilany baterią budzik z szafki. Bieliznę na zmianę. Dwie bluzki. Trochę ciasteczek. Słoik z kostkami rosółowymi. I notes, żeby pisać skargi.

08.12: Puka do domu dziewczynki. Mocno ściska torebkę, a garsonkę ma zapiętą na wszystkie guziki.

– Próbowłaś jeszcze raz dodzwonić się do matki? – pyta, gdy dziewczynka otwiera drzwi.

Mała spuszcza wzrok.

– Ma ciągle wyłączony telefon.

– Ale te telefony od razu dają znać, że dzwonisz!

Dziewczynka dostrzega wypchaną torebkę Agathy.

– Gdzie pani jedzie?

– A przecież ciągle dzwonisz do niej! Ona nie może tego nie zauważyć!

– Chce mnie pani ze sobą zabrać?

– Jeśli myślisz, że zamierzam lecieć jakimś odrzutowcem, to się grubo mylisz!

– Słucham?

– Na policję też nie mogę cię zabrać! Wiem, co robią z takimi kobietami jak ja! Które mieszkają w takich domach jak ten. – Wskazuje za siebie. – Zamkną mnie! Wsadzą mnie do jakiegoś domu starców pełnego zaślinionych ludzi!

Dziewczynka stoi nieruchomo z niepewną miną.

– No rusz się wreszcie! Pakuj się!

Mała znika w środku, a po chwili pojawia się z plecakiem.

– Tylko to? – pyta Agatha.

Z podłogi przy drzwiach dziewczynka podnosi duży plastikowy przedmiot i kiwa głową.

– A to co?

Przyciska to coś do piersi.

– Noga.

– O Boże! No trudno! Ruszaj się, jedziemy do Melbourne!

karl maszynopiszący

Karl nie miał komputera, maszyny do pisania ani nawet samej klawiatury. Pisał palcami na pokrywach śmietników, w powietrzu, po głowach małych dzieci, na własnych nogach. Pisał pytania, zanim wypowiedział je na głos, po prostu po to, żeby się upewnić, czy naprawdę chce je zadać. W zaciszu swojego domu, przed przeprowadzką do syna, rysował klawiatury na blatach stołów, ścianach i zasłonach od prysznica. Uwielbiał to, że takie pisanie wymaga poruszania dłońmi, że palce płasają, tańczą w parach. Dawniej patrzył na palce matki, potem na palce Evie, jak odskakują od klawiszy niczym krople wody na rozgrzanym asfalcie; doszedł do wniosku, że kobiecy palec zakrzywiony w trakcie pisania jest tak elegancki i podniecający jak łuk stopy czy szyja.

* * *

– Zobaczymy się wkrótce, tato – powiedział syn, żegnając się z Karlem w domu starców i całując go w policzek.

Karl poczuł na twarzy chropawą skórę i nagle wydało mu się niepojęte, że jego własny syn musi się golić. Życie było jak mgnienie oka, jeden oddech, jedno siku, i teraz znajdował się tutaj, w sali pełnej starych ludzi, którzy nie potrafili utrzymać w sobie gówna. Stanął przy oknie i patrzył, jak syn przecina park. Stawia takie zdecydowane kroki, pomyślał, ten mój chłopak, pięta, śródstopie, palce, jak zawsze. Kiedy postanowił chodzić w ten sposób? Kroki Evie były tak lekkie i nieobliczalne jak sól wysypująca się z solniczki. Wydawało się, że syn zdaje sobie sprawę, iż każdy kolejny krok przybliży go do tego, czego nie jest pewien. Pięta, śródstopie, palce, pięta, śródstopie, palce.

* * *

To był pomysł jego synowej Amy. Pewnego dnia usłyszał jej głos zza prowizorycznej ściany, która oddzielała ich sypialnie:

– Wchodzę do własnego domu i cała aż drzę, że w fotelu zobaczę martwego starca.

Była bezpośrednią niewysoką kobietą, której nadejście zawsze zapowiadał zapach jej perfum.

– Przecież to mój ojciec – odparł jego syn Scott.

– A ja jestem twoją żoną! – Zamilkła na moment. – Wiesz, co lekarz mówił o moim ciśnieniu.

Zapadło długie milczenie. Karl leżał w łóżku z rękami wyciągniętymi po bokach, jakby czekał, żeby go wystrzelono z armaty.

– No dobrze – powiedział wreszcie syn. Karl zacisnął palce. – Porozmawiam z nim.

Karl przekręcił głowę na bok i poczuł poduszkę pod policzkiem. Zmrużył oczy w ciemności.

– Evie – szepnął, wyciągając rękę, jakby w geście pokoju.

Otwartą dłoń rysował w powietrzu zarys jej ciała. Próbował poczuć na swoim nosie jej nos, jej oddech na swojej twarzy, jej dłoń na plecach.

– Evie – powtórzył, bo żadne inne słowo nie przyszło mu na myśl.

Położył dłoń na poduszce obok głowy i zamknął oczy.

Kiedy Scott i Amy wstali rankiem, żeby iść do pracy, Karl już siedział ubrany przy stole, ze spakowaną torbą przy nogach. Miał kapelusz na głowie i rękawiczki, których używał dawniej do prowadzenia samochodu.

– Tato – powiedział Scott, zastygając w progu.

Karl odchrząknął.

– Chyba jestem gotów do przeprowadzki – powiedział, stukając palcami w stół. Scott przysunął sobie krzesło i usiadł obok. Karl splótł dłonie. Scott położył na nich rękę. „Ja ją zrobiłem”, pomyślał Karl, przesuwając palcem w rękawiczce po kłykciach syna.

* * *

Karl siedział na skraju łóżka. Znajdował się w pokoju wraz z czterema innymi mężczyznami. Kolor ścian wydawał się dobrany pod odcień ich bladej skóry. Każdy leżał w swoim łóżku w stanie jakby znużonego oszołomienia, z otwartymi ustami, mrugając powiekami, jakby musieli sobie przypominać, żeby to wszystko zrobić.

– No i tak – powiedział Karl na głos.

W drzwiach stanęła pielęgniarka. Zerknęła na niego.

– Rozpakujesz się, kochanieńki?

– Oczywiście – odparł. – Tylko trochę mi się zakręciło w głowie.

Uśmiechnęła się. Miała uroczy uśmiech.

– Nie spiesz się – powiedziała, opierając się o framugę. – Ale za godzinę jest kolacja.

Mrugnęła do niego okiem i odwróciła się na pięcie, zamiatając końskim ogonem w powietrzu. Odmaszerowała, kręcąc pośladkami pod uniformem.

Na dworze wciąż było jasno, gdy Karl ruszył korytarzem do jadalni na kolację. Zegar na ścianie wskazywał wpół do piątej, a gdy pod nos podstawiono mu talerz pełen nierozpoznawalnej papki, Karl pomyślał: „No i tak”. Siedział przy długim stole, podobnym do tych z filmów o więźniach. Nadal miał na sobie kapelusz i rękawiczki do jazdy samochodem.

Pielęgniarka z ruchliwym tyłeczkiem przysunęła sobie krzesło. Usiadła obok, chwyciła go za rękę i zajrzała mu w oczy.

– Wszystko dobrze, kochanieńki?

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz ktoś spojrział na niego z uwagą. Zamknął oczy, napawając się tą chwilą. Miała ciemne włosy, ciemne oczy, bladą karnację. Była taka czysta. „W innym czasie i miejscu pocałowałbym ją”, pomyślał. Gdyby mógł zagłębić nos w jej dekolcie, to miejsce stałoby się do zniesienia.

Ale tylko spojrział na nią oczami starca.

– Tak, dziękuję – odparł, pisząc palcami na jej dłoni.

Jego ciało wydawało się żalosne w porównaniu z jej ciałem, jakże zgrzybiałe i pokurczone, ale patrzyła na niego z taką życzliwością, że o tym zapomniał. A potem wstała i zakręciła pupą, a on siedział dalej, wpatrzony w coś, co mogłoby być tłuczonym groszkiem, myśląc, jak bardzo pragnie, aby zakręciła pupą, siedząc na nim okrakiem, tutaj, na tym krześle, na oczach wszystkich. Nikt by nie zwrócił uwagi. „Nigdy nie robię tego, co chcę zrobić”, pomyślał, kapitulując przed groszkiem, biorąc go do ust, czując, jak zsuwa się w głąb przełyku.

rzeczy, o których wie karl

pisanie palcami

Kiedy Karl był małym chłopcem z wielkimi myślami, symulował czasem chorobę, żeby móc towarzyszyć matce do pracy. Pracowała w wielkim pomieszczeniu pełnym kobiet piszących na maszynie, a Karl siadał pod jej krzesłem, głową dotykając od spodu siedzenia, widząc przed sobą idealną linię jej nóg, zsuniętych razem tak zdecydowanie, że trzeba by łomu, aby je

rozdzielić. Mimo to była w tym jakaś słodycz, może z powodu zaokrąglonych łydek. Teraz pamięta matkę tylko fragmentarycznie. Jako nogi, palce, jako odbicia w lustrze.

Kobiety wydawały mu się istotami z innego świata, jak coś, co można trzymać w szklanej gablocie albo powiesić na ścianie. Siedząc pod krzesłem, zamykał oczy i słuchał. Pisanie było głośne i nieustępliwe. Wszystkie te ładne kobiety, całkowicie zastygłe, tylko palce walczące z klawiaturami maszyn.

Dla Karla sprawy ruszyły do przodu, gdy nauczył się słowa „maszynopisanie”. Uświadomił sobie, że kobiety wykonują te wszystkie dramatyczne ruchy palcami bez konieczności patrzenia na swoje dłonie. Poczul wtedy coś, czego nie rozumiał. Że dotyczy to jego natury, zrozumiał dopiero wtedy, gdy poznał Evie.

Wiele lat później, po pierwszym dniu na kursie maszynopisania, usiadł przy stole w kuchni i wcisnął palce do miski z ryżem. Były czerwone i obolałe. Ale w sumie ból w opuszkach był miłym doznaniem; Karl czuł, jak się rozchodzi po rękach, jak gdyby chciał się wdrzeć w głąb ciała. Przyjemne było to, że coś próbuje się dostać do jego wnętrza.

Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma władzę – chodziło o ten szczególny sposób, w jaki musiał używać palców. Czcionki waliły w kartkę – bach, bach, bach – jakby zadawał ciosy pięściami. Uwielbiał potencjał wzierający z białych kartek. To, że na początku były niczym, a potem czymś konkretnym. Dzięki temu czuł, że on też staje się konkretem.

Za dnia zapamiętał kartki bezsensownymi zdaniami o kotach i psach, o Jacku, Jill i Jane. Pisał jednak, jakby to były najważniejsze rzeczy do opowiedzenia. Nocą śnił o ćwiczeniach z maszynopisania. Rankiem nucił o tych ćwiczeniach pod prysznicem, zamykając oczy, wystawiając twarz na strumień wody. Gdy coś mówił, jego umysł rozpalał się w formie liter.

Uwielbiał patrzeć na swoje palce ślizgające się po klawiaturze. Dostrzegał, że być może jest piękny, bo coś tworzy. Nie była to wprawdzie muzyka grana w salach koncertowych ani dzieła sztuki wieszane na ścianach, ale dla Karla było to jedno i drugie, a nawet coś więcej.

evie

Karl poznał Evie na kursie maszynopisania. Z czasem polubił to, jak ona trzymała się za klatkę piersiową w trakcie mówienia, jakby próbowała powstrzymać serce przed wyskoczeniem z piersi. Kiedy jednak się poznali, jego pierwszą myślą było to, że jej imię brzmiałoby dobrze podczas uprawiania seksu. Było jakieś ekscytujące świętokradztwo w tym, że potrafił powiązać Grzech Pierworodny z seksem. Bo, oczywiście, wtedy była dla niego Ewą. Dopiero potem stała się Evie – kiedy jej kolana, łokcie i pępek znał już lepiej niż swoje własne. Bez ostatnich dwóch liter, „ie”, jej imię od samego początku wydawało się niepełne, jakby ucięte dla nadania mu niepotrzebnego dramatyzmu.

W ciągu dwóch miesięcy zaliczyli trzy rozmowy, spojrzenia, dotyki, ten jej chód z roztańczonymi biodrami, którego nie mógł przepędzić ze swoich myśli. Gdy była w tym samym pomieszczeniu, nie mógł myśleć o niczym innym tylko o jej obecności. Wyraźnie odczuwał jej ciepło i energię. To nie były wyłącznie myśli, wyobrażanie sobie, co się wydarzy, gdy ona pozwoli, by ją poznał naprawdę, to było także jego ciało; czuł fizyczną potrzebę jej bliskości, jak gdyby jego skóra miała buchnąć płomieniem, jeśli odmówiono by mu kontaktu z jej skórą.

Pewnego wieczoru wyszła z sali tanecznym krokiem, obrzucając go spojrzeniem. Karl siedział przed swoją maszyną do pisania, myśląc: „PalceEwy, dłonieEwy, uśmiechEwy, włosyEwy”. Kiedy ostatni maruder się ulotnił, z wielką trudnością odłamał od swojej maszyny litery „M”, „O”, „A”, „Z”, „N” i „J”. Podszedł spokojnie do biurka Ewy i oderwał drugie „A”

i „O”. Przykleił klawisze do opuszków palców – „MOJA” do prawej dłoni, „ŻONA” do lewej. Następnie w świetle dogasającego dnia stanął przed jej drzwiami. Dłonie trzymał uniesione po obu stronach głowy, lekko rozczapierzywszy palce. Wysunęła rękę i napisała palcami na jego przedramieniu: „Tak, dziękuję Ci”.

Dzień zaślubin nie był wyszukany. Nic monumentalnego, nic nazbyt cichego. Wszystko potoczyło się jak należy, może z wyjątkiem tego, że organista zemdlął na swoim stołku w trakcie grania. Oto nadchodzi panna młoda. Ale nawet to było w porządku, bo gdy walnął głową w klawisze, powodując okropny wybuch dysharmonicznych dźwięków, które odbiły się echem po całym kościele, jakby ilustrowały moment suspensu w filmie, Karl poczuł, że jego życie warte jest suspensu, warte jest filmu.

Stał przed ołtarzem, czując, jak w bruzdach dłoni zbiera się pot, czując na sobie wzrok siedzących w dwóch ławach maszynistek, przypominających ptaki na drucie wysokiego napięcia. Wszystkie identycznie skrzyżowały nogi, a cała ich uwaga skupiła się w świadomym przekrzywieniu głów, i wtedy pomyślał: „Czy one zawsze takie są?”. Było w nich coś, co sprawiało, że zrobiło mu się nieswojo.

I wtedy obok stanęła Evie, patrząc na niego ciepło oczami wyzierającymi ze zwykłej, pospolitej twarzy. Szczypta rozsianych piegów, nieinteresujący nos, cienkie wargi, zwyczajne oczy. Pytany o wygląd Evie, Karl miał trudności z udzieleniem odpowiedzi. Zdawał sobie sprawę z pejoratywnych podtekstów zawartych w słowie „zwykły”, toteż kłamał, mówiąc, że jest śliczna.

Wiedział, że kobiety to dziwne istoty. Nie zabawne, ale osobliwe i nieprzewidywalne. W lot dostrzegały wszystkie możliwe niuanse znaczeniowe danego słowa, jak pasma światła rozszczepionego przez pryzmat tworzące zbyt wiele wzorów na ścianie. Bardzo wcześnie nauczył się, że dobrze jest mówić niewiele i udawać, że jest mało bystry. Odkrył, że gdy mężczyzna niewiele mówi, kobiety postrzegają go jako człowieka tajemniczego i głębokiego, z jakiegoś powodu wcale nie podejrzewając, że jest głupi.

Miała zwykłą białą suknię, bez żadnych ozdób, przypominającą ryzy papieru, który dzień w dzień wkręcał w maszynę do pisania. Obrączka, którą jej dał, została wykonana na zamówienie – prosty srebrny pierścionek z klawiszem ze znakiem & zamiast kamienia. Wieczorem zsunął z niej suknię w poświacie księżycy i ułożył ją na łóżku tak starannie, jakby to była ona, po czym napisał palcami na materiale: „Tak się cieszę, że Cię spotkałem, Evie”. Ale tym razem pisał inaczej, nie tak, jakby walczył z tkaniną albo zadawał ciosy. Delikatnie, jak gdyby pisał na powierzchni wody i chciał uniknąć rozprysków.

A gdy na jej obojczyku napisał: „Jestem tu, Evie”, tak lekko, że ledwie muskał jej skórę, przyłożyła mu usta do ucha i szepnęła:

– Ja też.

miłość

Podczas wspólnego życia Karl i Evie nigdy nigdzie nie pojechali, ani razu. Sami dla siebie byli nowymi krainami.

– Tylko nieszczęśliwi ludzie wyjeżdżają z domu – stwierdziła Evie.

– A my nie musimy wyjeżdżać – odpisał na jej ramieniu.

– No właśnie – potwierdziła, dotykając czołem jego podbródka. – Nie musimy.

Ich życie było niesłychanie proste. Drzewa, kwiaty, ocean i sąsiedzi. Nigdy nie wspinali się na szczyty gór, nie pokonywali wartkich rzek, nie występowali w telewizji. Nigdy nie jedli dziwnych zwierząt w azjatyckich krajach. Nigdy nie głodowali ani nie podpalali się dla ważnej sprawy. Nigdy nie wygłosili porywającego przemówienia, nie śpiewali w musicalu, nie walczyli

w ringu bokserskim. Ich nazwiska nie pojawią się w książkach dla dzieci, twarze nie będą figurować na banknotach. Nikt nie postawi im pomnika. Gdy umrą, ich nazwiska przepadną, tak jak przepadnie ich ostatnie tchnienie, staną się zaledwie ciekawostką dla amatorów cementarnych wycieczek, niczym więcej.

Ale potrafili kochać. Hodowali rośliny, pili herbatę w popołudniowym słońcu, machali ręką do sąsiadów na powitanie. Każdego wieczoru oglądali teleturniej *Interes stulecia* i, razem, osiągnęli względnie dobry wynik. Wymieniali się upominkami bożonarodzeniowymi z miejscowym rzeźnikiem, facetem z warzywniaka i piekarzem. Karl dał maszynę do pisania odczytanemu chłopcu pracującemu w kiosku z gazetami. Evie robiła mitenki dla dziewcząt zatrudnionych na poranną zmianę w supermarkecie. Karl został zaproszony jako gość do szóstej klasy miejscowej szkoły, żeby opowiedzieć o dziejach miasteczka. Evie zaproszono jako gościa do klasy siódmej, żeby pokazała, jak się robi torcik bezowy. Karl krzątał się w swej szopie. Evie krzątała się w kuchni. Rankiem i wieczorem chodzili na spacer, krętymi ścieżkami po buszu, po miasteczku, nad morzem. Zasięg ich życia miał promień dwudziestu kilometrów dokoła domu.

śmierć

Pamięta, że nie był w stanie do niej mówić, gdy leżała zdana na łaskę maszynerii i wykrochmalonej pościeli. Jego słowa, zawieszane w powietrzu, bez jej odzewu, były przerażające. Spała, zawsze spała. Czasem otwierała oczy, ale były rozkojarzone jak u noworodka.

Wstał więc i ściągnął prześcieradło, które ciasno okrywało jej ciało, jakby ktoś chciał ją pod nim uwięzić, przywoździć do łóżka jako Okaz Będący o Krok Od Śmierci. Ujął jej dłoń w obie ręce, właściwie to była sama kość, i napisał, delikatniej niż oddech: „Jestem tu, Evie”, potem obszedł łóżko i położył dłonie na drugiej ręce, a jej skóra nie była jej skórą, tylko siniaki, takie fioletowe, o wyraźnych obrzeżach, niczym mapy mało znanych kontynentów, i pomyślał wtedy: „Jesteś moją obcą krainą”, ale napisał co innego: „Jestem tu, Evie”, wreszcie zakasał jej szpitalną koszulę powyżej kolan, a jej uda były już niczym, niczym, położył otwarte dłonie na jednym i poczuł tak dużo niczego, że się rozplakał, nie mógł się powstrzymać, był taki słaby, było tam tak dużo niczego, i pomyślał wtedy o przeobrażeniu niczego w coś konkretnego, i zaczął pisać, tym razem zdecydowanie i z zacięciem, obserwując swoje palce, jak się poruszają po jej skórze, tak rozpaczliwie chciał, aby poczuła piękno tego, co wykonywały jego dłonie, gdy pisał: „Jestem tu, Evie”, „Jestem tu, Evie”, raz za razem, w dół uda, po kolanie, goleni, jakby mrówki szły szeregiem po jej nodze, i pochylił się głębiej i napisał na drugiej: „Jestem tu, Evie”, a potem przesunął się na koniec łóżka i ujął jej stopy, bardzo zimne stopy, w zaciśnięte dłonie, tak jak dzieci trzymają w piąstkach kredki świecowe, tak mocno je trzymał, chyba jak nigdy nic dotąd, ale się nie poruszyła, nie zauważyła tego, nawet nie drgnęła.

„Jestem tu, Evie”.

„Jestem tu, Evie”.

„Jestem tu, Evie”.

smutek

W dniach, które nadeszły po śmierci Evie, Karl szeptał do lustra:

– Moja żona umarła.

Przygotowywał się w ten sposób na występ przed jakąś publicznością. Wyobrażał sobie kobietę z poczty, sąsiada, swego brata. Uwielbiał czuć ich wyimaginowany dyskomfort. To mu

dawało moc. W jakiś sposób czyniło to, co się stało, wartym zachodu, jak gdyby śmierć żony obdarzyła go tajemną siłą.

Spał w ich wspólnej garderobie, patrząc na jej suknie, jakby wpatrywał się w gwiazdy. Wisiały nad nim niczym zjawy, nieobecność żony, jakże oczywista w ich płaskości. Czuł się tak, jakby leżał pod ostrzem gilotyny: długie, cienkie pasy materiału, które na pewno mogły go jakoś zabić.

Śniła mu się, oczywiście, że mu się śniła, i gdy budził się, myślał: „To teraz jedyna sposobność, żebym ją widywał”. Stawał w mroku i wsuwał się między jej ubrania, rozkładając ręce na boki, jakby frunął. Ubrania były takie zimne.

O jej śmierci przypominał sobie każdego ranka. Budził się i natychmiast dopadał go wstrząs ocuconej pamięci. Nie chciał już w ogóle spać, żeby nie zapominać, bo przypomnienie sobie było o wiele trudniejsze. Było fizycznym cierpieniem.

Usiadł na sedesie i popatrzył na jej przybory toaletowe. Na to, co dawniej rozsmarowywała na skórze, wcierała we włosy albo rozpylała w powietrzu. Przyniósł duży rondel z kuchni. Opróżnił do niego zawartość wszystkich pojemniczków. Perfumy, kremy nawilżające, kremy do rąk, balsamy do ciała, pigułki. Wymieszał wszystko rękoma. Zapach był okropny, jak coś z domu towarowego. Ale czucie tego między palcami budziło w nim dreszczyk.

Wsunął ręce głęboko, po łokcie, znowu mieszając kremy i zapachy. Na podłodze w łazience leżały teraz w nieładzie wszystkie puste pojemniczki niczym truchła. Ścisnął razem dłonie, uzyskując odgłos pierdnięcia. Powtórzył to raz, drugi, trzeci, aż brązowa breja chlusnęła z rondla na lustro, na jego twarz, na ściany. Wziął rondel, poszedł do sypialni i postawił go na ich łóżku.

„Moim łóżku”, pomyślał.

Uniósł dłoń nad jej poduszką, jakby chciał wyciągnąć Evie z pościeli magnetyzmem swoich rąk. Na poduszkę spadły krople jasnobrazowej mazi. Rozebrał się i rzucił ubranie na podłogę. Wspiął się na łóżko i stanął na nim, chwiejąc się lekko na sprężynującym materacu, uważając, aby nie wałnąć głową w żyrandol. Podniósł rondel na wysokość brzucha. Nabrał powietrza. Zacisnął oczy. Usta. A potem uniósł rondel wyżej i wylał sobie całą zawartość na głowę. Sapnął. Poczul się tak, jakby wskoczył do rzeki w środku zimy. Otworzył oczy. Breja ściekała mu po twarzy i szyi. Zadygotał. Cisnął rondel o ścianę i usłyszał satysfakcjonujący huk.

Kilka godzin później syn znalazł go w ogrodzie za domem, leżącego na wznak na betonie, wygrzewającego się w słońcu. Karl był kompletnie nagi, pokryty na całym ciele kleksami brązowej mazi. Twardniejącej jak skorupa.

* * *

Pierwszego dnia w domu starców po kolacji usiadł w świetlicy z innymi pensjonariuszami i obejrzał film zatytułowany *Ale chala!* z akcją osadzoną w amerykańskiej szkole średniej. Nigdy dotąd nie widział wykrzyknika w tytule filmu, a i sam tytuł brzmiał bezsensownie, ale film okazał się intrygujący. Głównym bohaterem był młody mężczyzna o nazwisku Branson Spike. Nie był przystojny w konwencjonalny sposób, ale gdy patrzyło się na niego dość długo, dostrzegało się urok w jego zachowaniu, które nie było natarczywe, a właściwie nawet ujmujące. Branson Spike nie rozumiał postępowania rówieśników ani swojej roli w świecie, ale się starał, i o to najwyraźniej chodziło. Życie w *Ale chala!* składało się z przyjęć nad basenem, sesji egzaminacyjnych i tego, że Veronica wierzyła, iż najważniejsze są wyniki Testu Wydolnościowego, więc ciała kolegów i koleżanek poddawane były nieznośnie szczegółowemu sprawdzianowi, następnie oceniane – często surowo – w skali od jednego do dziesięciu. Branson Spike chciał się tylko dostosować, znaleźć sobie dziewczynę, pragnął być luzakiem. Po prostu. Ale rezultaty były czasem komiczne i żałosne.

W trakcie przerwy reklamowej Karl rozejrzał się dokoła. Salę wypełniała woń środków czyszczących i wymiocin. W fotelu siedziała kobieta robiąca na drutach, co mogłoby być całkiem naturalnym i uspakajającym widokiem, gdyby była jedną z tych łagodnych zaokrąglonych matron o różowych policzkach, z czeredką wnucząt u stóp, błyskiem w oku, z ciastem w piekarniku. Ale Karlowi wydało się, że ta kobieta szydełkuje własną pępowinę łączącą ją z żywymi; szydełkowała, żeby nie umrzeć. Patrzyła tępo w telewizor, zgarbiona nad poplątanym motkiem niczym zwierzę przyczajone nad wodopojem. „Nikt nie będzie tego chciał, cokolwiek to jest”, pomyślał Karl.

Mężczyzna siedzący obok niego na kanapie gulgotał gardłowo co parę minut. Odwrócił głowę do Karla i patrzył na niego. Ktoś spróbował wcześniej ogolić mu twarz, ale niezbyt mu się powiodło. Gęsty zarost poprzetykany był kępkami zaskakująco długich włosów.

– Gulgot – powiedział mężczyzna.

– Faktycznie – potwierdził Karl.

Przy pobliskim stoliku siedziało dwóch mężczyzn usiłujących grać w karty. Jeden zasnął na krześle, z głową odchyloną do tyłu. Drugi tego nie zauważył albo się tym nie przejął, bo przesuwiał karty, mrużąc ospale do siebie.

Karl popatrzył z powrotem w telewizor. Reklama sportu nożnego, reality show, krem do twarzy, serek kremowy, bary fastfoodowe. Zjednoczone w swoim podstawowym przesłaniu: „Czegoś ci brakuje”.

Karl poczuł się mały, ocieężały, nijaki.

„Kim byliście?”, pomyślał, zerkając na szydełkującą, na gulgoczącego, na karciarzy. „Byliście kimś kiedyś?”. Poczuł wsysający go wir czasu przeszłego.

Unikał kontaktu wzrokowego. Nie przedstawiał się. Nie chciał się zaprzyjaźnić. Czuł, że ma z nimi równie mało wspólnego, co z młodymi Amerykanami na ekranie telewizora.

O dziwo, patrząc na kolejne ekscytujące wyczyny Bransona Spike’a i jego rówieśników, poczuł przytłaczającą bliskość z bohaterem. Gdy Branson usychał z tęsknoty za Veronicą Hodges, najpopularniejszą dziewczyną w szkole, Karl napiął mięśnie. Nie potrafił się odprężyć. Tak bardzo pragnął, żeby Branson Spike był kochany.

Widział tę nadzieję w jego oczach. Nadzieję związaną z tą jedną jedyną kobietą. Karl wiedział, że chodzi o tę jedną jedyną, której można się uchwycić jak boi na morzu, która pomoże płynąć, powstrzyma tonięcie. Wciąż się jest na otwartym morzu, ale to już bez znaczenia, bo można było ją objąć, obrócić się na wznak i dryfować, patrzeć w niebo i dumać nad tym, co być może się przegapiło. Dzień, noc, chmury, gwiazdy, doznanie oceanu liżącego falami plecy.

„No dawaj, Bransonie Spike”, pomyślał.

Okazało się, że piękna Veronica Hodges nie jest tą jedyną. Była nią jego najlepsza przyjaciółka, Joan Peters, która cały czas trwała u jego boku. Ładna, myszowata, godna zaufania. Proszę bardzo. Karl znalazł Evie, a Branson Spike znalazł Joan Peters.

Ale co stanie się z Bransonem Spikiem, gdy ona odejdzie? Z powodu oferty pracy, do kogoś innego albo dlatego, że umrze? Co stało się z Karlem? Gdy na ekranie przesuwali się napisy końcowe, dostrzegł swoje odbicie w czerni telewizora.

„Co się stanie z Karlem?”, pomyślał.

Później siedział w ciemności wyprostowany na łóżku. Światła pogaszono wiele godzin wcześniej, ale nie mógł się zmusić do spania. Czuł, że gdyby się położył, już nigdy by się nie obudził albo stałby się jednym z nich. Że w mlaszczących ustach, pociągających nosach i świszczących oddechach dokoła kryje się jakaś przygnębiająca choreografia.

„Ja już się nie liczę”, pomyślał.

A potem, z przenikliwą klarownością:

„Czy kiedykolwiek się liczyłem?”.

Stał się pusty, ale nie było oczekiwania niczego pustego, jak kartki czy płótna; nie było nadziei ani strachu, ani zadziwienia, które czasami wywołuje taka pustka. Nie było niczego. W świecie interpunkcji mógłby stać się łącznikiem – zawieszonym pomiędzy, niekoniecznie wymaganym, być może zbędnym.

Karl znowu chciał czuć. Chciał wsiąść do zatłoczonego autobusu i nawiązać kontakt wzrokowy z kobietą o brązowych włosach, blond włosach, niebieskich włosach – wystarczyłyby same włosy – i poczuć ten ucisk w żołądku, to miłe dźgnięcie. Chciał się śmiać w głos, zginać się od tego wzdół, rzucać winogronami w kogoś, siedzieć w kałuży błota, wrzeszczeć coś, cokolwiek, nieważne. Chciał ściągnąć spódnicę z kobiety, siedzieć na masce jadącego samochodu, nosić szorty, jeść z otwartymi ustami. Chciał pisać listy miłosne do kobiet, całe tomy. Chciał zobaczyć jakies lesbijki. Chciał kłać głośno. Wśród ludzi. Chciał, żeby nieosiągalna kobieta złamała mu serce. Chciał, żeby cudzoziemiec dotknął go w ramię. Kobieta albo mężczyzna, nieważne. Chciał mieć bicepsy. Chciał dać komuś coś dużego. Nie tyle znaczącego, co dużego. Chciał podskoczyć, żeby dotknąć czegoś znajdującego się poza jego zasięgiem. Chciał zerwać kwiat, podlubać w nosie. Chciał w coś uderzyć. Tak porządnie, mocno. I pomyślał: „Kiedy przestałem robić różne rzeczy, a zamiast tego zacząłem o nich wspominać?”.

I oto Karl Maszynopiszący odgarnął kołdrę. Przesunął się na skraj łóżka i zrzucił kapcie, najpierw jeden, potem drugi, jak dziecko zrzucające buty po powrocie ze szkoły do domu, nie dbając o to, gdzie wylądują. Jeden kapeć pofrunął wysoko, robiąc obrót w powietrzu jak gimnastyk, a drugi pomknął przez pokój i upadł na skraj łóżka współlokatora. Nikt się nie poruszył. Karl zsunął się z łóżka, ściągnął spodnie od piżamy, podeptał je i zostawił stłamszone na podłodze. Zdarł z siebie bluzę, aż guziki poleciały w różne kąty pokoju, po czym stał przez chwilę, napawając się poczuciem prawie całkowitej nagości. Ubrał się w poświacie latarni wpadającej przez okno.

Włożył buty. Skóra mrowiła go od zdecydowania. Chwycił flamaster z karty zawieszonej w nogach łóżka i na ścianie nad wezglowiem napisał ogromnymi chwiejnymi literami: „Karl Maszynopiszący tu był”. Rzucił do góry flamaster, który upadł ze stukiem na podłogę. Po chwili zastanowienia podniósł go i schował do kieszeni. Położył kapelusz i rękawiczki w nogach łóżka i pomachał ręką do czterech śpiących mężczyzn. Wyjrzał na korytarz i na palcach ruszył do wyjścia. Otworzył frontowe drzwi i wyszedł w noc. Idąc ścieżką do furtki, pomyślał: „To najodważniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem”.

część druga

karl maszynopiszący

Karl siedzi przed biurkiem na posterunku policji, czekając, aż zajmie się nim funkcjonariusz. Praca w policji nie różni się tak bardzo od kursu maszynopisania: rzędy biurek przygniecionych komputerami, sterty papieru i milczące telefony. Żadnych przestępców prowadzonych w kajdankach, żadnych strzałów ani dramatycznych rozmów między policjantami. Przypomina to zwykle biuro w pierwszej lepszej instytucji i Karl odczuwa lekki zawód.

Bębni dłońmi w blat. „Wiej, Millie, wiej!” – powiedział, ściągając na siebie ich uwagę, żeby dziewczynka mogła uciec. Jest dumny, że okazał taką przytomność umysłu. Ale dokąd ona poszła? Co robi? Przecież to tylko dziecko, a on wysłał ją w dżunglę przedmieść.

Patrzy w okno. Przechodzi za nim kobieta pchająca wózek.

– Znajdę cię – szepcze Karl.

Kobieta odwraca się w stronę okna.

– Nie ciebie – mówi Karl szybko, rumieniąc się.

A potem kręci głową, uświadomiwszy sobie, że przecież nie mogła go usłyszeć. Kobieta znika z jego pola widzenia. Karl spogląda na manekina, którego ochrzcił w myśli imieniem Manny, opartego o biurko tuż obok. „Znajdziemy Millie, co nie, Manny?”. Cieszy się, że nie jest tutaj sam przeciwko wszystkim, że Manny zjawił się razem z nim, że ma kogoś po swojej stronie.

Karl wygląda Manny'emu koszulę. Pstryka w nogawkę spodni, w której brakuje nogi. Patrzy na swoje dłonie. Lewy palec wskazujący i oba palce serdeczne kończą się tuż za kłykciami. Kiedy teraz nimi pisze, dźga po prostu powietrze, jakby sięgał po coś, czego nigdy nie znajdzie. Nauczył się pisać tymi kikutami, zginając nadgarstki w taki sposób, aby dotknąć klawiszy. Pociera je kciukami.

Policjant, który go przywiózł na posterunek, stoi teraz pochylony nad biurkiem, zajęty cichą rozmową z sekretarką. Ma na imię Gary. Nabite, zwaliste ciało, ruchy jak u buldoga, gdyby buldog potrafił stać na dwóch łapach. Sekretarka jest młoda, piękna. Ma długie blond włosy, różowe paznokcie i chłodne niebieskie oczy, zrobione mocno na czarno, jakby nauczyciel grubym flamastrem zakreślił w wypracowaniu często powtarzany błąd. Gary napina dla niej bicepsy, udając, że nie robi tego celowo, ale Karl wie swoje. Jakby się przygotowywał na zderzenie, jakby chciał z rozbiegu wyważyć drzwi. Ona przesuwa wzrokiem po ramieniu Gary'ego, biceps, szyja i wreszcie patrzą sobie w oczy. On uśmiecha się triumfalnie, jakby coś wygrał: wyścig, zakład – o życie.

Karl odwraca się, wyciąga woreczek z kieszeni i wysypuje zawartość na biurko. Znalazł go w szufladzie stolika nocnego, kiedy zebrał się na odwagę, żeby przejrzeć jej rzeczy. Na metce przy woreczku był napis „Karl”. W środku jest dwanaście klawiszy z maszyny do pisania.

R, E, Z, P, O, N, A, I, C, A, Z, J.

Usiłowała mu coś powiedzieć, zdaje sobie z tego sprawę. Przez całe dni próbuje dociec, o co jej chodziło. Przetawia litery we wszystkich możliwych konfiguracjach.

Rozczepiana j.

Oj, przeinacza.

Raz poznajcie.

Zawsze kończy się tym samym.

Pozaczerniaj.

Co to znaczy. Zapomniała mu o czymś powiedzieć? O czym? Co ma pozaczerniać? Świat? Swoje życie? Chodzi o żalobę?

– No więc – mówi Gary, siadając za biurkiem – o co w tym chodzi?

Karl prostuje się na krześle i zgarnia klawisze do kieszeni.

– No więc... o nic – odpowiada.

Gary gmera wśród papierów na blacie, zbiera je w sterty.

– Jesteś Karl, zgadza się?

– Tak, proszę pana – odpowiada Karl, pisząc po udach dłońmi schowanymi w kieszeniach.

– A jak myślisz, dlaczego tu wylądowałeś?

– Bo zostałem zatrzymany.

– A dlaczego zostałeś zatrzymany?

– Nie jestem pewien, Gary.

– Nie wierzę ci. Myślę, że doskonale wiesz, dlaczego zostałeś zatrzymany. – Policjant robi się coraz bardziej służbisty. – Musiałbyś być skończonym idiotą, żeby nie wiedzieć. A nie wyglądasz mi na takiego.

Karl zastyga.

– Nie byłbym tego taki pewny, Gary. Całkiem często bywam idiotą.

– Posłuchaj, Karl. – Gary pochyla się, opierając łokcie o blat. – Posłuchaj. Postawiono ci poważne zarzuty.

– Zarzuty?

Policjant wyciąga szyję, żeby zajrzeć za biurko.

– Co ty tam robisz?

Ręce Karla są wciąż w kieszeniach, pisząc w trakcie mówienia. Palce poruszają się pod materiałem. O szlag. Zdaje sobie sprawę, jak to wygląda. Wyjmuje ręce z kieszeni. Kładzie na udach. A potem się rozmyśla, ale nie wie, co z nimi zrobić. Zwiesza je z boków pod kątem, jak dziecko udające rakiety.

Gary wskazuje manekina skinieniem głowy.

– A ten po co ci? To część zabawy?

– Zabawy?

– Tak, zabawy. – Gary pisze coś na kartce leżącej na wierzchu sterty papierów.

– Będziemy musieli pobrać wacikami próbki z tej lalki. I z ciebie też – oznajmia bezceremonialnie.

– Z manekina – poprawia go Karl. Nagle do niego dociera. – Przepraszam, co?

Pochodzi sekretarka z dwiema szklankami wody. W oczach Gary'ego zapalają się iskierki.

– W samą porę, słonko – mówi, bierze jedną szklankę i pociąga łyk. – Możesz przynieść zestaw wacików?

Dziewczyna stawia drugą szklankę przed Karlem.

– Jasne – odpowiada, posyłając Gary'emu promienny uśmiech, po czym odwraca się, zamaszycie odrzucając włosy na plecy.

Policjant odprowadza ją wzrokiem przez dobre pięć sekund.

Wtedy Karl to zauważa, na ścianie za biurkiem. Plakaty z twarzami patrzącymi wprost na niego. Niektóre to wyraźnie ich najlepsze ujęcia, inne – najgorsze z możliwych. Pod jednymi widnieje podpis: „Poszukiwany”. Pod innymi: „Zaginiony”.

Wśród tych twarzy widzi swoją, nie ma co do tego wątpliwości.

Jest „zaginiony”, nie „poszukiwany”. „Zaginiony”.

Rozumie to i akceptuje.

Gary unosi kartkę na wysokość jego oczu. Karl próbuje skupić wzrok. Czuje, jak wali mu

serce. Ociera dłonie o nogawki spodni.

– Co wiesz o domu spokojnej starości w Warwickvale?

Karl rozpoznaje logo na kartce i zaciska szczęki.

– A tak.

– Co tak?

– To dom spokojnej starości.

– Byłeś tam, Karl?

– Nie.

– Nie?

– To znaczy tak.

– To znaczy tak?

– Cóż, i tak, i nie.

Gary kładzie kartkę na środku biurka. Przesuwa łokcie po blacie i splata dłonie.

– Co, do ciężkiej cholery, chcesz przez to powiedzieć?

Karl się śmieje. Wysokim, piskliwym chichotem. Brzmiącym jak śmiech kogoś innego.

– Ja... ech. – Odchrząkuje. – Byłem tam z wizytą. Jak będziesz w moim wieku, to

wszyscy twoi znajomi tam wylądują!

Znowu ten sam piskliwy cudzy chichot.

Gary kiwa głową.

– No dobra. – Wstaje. – Zaczekaj tu, zgoda?

Uśmiechnięty Karl też kiwa głową, a Gary znika w sąsiednim pomieszczeniu i zamyka za sobą drzwi. Karl obraca się na krześle i patrzy na niego przez okno w ścianie działowej. Gary podnosi słuchawkę telefonu i wybiera numer. Zauważa, że jest obserwowany. Karl macha do niego ręką i puszcza oko. Gary zaciąga żaluzje.

– O rany, Manny – mruczy Karl pod nosem.

Sekretarka stuka zawzięcie w klawisze komputera.

– Cześć! – woła Karl przez całe pomieszczenie.

Ona podnosi głowę.

– Cześć – odpowiada bezbarwnie. Niezbyt przyjaźnie. Usta wykrzywione w grymasie.

Co zrobiłby Branson Spike?

– Miło się tu pracuje?

Karl zostaje zignorowany.

– A jak tam z płacą? Dobra?

Ona wkłada sobie słuchawki do uszu i kontynuuje pisanie.

– Pora na plan B, Manny – mówi Karl, rzucając szybkie spojrzenie na sekretarkę, aby się upewnić, że nie patrzy w jego stronę. Bierze szklankę i wylewa sobie wodę na krocze.

– Umm – stęka, dźwiga się i podchodzi do sekretarki.

– Ble! – Dziewczyna wyskakuje z krzesła. – Zostań tam! Coś pan narobił?

Karl przystaje.

– Przydarzyło mi się – odpowiada, podnosząc ręce, żeby w pełnej krasie zaprezentować mokrą plamę na spodniach.

– Ohyda. Starzy ludzie są tacy ohydni. – Grymas odrazy na wargach.

Wzrusza ramionami.

– Pozwoli pani, że...? – Wskazuje kciukiem drogę do toalet.

– Niech pan idzie.

– Zamienię się z nim na spodnie – mówi, chwytając Manny'ego pod pachę.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiada sekretarka. Wciąga głęboko powietrze i siada

z powrotem przed komputerem. – Po prostu trzymaj się pan ode mnie cholernie daleko.

– Zaraz wracam.

Strzałka wskazuje, że toalety znajdują się w głębi korytarza po prawej. Wejście jest po lewej. Karl zerka przez ramię na sekretarkę. Siedzi plecami do niego, ze słuchawkami w uszach. Karl uśmiecha się do Manny'ego, a Manny patrzy na niego z podziwem.

– Idziemy po ciebie, Millie – szepcze Karl, ruszając do wyjścia.

agatha pantha

- 07.43: Zabiera dziewczynkę. Idzie z nią na dworzec autobusowy.
- 07.53: Na ulicy mija je nastolatek. Ma aparat na zębach, krosty, czapkę na bakier.
- Pewnie myśli o masturbacji – rzuca głośno Agatha, gdy ocierają się ramionami.
 - Co? – pyta chłopak. Ścisza przy uchu telefon komórkowy, jakby to było koło ratunkowe.
 - Co tam gadasz przez ten plastik? Co gówniarze mówią innym gówniarzom? „Cześć, Fred, nie zmoczyłem się dzisiejszej nocy?”.
- Chłopak kręci głową.
- Jesteś zdrowo walnięta, paniusiu – odpowiada. Odwraca się i idzie dalej.
 - Za moich czasów nastolatków w ogóle nie było! – krzyczy Agatha do jego pleców.
- Człowiek był dzieckiem do drugiego roku życia, a potem stawał się dorosłym! – Patrzy na dziewczynkę. – To on walnięty! – oznajmia.
- 08.06: Docierają na dworzec.
- Co to jest masturbacja? – pyta dziewczynka.
 - To, co robią chłopcy, żeby się czymś zająć.
 - A dziewczynki?
 - Chłopcy się dotykają, a dziewczynki się przygotowują na dotykane przez chłopców.
- Tak to jest, takie jest życie. Powinnaś to zapisać!
- 08.07: Agatha znajduje budkę telefoniczną na dworcu. Dziewczynka dzwoni do mamy.
- Ciągle wyłączone – mówi.
- 08.09: Kupują bilety.
- Dwa do Kalgoorlie – zwraca się Agatha do kobiety w okienku.
 - Sześćdziesiąt cztery dolary.
 - Co?!
 - Sześćdziesiąt cztery dolary – powtarza kasjerka.
 - Ile?
 - Sześćdziesiąt. Cztery. Dolary – mówi dobitnie tamta.
 - Będziesz mi musiała zwrócić – zwraca się Agatha do dziewczynki.
 - Ale ja nie mam pieniędzy.
 - To znajdziesz pracę i zarobisz.
 - Ale mam siedem lat.
 - No właśnie!
 - Mój tata umarł.
 - Czyli obie przeszłyśmy przez to samo, bo mój też – odpowiada Agatha.
- 08.13: Rozgląda się po dworcu.
- Dlaczego tu jest tak dużo rzeczy do picia? – pyta. Pod ścianą ustawiono w szeregu cztery lodówki z napojami. – Za moich czasów to było mleko albo dwa rodzaje sodowej, żółta i czarna. Kto wie, co wlewali do środka. Czarna miała smak, uchodziła w tłoku. A teraz? Dlaczego jest piętnaście różnych rodzajów wody? – Zezuje na lodówkę. – Co to jest woda witaminowa, u licha? – Dziewczynka wzrusza ramionami. – Za moich czasów człowiek miał szczęście, jak dostał szklankę czystej wody!
- 08.24: Z drugiej strony siedzi jasnowłosy chłopiec i nie spuszcza z Agaty wzroku.
- Czego się gapisz? – Mały ani drgnie. – Ludzie nie lubią, jak się ktoś na nich gapi. Koty

też nie. Wcześniej się w tym połapałam. Powinnaś to zapisywać. Koty i ludzie nie lubią, jak ktoś się na nich gapi. Bierz długopis!

08.36: Na ścianie wisi reklama, zdjęcie kobiety trzymającej wywieszkę: „Starość może poczekać”. Agatha staje naprzeciwko, jakby się szykowała do pojedynku rewolwerowców. Jasnowłosego chłopiec wciąż na nią patrzy.

– Starość to nie wybór! – wrzeszczy do chłopca. Mały zaczyna płakać. Jego matka spogląda wściekłym wzrokiem na Agathę. – Nie ma sensu tego przed nim ukrywać! – dodaje Agatha i siada z powrotem.

Przez okno widzi ludzi wsiadających gęsiego do autobusu. Na przedniej szybie widnieje napis „Kalgoorlie”.

– No dobra – mówi.

Pozwala sobie na głębokie, posępne westchnienie.

millie bird

Czasem, gdy Millie zabiera kalosze na spacer po pobliskim parku, wśród sklepów lub na plażę, układa Mijane Wiersze. Dolatują ją dwa słowa od pary wysportowanych biegaczy truchtających ramię w ramię („On powiedział”), dwa słowa z ust matki mówiącej do dziecka w wózku („Chcesz smoczek?”) i jedno lub dwa słowa od staruszków trzymających się za ręce, jakby się wzajemnie podpierali („szczególnie”), a potem milczenie od dziewczyny niemającej prawie nic na sobie (...), tak że okulary przeciwsłoneczne to największa rzecz na niej, z muzyką wciśniętą w uszy, skoncentrowanej na przemieszczaniu tłuszczu z ud na cycki, ale wyraz jej twarzy, ta koncentracja, też staje się częścią wierszyka:

*On powiedział
Chcesz smoczek?
Szczególnie*

...

A więc teraz, kiedy idzie na tył autobusu, między rzędami siedzeń, przesuwając po nich palcami, stawiając kroki, znowu układa wiersz:

*Lubisz
Tylko dwadzieścia
Ślub w kościele?
O mój Boże!*

Lubi to, jak czasem słowa się zderzają, a kiedy indziej wsuwają w przestrzeń obok siebie, bez trudu. Zaskoczenie tym wywołane. Lubi też to, że wiersz jest sekretny, nawet dla niej, bo go nie zapamięta. Istnieje tylko w tej chwili.

Autobus frunie, drzewa, krzaki, domy przemykają do tyłu. Droga z przodu jest długa i prosta, a jej koniec wygląda jak skraj urwiska, z którego można wzlecieć w górę, w niebo, w przestrzeń, we wszechświat, w nic albo w coś, albo w jedno i drugie.

Słońce połyskuje na łądogach traw, rozpościerając po niebie barwę ognia, i nagle Millie czuje, że boli ją brzuch, wszystko boli, bo przypomniała sobie Wieczór Sprzed Pierwszego Dnia Czekania, więc siedzi cichutko obok Agathy i próbuje wysłać z głowy wiadomości do mamy. Skoro potrafi odłączyć głowę, żeby odleciała w przeszłość, dlaczego nie może jej odłączyć, żeby udała się w inne miejsce? PRZEPRASZAMMAMOPRZEPRASZAMMAMO, powtarza w myśli.

Kobieta siedząca po drugiej stronie przejścia karmi piersią małe dziecko. Wokół nich sieje zamęt mąż-tata. Millie czuje ucisk w żołądku.

Zerka na Agathę.
– Masz rodzinę, Agatho Pantha?
– Nie twoja zasmarkana sprawa!
– Kto rządzi rodziną?
– Co? Chyba rząd!
– Można założyć nową, jak się utraci starą?
Pytanie Tak Na Wszelki Wypadek.
– Ty nie możesz! Masz cztery lata!
– Siedem.
– Najpierw musisz zajść w ciążę! A czterolatki...
– Siedmio.
– Wszystko jedno! Nie możesz zajść w ciążę!

- Dlaczego nie?
- Bo musisz mieć... Mieć... – Agatha przełyka ślinę – comiesięczne odwiedziny!
- Z rządu?
- Dobry Boże, z jakiego rządu?!
- To skąd?
- Znikąd!
- To co za odwiedziny?
- No tak się mówi!
- Kto tak mówi?

Agatha wzdycha głośno.

– Poddaję się. Ktoś z rządu przychodzi i robi z ciebie kobietę!

Millie zerka na matkę karmiącą piersią i nachyla się do Agathy.

– Cycki też mi przyniesie? – pyta szeptem. – Ja ich nie wezmę.

– Teraz tak mówisz! Teraz ich nie chcesz, ale potem będziesz chciała, a gdy będziesz w moim wieku, będą dłuższe niż szersze i wtedy zapragniesz umrzeć!

Mężczyzna siedzący obok karmiącej kobiety nachyla się w kierunku przejścia.

– Można prosić trochę ciszej? – pyta, wskazując małe dziecko i przykładając palec do ust.

– Nie! – wrzeszczy Agatha.

– Ej! – woła kobieta prowadząca autobus. – Ciszej tam z tyłu!

Agatha prostuje plecy i krzyżuje ręce na piersi. Millie bębni palcami w podłokietnik.

– Kim chciałaś być, jak byłaś dorosła? – pyta szeptem.

– Nieważne – odpowiada Agatha szeptem, ale głośno.

– Chciałabym wiedzieć.

– No dobrze! Chciałam być wyższa! Chciałam być szczęśliwsza! Chciałam być pielęgniarką! Chciałam mieć własny komplet wspaniałych szklaneczek do sherry! Nie takich, jakich używa królowa, ale coś naprawdę z klasą! I tyle! To nie były wygórowane pragnienia! Ale nic z tego się nie spełniło! To życie o wszystkim decyduje, a nie ty!

– Chciałaś mieć męża?

– Małżeństwo to nie jest coś, czego chcemy! To coś, co się staje!

Millie wierci się w fotelu. Kobieta za kierownicą raz po raz spogląda w lusterko

wsteczne.

– Czy ty i twój mąż bardzo się kochaliście? – pyta Millie szeptem.

– Co to jest, spowiedź?

– Będziesz moją Czwartą Kropką?

– Czym?

– Ciszej! – upomina znowu mężczyzna po drugiej stronie.

– Dobra, dobra – odpowiada Agatha. – To ona jest stuknięta – dodaje, wskazując na

Millie. – Tak dla waszej wiadomości.

co jeszcze millie na pewno wie o świecie

Wszystkie te słowa istniały, ale to nie oznaczało, że można ich było używać. Nie było książki na ten temat, człowiek musiał sam się w tym jakoś rozeznac. Wydawało się, że wszyscy wiedzą oprócz niej. Jedne słowa można było mówić, a innych nie, tak właśnie wyglądało życie.

Przykłady tego, czego nie powinno się mówić nigdy do nikogo:

„Dlaczego jesteś taki gruby?”.

„Masz pochwę czy penisa?”

„Jaki chciałbyś mieć pogrzeb, gdy umrzesz?”

Pewnego wieczoru, kiedy mama szorowała na czworaka podłogę w łazience, Millie spytała:

– Jaki pogrzeb chciałabyś mieć, mamusiu? No wiesz, kiedy umrzesz.

Mama usiadła gwałtownie, jakby ktoś pociągnął ją z tyłu za szyję.

Millie cofnęła się o krok.

– Bo dzisiaj w szkole pękł balonik i George się rozplakał, a Claire się śmiała, ale wszyscy byli zaskoczeni i ja chciałabym, żeby na moim pogrzebie była taka niespodzianka, taka, żeby wszystkim serce mocniej забиło, żeby sobie przypomnieli, że ciągle mają bijące serce, więc chciałabym, żebyś miała balonik i żeby tata też miał balonik i żebyście je przebijali o różnych porach. W porządku? – spytała Millie po chwili, bo mama milczała.

– Idź do swojego pokoju – padła odpowiedź, gdy mama odzyskała dech.

Millie spełniła polecenie i usiadła obok łóżka. Zaczęła rysować palcem wzory na dywanie, potem patrzyła przez okno na świat do góry nogami, leżąc na plecach na łóżku, ze zwieszoną głową. Ziemia była niebem, niebo było ziemią, a drzewa rosły w dół. W tym odwróconym świecie wszystko wydawało się swobodniejsze.

Kiedy do pokoju wszedł tata, Millie wpatrywała się akurat we wzory narysowane palcem na dywanie, na małe dróżki dla małych ludzików.

– Dlaczego, tato?

W lot pojął, o co jej chodzi. Posadził ją sobie na biodrze, jak to robił, odkąd sięgała pamięcią, gdy jeszcze była najmniejszą istotą na świecie.

– To taka zasada – odparł. – Nie wolno o tym mówić.

– No tak, ale kto tak kazał?

Wzruszył ramionami.

– Bóg?

– Przecież Bóg bez przerwy zabija ludzi. Tak mówi mama.

– No to może ktoś inny? Ten sam facet, który wymyślił zasadę, że nie wolno pokazywać kogoś palcem i śmiać się z niego albo iść na pocztę bez spodni. Jest taki facet, który wymyśla zasady, a my musimy się ich trzymać. Rozumiesz?

– Nie lubię go.

Tata się roześmiał.

– Nikt go nie lubi.

Kilka tygodni później Millie siedziała na zielonym plastikowym krześle w szopie sąsiada. Pamiętała, że krzesło było zielone, bo próbowała wtedy mieć zielone myśli. Trawa. Drzewa. Żaby. Pojemnik na śmiecie. Kanapa. Czasem drobinki jedzenia między zębami taty. Kamyk na pierścionku tej pani. Tamta puszka piwa. Piórnik.

W szopie był też tata i wszyscy mężczyźni z sąsiedztwa, była też mama i wszystkie kobiety z sąsiedztwa. Mężczyźni z sąsiedztwa mieli szaliki i piwo w rękach, tata trzymał ochładzacz z mapą Australii z jednej strony i panią w bikini z drugiej, wszyscy rozmawiali bardzo głośno o golach i zagrywkach, ofensywnych pomocnikach, skrzydłach, sędziach i środku pola, a słowa te otaczali innymi słowami, tymi, których na ogół nie wolno było mówić, ale tego dnia z jakiegoś powodu zasady nie obowiązywały. Słowa takie jak „pierdolony” i „gówno” oraz „A co to za dupek?” i jeszcze „Kurwa, co ty, żarty sobie robisz, skurczysynu?”. Kobiety z sąsiedztwa i mama krążyły dokoła z talerzami jedzenia jak w powolnym tańcu, mówiąc: „Widzisz, jak on się do mnie odzywa?” i „Chcesz sosu, skarbie?”, i „Zabierz łapsko!”. Tata zachowywał się głośno, a mama ciągle się uśmiechała, oboje jakby inni niż zwykle. Dzieci na

dworze krzyczały: „Berek!” albo „Oszukujesz!”, „Już nie jesteś moim najlepszym kolegą!”, Millie siedziała zaś na zielonym krześle i myślała: „Natka. Ogórek. Pasta z awokado”.

Miała poczucie, że w szopie sąsiada obowiązują zasady, których nie zna, ale które znają wszyscy inni, zasady określające, jak mężczyźni, kobiety i dzieci powinni się zachowywać wobec siebie; zasady, które mężczyznom wyznaczały miejsce na kanapie przed telewizorem, kobietom wyznaczały przestrzeń między mężczyznami, a dzieciom przestrzeń na dworze.

Rośli mężczyźni ubrani identycznie stali w rzędzie na ekranie, poruszając ustami, „Radujmy się, Australijczycy...”. Kamera zatoczyła łuk po ziemi. Ziemia była wielka, wydawała się nierzeczywista. „Umarłbym szczęśliwy, gdybym tam teraz był”, powiedział tata, przekrzykując wszystkich. Tata i mężczyźni z sąsiedztwa roześmiali się jak na komendę, ale Millie słyszała tylko jego głos, te zakazane słowa, jak koziołkujące kamyki, koziołkujące po powierzchni wszystkiego innego.

– Czy można umrzeć szczęśliwym? – spytała szeptem swoich kaloszy.

karl maszynopiszący

Zanim Evie zachorowała, pracowała czasem na popołudniową zmianę w domu towarowym. Pewnego wieczoru, przy kolacji, powiedziała:

– Marzyłeś może kiedyś o tym, że zostajesz zamknięty w domu towarowym?
– Oczywiście.
– Powinniśmy kiedyś spróbować. Moglibyśmy się schować w męskiej przymierzalni, gdy będą zamykać. Tam nikt nie sprawdza. – Uśmiechnęła się do niego figlarnie. – W tym mieście mężczyźni nie przymierzają ubrań.

Mówili na zmianę, co by zrobili, gdyby udało im się przeprowadzić ten plan:

– Skakalibyśmy po łóżkach – powiedziała Evie.
– Zjedlibyśmy całą czekoladę.
– Wypróbowałabym wszystkie szminki.
– Nie musisz używać szminki, kochanie.
– Pisalibyśmy na tych wszystkich wystrzałowych komputerach.
– Przecież nie wiesz, jak działa komputer.
– Nie musiałby być włączony.
– Wydłubałbym wszystkie klawisze i ułożył list miłosny do ciebie.
– Ależ, kochanie – odparła, ściskając jego dłoń na stole. – Przecież nie jesteśmy wandalami.

– A może jesteśmy? Może będziemy, gdy zamkną nas w domu towarowym?

Wydawało się, że w fantazji o nocy spędzonej w domu towarowym kryje się jakaś alternatywna wersja ich związku.

Ale nie zrealizowali swoich planów, bo mówili dużo, a robili mało i obojgu to wystarczało.

* * *

Tak więc gdy Karl Maszynopiszący uciekł z domu starców, poszedł prosto do domu towarowego i zaczął na jego otwarcie. Potem usiadł w kawiarence i ujął kubek w obie dłonie. Ugruntowywało go trzymanie czegoś w ten sposób. Obserwował ludzi mających konkretne życie, przyszłość i miłość, czując, jakby unosił się nad tym wszystkim, jakby doznania tych ludzi lokowały się poza znanym mu doświadczeniem. Następnie, o wpół do piątej, wszedł do męskiej przebieralni i czekał.

Udało się, tak jak przewidziała Evie, więc spędzał tam odtąd każdą noc, wyslizgnąwszy się z przebieralni po wygaszeniu świateł, kładł się do jednego z łóżek w ekspozycji na tyle godzin, na ile miał śmiałość. Co rano szedł półtora kilometra na pole biwakowe, zakradał się pod natryski, brał kąpiel, a potem wracał tą samą drogą do domu towarowego. Popołudniem siedział w tamtejszej kawiarni, patrząc w kubek z kawą i myśląc: „Wyjeść całą czekoladę, poskakać na łóżkach, napisać list miłosny do ciebie”. A potem, gdy zegar wskazywał wpół do piątej, Karl rozpoczynał cały proces od nowa.

Spędził tam prawie trzy tygodnie, wykroiwszy dla siebie życie, które było całkiem znośne. Nikt go nie rozpoznał. Najwyraźniej nikt go nie szukał. Pewnym kłopotem był Stan, niewysoki małomówny mężczyzna o groźnym wyglądzie, oraz drugi ochroniarz, którego Karl widywał jeszcze za czasów Evie. Ale okazało się, że Stan pracuje jako ochroniarz w całym mieście, więc w domu towarowym dyżurował tylko raz albo dwa razy w tygodniu, a wtedy przeważnie i tak siedział w biurze na tyłach, oglądając powtórki programów telewizyjnych z lat

osiemdziesiątych. Karl zaczął myśleć, że spędzi w domu towarowym resztę swoich dni. Byłoby miło. Miał wszystko, czego potrzebował. Nie widział żadnego powodu, żeby cokolwiek zmieniać.

Potem pojawiła się Poprostu Millie i życie stało się bardziej interesujące, bardziej skomplikowane, bardziej optymistyczne. Pierwszego wieczoru ich wspólnego pobytu w domu towarowym przyciął się za stojakami z artykułami dla młodych matek i patrzył, jak dziewczynka wygląda przez okno na opustoszały parking. Potem patrzył, jak wraca do działu z damską bielizną i wtedy uznał, że powinien się nią zaopiekować.

Drugiego wieczoru obserwował ją zza manekina – zastanawiał się, jak ją zagadnąć, żeby jej nie wystraszyć – gdy nagle przyszedł Stan. Karl spanikował i pchnął na niego manekina. Chciał tylko odwrócić uwagę ochroniarza, aby Millie mogła czmychnąć, ale skończyło się znokautowaniem Stana na kilka minut. Millie dała drapaką. Karl rozejrzał się po poboju – Stan przyklejony twarzą do podłogi, Manny przygniatający mu głowę – i pomyślał: „Hm, ten facet to skończony idiota”.

Teraz kręcenie się po domu towarowym wymaga większego sprytu. Szukają go. Ludzie, którzy wiedzą, jak wygląda. Są plakaty z jego twarzą, żeby dać znać, gdzie trzeba. I jeszcze musi uważać na Manny’ego.

Co zrobiłby Branson Spike?

Karl zabiera więc Manny’ego na dworzec autobusowy i chowa go za wielkim kontenerem na śmieci. Okrywa go swoją fioletową marynarką.

– Zaraz wracam – mówi, klepiąc go uspokajająco po ramieniu.

Idzie do sklepu Wszystko Po Dwa Dolary, kupuje okulary i nowy kapelusz. Następnie prężnym krokiem wchodzi do domu towarowego. Plecy wyprostowane, śmiałe spojrzenie.

Nikt nie zwraca na niego uwagi, co jest irytujące. Zadał sobie tyle trudu, lecz nikogo to nie obchodzi. Mija ochroniarza i nic. Helen siada obok niego w kawiarni i nic. Sekretarka z posterunku policji wertuje czasopisma w odległości zaledwie kilku kroków od niego i nic. Nikt go nie rozpoznaje. Wcale go nie szukają. A jeśli go widzą, to mają to gdzieś.

Karl się nie liczy.

Gdy więc dom towarowy zostaje zamknięty na noc, Karl upewnia się, że Stana nie ma w pobliżu, sprawdza trzy razy, czy Millie nie ukrywa się w dziale z damską bielizną ani za rośliną w donicy, następnie wyjmuje śrubokręt i wyłamuje klawisze z łącznikami z klawiatur wszystkich komputerów, które udaje mu się znaleźć.

– Widzisz, Evie? – mówi. – A jednak wandal ze mnie.

Układa wszystkie klawisze w rzędzie na ladzie w kawiarni – to jak własnoręczny podpis. W dziale z zabawkami znajduje kredę, wraca do kawiarenki i na tablicy z menu pisze: „Jestem tu”. Zsuwa razem stoły, układa solniczki i pieprzniczki. „Jestem tu”.

Przekonuje się, że biuro jest otwarte, więc wchodzi i przetrząsa szuflady w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby go naprowadzić na ślad Millie. Nic. Gdzie ona może być? Znaleźli ją? Co jej zrobili? Siada na biurku i pociera dłońmi twarz. Przygląda się idealnie białej ścianie. Otwiera flamaster i pisze starannie dużymi okrągłymi literami: „Karl Maszynopiszący tu był”.

Rankiem idzie na dworzec autobusowy niecały kilometr dalej, żeby sprawdzić, co się dzieje z Mannym.

– W porządku? – pyta, unosząc marynarkę. – Nie zostaniesz tu na zawsze. Tylko do momentu, aż znajdziemy Millie. – Manny’emu nic nie jest, trochę zwilgotniał od porannej rosy. – Potrzebujemy tylko planu.

Karl wysuwa głowę zza rogu dworca. Widzi pięć długich zatoczek z zaparkowanymi autobusami. Drzwi jednego się zamykają i ożywa silnik. W oknach ciągną się rzędami twarze

pasażerów. Niektórzy przystawiają nosy do szyb, inni patrzą wprost przed siebie. Autobus się cofa, a Karl patrzy na twarze w oknach, przypominające zdjęcia portretowe. „Poszukiwany – myśli. – Zaginiony”.

I nagle, na tylnej szybie, widzi napis, przyklejony od środka, ale skierowany na zewnątrz: TUTAJ MAMO.

– Millie? – pyta przez ściśnięte gardło. A potem, gdy autobus rusza i toczy się z wysiłkiem pod górę, pełnym głosem, rozpaczliwie: – Millie! – Zrywa marynarkę z manekina i mówi: – Manny! W tym autobusie jest Millie!

Wcisła sobie Manny’ego pod pachę i biegnie na dworzec.

– Przepraszam – sapie zziąjany, podchodząc do okienka. – Gdzie jedzie ten autobus? Kasjerka nie podnosi wzroku.

– Do Kal – odpowiada, nie odrywając wzroku od monitora służbowego komputera.

– Aha. A jest jakiś inny autobus do Kal?

– Oczywiście.

– Świetnie! Jeden bil...

– Odjeżdża jutro o tej samej porze.

Karl wzdycha. Opuszcza głowę na ladę.

– Proszę pana!

Podnosi spojrzenie. Kasjerka wreszcie na niego patrzy.

– Proszę tak nie robić – mówi i odpycha go delikatnie od okienka. Wyjmuje ściereczkę i wyciera ladę w miejscu, w którym Karl dotknął jej głowę.

* * *

Karl stoi na chodniku naprzeciw dworca, z manekinem pod pachą, zastanawiając się, co robić. Obok zatrzymuje się samochód. Przez okno od strony pasażera wystawia głowę jasnowłosy chłopak.

– Spóźnił się pan na autobus? – pyta.

Ściągnięte brwi wyrażają troskę.

Karl od razu czuje do niego sympatię.

Tak! – woła w myślach.

Chłopak ruchem głowy wskazuje manekina.

– Potrzebujecie podwózki?

W oddali Karl dostrzega radiowóz policyjny zjeżdżający ze wzgórza.

– Tak – odpowiada szybko, odwracając się plecami i ściągając ramiona, żeby nikt nie zdemaskował jego starannego przebrania. Przykuca obok samochodu i zagląda przez okno do środka. Za kierownicą siedzi drugi blondas, tym razem dziewczyna, która mruga do niego.

Podobna rozluźniona twarz.

– Jedziemy na wschód – mówi z uśmiechem, który wskrzesiłby umarłego.

– Aha. Ja muszę do Kalgoorlie.

Jej idealne nastoletnie nogi połyskują i jarzą się pod kierownicą.

– Eee, proszę pana – odzywa się chłopak. – Pański, eee... Pańska rzecz...

– Och! – Karl uświadamia sobie, że szturcha go głową Manny’ego w twarz.

– Przepraszam za to. Ale to żyyyjeee!

Potrząsa manekinem i robi minę głupka, ale najwyraźniej nie rozumieją aluzji. Tymczasem radiowóz jest już w odległości zaledwie kilkuset metrów. Karl daje nura za samochód.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

Chłopak wystawia głowę przez okno, żeby zerknąć na Karla skulonego przy krawężniku.

Karlowi podoba się to, że chłopak zwraca się do niego „proszę pana”, bo przez to czuje się tak, jakby był u krawca.

– Tak, dziękuję – odpowiada, wciąż siedząc w kucki, zerkając zza samochodu na przejeżdżający obok radiowóz. – Poślizgnąłem się po prostu.

W tej chwili podoba mu się także to, że jest stary, że nikt nie podejrzewa go o kłamstwo. To zapewne ageizm, założenie, że starzy ludzie są niewinni jak dzieci, ale to mu nie przeszkadza. Wydaje się fair, wydaje się sprawiedliwe, jak nagroda za to, że przeżył aż tyle lat. Kiedy radiowóz znika w głębi ulicy, Karl się prostuje, otrzepuje ubranie, puszcza oko do dziewczyny i uśmiecha się do chłopaka.

– Kochamy się – informuje blondyn. – I potrzebujemy kierowcy z prawkiem.

Karl dostrzega literę L na szybie.

– No tak – odpowiada. – Luz. Jeśli o mnie chodzi, to luz. – Przygląda się im uważnie, żeby się zorientować, czy używają tego słowa.

Ich twarze nie wyrażają zbyt wiele.

Dziewczyna przechyla się w bok nad kolanami chłopca.

– Chętnie najpierw pojedziemy do Kalgoorlie – mówi.

Karl kiwa głową. Wskazuje tylną kanapę.

– Macie wolne miejsce? – pyta.

* * *

Siedzi pośrodku tylnej kanapy i próbuje nie myśleć o połyskliwych nogach dziewczyny. Z boku tkwi Manny przypięty pasem. Po drugiej stronie pudło z mikserem i tosterem. Karl nachyla się do przodu, wciskając łokcie w oparcia przednich foteli. Łokcie dziewczyny i chłopaka są wystawione na zewnątrz, dłonie czepiają się wiatru. Tych dwoje nie ma pojęcia o tym, co nadejdzie. Tylu rzeczy muszą się jeszcze dowiedzieć, o tylu rzeczach przekonać. Czy Karl pamięta, jak odkrył, że nic nie wie? Nie. To był stopniowy proces, rodzaj rozsypywania się, który trwał latami. Myśli o Czarnoksiężniku z Krainy Oz.

– Rozsypuję się!

Dziewczyna uśmiecha się do niego w lusterku wstecznym.

– Pas – upomina.

Karl prostuje plecy, udając rozluźnionego. Myśli o Bransonie Spike’u.

– A wiecie, kiedy miałem wasze lata, nie było pasów – stwierdza. Zapinana kłamra klika.

– Całe to gadanie o bezpieczeństwie. Lekka przesada, nie myślicie?

– Rany, proszę pana – odpowiada chłopak, obracając się w fotelu, żeby zerknąć na Karla. Patrzy na niego szeroko otwartymi oczami, jakby natknął się na starożytne miasto. – Nie było pasów? Musi pan być... eee... no wie pan...

„Pan” już się trochę wyświechtało od nadmiernego użycia.

– Pewnie na fleku też nigdy nie jeździliście.

– Nie, proszę pana. Nie pijemy.

– On będzie neurochirurgiem – mówi dziewczyna.

– No – potwierdza chłopak, wzruszając skromnie ramionami.

– Moje słoneczko ma takie niezawodne ręce.

On przesuwając dłoń przed twarzą.

– Mam nadzieję – kwituje.

Karl zaczyna go nie lubić.

– No tak – mruczy, obejmując Manny’ego i mikser. – Ja przez cały czas jeździłem po pijaku. Gliniarze mieli to wkalkulowane.

Widzi, że Manny zerka na niego kątem oka, rozszyfrowując blef.

– A co pan robił? – pyta chłopak.

– Co robiłem?

– No, tak w ogóle, w życiu.

Czas przeszły.

– Byłem... Hm...

Szuka w głowie czegoś imponującego.

– Co to? – pyta dziewczyna, zerkając w lusterku wstecznym na Manny'ego, ratując Karla przed sprawieniem im zawodu. – Jakaś dziwna... no wie pan... rzecz do seksu? – Słowo „seks” wypowiada szeptem. – Nie oceniamy – zastrzega pośpiesznie.

– No pewnie, nie oceniamy – potwierdza chłopak, poruszając brwiami do Karla.

– Cokolwiek pana kręci.

Ech, Karl chciałby, żeby to naprawdę była jakaś pokręcona rzecz do, no wiecie, seksu.

– Tak – potwierdza, zanim umysł nadaża za ustami. – Seks i różne takie. Mnóstwo.

– O rany – odpowiada chłopak, przekrzywiając głowę, patrząc na Manny'ego, jakby próbował rozgryźć zasady użycia.

– Z dorosłymi – dodaje pośpiesznie Karl. – Z bardzo starymi dorosłymi.

– My to lubimy – odpowiada dziewczyna. – No wie pan. TO.

– Co pan robi z rękami? – pyta chłopak.

– Co robię?

– Taa. Co tam się dzieje? Co pan tam kombinuje?

Karl patrzy na kanapę pod sobą.

– Kombinuję?

– Luz. Czy dlatego wali pan do Kal? Żeby coś zaliczyć?

– Co zaliczyć?

Karl jest mocno zdezorientowany i próbuje się pozbierać. Odwraca głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę, patrzy, jak czarny asfalt szosy wytryskuje spod kół, jakby magik wyciągał z rękawa niekończącą się wstążkę. Patrzy na mikser i toster z boku i myśli o tym, jak miło byłoby używać razem z kimś takich przyborów; zacząć całkiem nowe życie bez niczego, tylko z możliwością mieszania żywności i przypiekania chleba.

– W tym autobusie ktoś jedzie – mówi. – Dlatego muszę go dogonić.

Zaintrygowana dziewczyna łypie na niego w lusterku wstecznym.

– Jest pan zakochany w tej osobie?

Karl zastanawia się nad odpowiedzią.

– W pewnym sensie.

– Och. Zakochani starzy ludzie. To takie słodkie. – Dziewczyna odwraca się do chłopaka.

– Musimy go wsadzić do tego autobusu. Musimy wsadzić pana do tego autobusu. Pan też jest słodki.

– Serio?

Karl się zastanawia. Nie wie, czy to komplement, czy obelga.

– Jest pan żonaty? – pyta chłopak.

– Tak. Znaczący nie. To skomplikowane.

– Dlaczego? Gdzie jest pańska żona?

Karl patrzy na swoje dłonie.

„Jestem tu, Evie”, pisze palcami na kolanach.

– W parku sztywnych.

– Ach – mówi chłopak i po chwili dodaje: – To znaczy, że ona...

– Tak.

Młody odwraca się do Karla.
– Bardzo mi przykro, proszę pana.
– Słoneczko, jesteś taki dobrze wychowany – mówi dziewczyna, patrząc na chłopaka i odbijając samochodem w lewo.
Karl z tylnego siedzenia wskazuje palcem drogę.
– Hm.
– To ty jesteś – odpowiada chłopak, patrząc na nią. – Ty masz dobre maniery, kotku.
Dziewczyna zjeżdża na pobocze i zatrzymuje wóz. Desperacko chwyta jego twarz w obie dłonie i patrząc mu prosto w twarz, mówi:
– Nie umieraj. Nigdy.
– Nie – odpowiada on, kładąc jej dłonie na ramionach. – Obiecuję.
– Powiedz całym zdaniem – nalega dziewczyna, ściskając jego twarz. – Powiedz: „Nigdy nie umrę”.

– Nigdy nie umrę.
Umrze, umrze, chce powiedzieć Karl, gdy zaczynają się roztkliwiać nad sobą tak łzawo, jakby się tego nauczyli z filmów. Obmacują się, pociągają za ubrania, włosy i wargi, jakby chcieli się wyrzucić na lewą stronę. Zdaje się, że to się szybko nie skończy. Chyba się nakręcili. Jak ludzie ze wsi, gdy mówią o deszczu.

– Chyba... – mówi. – My... Pójdę łyknąć świeżego powietrza.
Nie słyszą go. Albo mają to gdzieś. Chłopak zrywa z siebie koszulę. Czy normalni szesnastolatki mają taką umięśnioną klatkę piersiową?
– To my tego... – Karl wskazuje za okno. – Zostawię was... – Nie potrafi oderwać wzroku od chłopaka. Niewiarygodne. Jak coś w telewizji. – Nie przeszkadzajcie sobie. – Dotyka swojej piersi, w miejscu, gdzie dawniej były mięśnie. Na pewno były? – Pora na zajęcia w podgrupach.

Przechyla się przez Manny’ego, otwiera drzwi, wypycha go i wysuwa się za nim na zewnątrz. Cicho zamyka drzwi. Nie wie, dlaczego zachowuje się tak, jakby spali, a on nie chciał ich obudzić. Podnosi Manny’ego i taszczy go pod pobliskie drzewo. Opiera go o pień i staje obok. Po obu stronach szosy ciągną się małe eukaliptusy, tu i ówdzie z rdzawej ziemi wyrastają kępy trawy, jak wąs u nastolatka.

– Popisy – mówi Karl, odciągając kołnierz koszuli i zaglądając pod spód. Czuje na sobie spojrzenie Manny’ego. – Nie patrz tak na mnie. – Opiera się o pień. – Przepraszam za, no wiesz. Za tę rzecz do seksu. – Łapie się na tym, że też wypowiada szeptem ostatnie słowo. – Ja bym nigdy. – Wzrusza ramionami. – Nie wiedziałbym nawet, jak zacząć. – Splata ręce na piersi.

Słyszy stłumione odgłosy dobiegające z samochodu, coraz głośniejsze.

– Co oni wiedzą o miłości, Manny?

Klakson zaczyna trąbić rytmicznie, płosząc stadko różowo-szarych kakadu.

* * *

Karl zasypia, siedząc oparty o drzewo, z rękami owiniętymi wokół pozostałej nogi Manny’ego. Budzą go chichoty i trzask drzwi.

– Proszę pana! – woła chłopak.
– Szybko, Manny. – Karl czuje przyływ spontaniczności. – Udawaj, że nie żyjesz.
– Osuwa się na ziemię. Żwir wciska mu się w kark. – Nie martw się – próbuje uspokoić Manny’ego, klepiąc go po stopie. – Będzie wesoło. Spodoba im się.

Obserwuje spod powiek, jak nadchodzi. Chłopak daje dziewczynie klapsa w pośladek, ona podskakuje i grozi mu palcem, niby urażona.

– Proszę pana.

Nagły cień przesłania słońce. Chłopak staje nad Karlem.

Karl czuje szturchnięcie w ramię.

– Proszę pana! Jedziemy dalej. – Chłopak chwyta go za ramiona i nim potrząsa. – Proszę wstać.

Karl czuje jego oddech na policzku.

Dziewczyna zaczyna panikować.

– Zabiłeś go, ty głupi skurwielu! – wrzeszczy. – Wiedziałam, że któregoś dnia kogoś zabijesz!

– Przecież to nie moja wina!

– Nie trzeba było brać takiego starego! Mówiłam ci, że jest za stary!

Karl podskakuje lekko na te słowa.

– Zamknij się, dziwko! – odpowiada chłopak. – Próbuję się skupić. Nie mogę myśleć przy tym twoim gęganiu.

Ona wali go ręką, zaczyna okładać pięściami, tę umięśnioną klatkę piersiową, a on prawie się nie krzywi, kim jest, Supermanem?

– Co zrobimy ze zwłokami? – pyta dziewczyna.

– Musimy je zakopać – odpowiada chłopak i ciągnie Karla za nogę.

Karl zaczyna czuć się głupio, więc otwiera oczy i macha do nich rękami, jak to czasem robią zawodnicy w Milionerach.

– A kuku! – mówi, ale bez większego przekonania.

Chłopak odskakuje z wrzaskiem.

Dziewczyna też krzyczy.

Czy ktoś kiedyś tak na niego krzyczał? Chyba nie, więc Karl się uśmiecha i dźwiga na nogi, krzywiąc się z bólu w starych kościach.

– Taki żart, widzicie?

Obraca się, próbując płasnąć.

Odtąd podróż przebiega w napiętej atmosferze. Karl próbuje nawiązać zdawkową rozmowę, o rodzinie, pogodzie, markach samochodów. Czyta mijane po drodze tablice informacyjne i znaki drogowe:

– Kalgoorlie sto, czyli już niedaleko. Droga z pierwszeństwem przejazdu. Uwaga, zwierzęta gospodarskie.

Wskazuje samotne ptaki, rozjechane zwierzęta na szosie, zmiany w wyglądzie buszu, próbując modulować głos, żeby wzbudzić zainteresowanie.

Wreszcie postanawia zmienić podejście.

– A powiedzcie, ilu nieboszczyków widzieliście w życiu?

– Słucham? – pyta dziewczyna.

Odchrząkuje.

– No wiecie... Czy ktoś w waszym życiu... odszedł.

– Dlaczego pan pyta? – dziwi się chłopak.

– Chce pan nas zabić?

– Nie, skąd. To tylko pytanie. Jak będziecie mieli moje lata... Wtedy wszyscy, których kochacie, już umrą.

Dziewczyna znowu zjeżdża na pobocze i wysiada z samochodu.

– Idę na siku – oznajmia. – Jak wrócę, lepiej, żeby nikt nie udawał trupa. Inaczej was pozabijam.

Zatrząskuje drzwi i znika w krzakach.

Chłopak odwraca się do Karla.

– Jeszcze szmat drogi przed nami, stary – mówi.
– Nie zawsze byłem stary, młody? – Karl nachyla się do przodu. – Zróbmy coś – szepcze konspiracyjnie.

– Co?

– Ukradnijmy coś. Nalejmy piwa do manierek.

– Co to jest manierka?

Przypomina mu się *Ale chala!* I Brandon Spike.

– Przewróćmy kilka skrzynek na listy. Obrzućmy jakiś dom jajami.

– Wtedy będziemy musieli posprzątać.

– Nie chcesz poigrać z niebezpieczeństwem?

– Nie bardzo.

Karl osuwa się z powrotem na kanapę.

– Daj se siana, stary. – Chłopak unosi brwi.

– Co przez to rozumiesz?

– Wiesz co.

Więc Karl splata ręce na piersi. Jeśli on woli w ten sposób, to w porządku.

Znowu patrzy przez tylną szybę. Szosa wydaje się teraz inna, gdy stoją w miejscu. To już nie jest magiczna sztuczka. Wydaje się posępna w swoim bezruchu. Ale potem coś drga na widnokręgu z tyłu. Autobus.

– Patrz – zwraca się Karl do Manny'ego.

– Co? – pyta chłopak.

– Autobus – odpowiada Karl, gdy pojazd przemyka obok, a pęd powietrza potrząsa samochodem.

Nachyla się do przodu i opiera dłonie na desce rozdzielczej.

– Ej – protestuje chłopak.

Na tylnej szybie autobusu Karl dostrzega zarys białej kartki.

– To ona – mówi, odwracając się do chłopaka. – To ona. Zdecydowanie. Jazda za tym autobusem!

– Co?

Autobus się oddala, więc zdesperowany Karl próbuje przesiąść się do przodu, ale chłopak go odpycha, stękają i jęczą, Karl nie ma szans na zwycięstwo, nie ma szans w walce z tą klatką piersiową, z tymi mięśniami, więc wciska się z powrotem w tylną kanapę i zapada cisza, przerywana tylko zziąjanym dyszeniem.

– Uspokój się – mówi chłopak, ale Karl nagle zmienia zdanie, owszem, może wygrać i wygra, otwiera tylne drzwi, otwiera przednie i chce się wepchnąć, ale chłopak znowu go odpycha, więc Karl chwyta się kierownicy, żeby nie upaść, lecz tamten próbuje oderwać jego dłoń, a to nierówna walka, bo chłopak ma wszystkie palce zdrowe i całe, niczego jeszcze w życiu nie utracił, nawet nie wie, co człowiek czuje, gdy coś utraci, gdy utraci wszystko, nie ma pojęcia, bladego pojęcia, więc Karl cofa rękę, a chłopak nie ma pojęcia, że Karl zbiera wszystko w dłoniach, wszystko, co utracił, wszystko skanalizowane jest teraz w jego palcach, w tych opuszkach, które stracił, i w tych, które wciąż ma, czuje to, jak tętni w palcach, JESTEM TU, i wali go, wali chłopaka z całej siły w czoło.

– Au! – krzyczy Superboy, pocierając bolące miejsce i patrząc z wyrzutem na Karla.

– Przepraszam – mówi Karl zdyszany, już żałując swojego postępku, opierając się o samochód, próbując złapać oddech.

– Poważnie, człowieku, to nie było w porządku.

– Przecież przeprosiłem. Człowieku.

Obok Karla pojawia się dziewczyna.

– No i? – pyta z dłońmi na biodrach.

– No i co?

– To – odpowiada, wskazując drogę.

Karl idzie do przodu, przed samochód, unosi dłoń do oczu i patrzy w kierunku Kalgoorlie.

Autobus stoi w oddali.

– Jest tam – mówi. – Czekajcie! – woła, machając ręką. – Dzięki za podwózkę – zwraca się do jasnowłosej pary. – Było chałowo! – Chwyta Manny’ego z tylnego siedzenia i zatrzaskuje drzwi. – Idę.

Gdy zaczyna człapać drogą, zza pleców dobiega go głos dziewczyny:

– Co jest z tobą, do cholery?

– Walnął mnie w czoło – odpowiada chłopak.

– Boże, jesteś żaloszny. Mama miała rację co do ciebie.

Ich głosy cichną w oddali.

– Czekajcie – mówi Karl, przebierając nogami tak szybko, na ile starcza mu sił.

– Zaczekajcie na mnie. – Żałuje, że nie może puścić się biegiem jak dawniej, żałuje, że nie czuje już swobody i bez troski w swoim ciele. Skupia wzrok na białym prostokącie w tylnym oknie autobusu. – Proszę, nie odjeżdżajcie – szepcze.

Dogania go samochód i z okna wyfruwa jego marynarka. Trafia go prosto w twarz.

Jasnowłosi ruszają z piskiem opon, tryskając żwirem spod kół, zasnuwając Karla chmurą kurzu. Ściąga marynarkę z głowy i patrzy, jak tamtych dwoje odjeżdża w bez troskę młodości. Bierze głęboki oddech i wrzeszczy ile sił w płucach: ON UMRZE, WIESZ?!

millie bird

Autobusem kieruje kobieta, która wygląda tak, jakby nosiła rzeczy po starszym bracie: niebieskie szorty, za duża koszula z krótkim rękawem, skarpety podciągnięte do kolan, czarne sznurowane buty. Bardzo szczupła, ze sterczącymi włosami. Millie rusza przejściem między siedzeniami, ciągnąc za sobą nogę manekina.

Prawda
wspaniale
iść do toalety

Wybiera miejsce w pierwszym rzędzie. Na desce rozdzielczej widnieje nalepka: „Wolisz rozmawiać z ważniakiem z zarządu czy z kobietą, która wie, o co chodzi?”. Millie patrzy na białe kreski na szosie. Podoba jej się, jak zlewają się w jedną długą linię dzielącą świat na pół, gdy autobus jedzie wystarczająco szybko.

– Widziała pani kurczaki w kubelkach? – pyta Millie.

Kobieta za kierownicą milczy przez całą wieczność. Siedzi tylko i prowadzi, jakby w ogóle nie usłyszała pytania. Millie już chce powtórzyć, gdy nagle ona mówi:

– Robię to od trzydziestu lat. – Trudno ocenić, czy mówi do siebie, czy do Millie.

– Można by pomyśleć, że nie nauczysz się wiele, jeżdżąc ciągle tą samą trasą.

Mijają soczyscie zielony padok z szarym pozbawionym liści drzewem sterczącym pośrodku. Drzewo wygląda jak człowiek próbujący ściągnąć na siebie uwagę. Millie macha mu ręką.

Po obu stronach drogi bezkresna ziemia jest płaska i całkowicie biała. Zalana słońcem. Millie musi osłonić oczy od blasku.

– Czy to śnieg? – pyta.

Kobieta za kierownicą prycha.

– Nie widziałas nigdy pól solnych?

– Nie – odpowiada Millie, pragnąc nade wszystko polizać solny padok. Puka lekko czołem w szybę.

– Tam dawniej była woda – ciągnie kobieta. – A potem pojawiła się sól i – wydaje ustami dźwięk siorbania – wyssała to wszystko. Zabiła całe życie dokoła.

– Aha.

Wszędzie są wiry i różne kształty, jakby olbrzymy rysowały po ziemi palcami.

– Ale potem pojawiły się różne rzeczy, które nie mogły tu wcześniej rosnąć. Ładniutki, nie?

Sól połyskuje do Millie w słońcu.

– Ale jest ciężko. Wszystkie te hipisy opuszczają nasze strony, żeby odnaleźć się w Indiach czy gdzieś. Wiszą do góry nogami, jedzą soczewicę. A to cienizna. Spacerek po parku! Spędź noc tutaj, a odnajdziesz się raz-dwa.

Millie widzi swoje odbicie w oknie. To dziwne tak chcieć się odnaleźć. Czy człowiek nie powinien próbować odnaleźć kogoś innego? Przecież chyba siebie ma się na pewno? Millie przykłada swoją prawdziwą dłoń do odbicia dłoni w szybie.

Mijają rzędy eukaliptusów pochylonych nad drogą i sterczących ku niebu jak tancerze zastygli w różnych pozach.

– Te drzewa tam, widzisz? – odzywa się kobieta. – Widzisz, jakie są różowe? – Millie kiwa głową. Przychodzi jej na myśl wnętrze własnych ust. – Eukaliptusy łososiowe. Zawsze

wyglądają tak, jakby je oświetlało zachodzące słońce.

Millie patrzy na drzewa.

– To twoja babcia, ta z tyłu?

Wzrusza ramionami.

– Co masz na ręku?

Millie zerka na ochładzacz.

– To mojego taty. Umarł.

Kobieta patrzy na nią w lusterku wstecznym.

– A na co wziął i umarł?

– Nie wiem.

Kiwa głową.

– No tak.

Autobus zwalnia.

– Jestem Millie Bird.

– A ja Stella, złotko. Na imię mam Stella. – Kobieta pociąga za kołnierz koszuli. – To ubranie mojego brata. Autobus też jego. Też wziął i umarł.

Millie kiwa głową.

– A twoja mama? – pyta Stella.

– Ej, słuchaj no, Szczoto Do Kibla – przerywa Agatha. Przeszła na przód autobusu i chwyciła się oparcia fotela Stelli. – Czy z Kalgoorlie ciągle odchodzą pociągi?

Stella zerka na nią w lusterku wstecznym.

– A gdzie tam.

– Nie?

– Mają tam teraz latające auta. Prosto do celu. I szybko.

– Dobra, Szczoto. Jak nie chcesz pomóc, to po prostu powiedz.

– Ej, paniusiu, nie jestem cholernym biurem informacji. Dowiozę was na dworzec i dalej sobie radźcie.

– A nie możesz wrzasnąć przez okno do jednej ze swoich krewniaczek? Ej, Mary, dokąd ten pociąg?

Stella włącza kierunkowskaz i zjeżdża na pobocze, a żwir chrzęści pod kołami. Autobus staje na przystanku.

– Lake Cartwheel!

Drzwi się otwierają. Wysoki chłopiec ze słuchawkami w uszach rusza przejściem i po stopniach schodzi na drogę.

Stella odwraca się twarzą do drzwi, z jedną ręką na oparciu, z drugą na kierownicy.

– To nie mój problem – mówi do Agathy, patrząc na pasażerów wlewających się do autobusu.

Mały okularnik z przylizanymi włosami sady susami po schodkach.

– Cześć, Lawrence – wita go Stella.

– Cześć – odpowiada chłopiec, nie podnosząc wzroku.

Kobieta zna wszystkich pasażerów: pani Cranley, Timbo, Vince, Felicity. Oni też ją znają z imienia.

Ostatnim jest duży i barczysty mężczyzna ubrany w jaskrawą kamizelkę odbłaskową. Ma brudną twarz i ręce.

– Się ma, Stell.

– Siemka, Trent – odpowiada kobieta, kiwając familiarnie głową.

On przystaje u góry schodków i wskazuje kciukiem za siebie.

– Jakiś facio tu drałuje – mówi. – Zaczekaj moment. Ma ze sto siedemdziesiąt pięć lat
– dodaje z uśmiechem. – Plus minus.

A potem jest niespodzianka, jakby pękł balonik, bo u dołu schodków pojawia się Karl.
Ledwie zipiący, ściskający pod pachą manekina. Z twarzy skapują mu krople potu. Millie serce
rośnie w piersi. Zbiega po schodkach i zarzuca Karlowi ręce na szyję.

– Cześć, Poprostu Millie.

I wtedy Agatha pyta:

– Śledziłeś mnie, Gene Wilder?

Sięga do torebki, wyjmuje herbatnika i rzuca nim w Karla.

agatha pantha

agatha i karl znajdują się (tak jakby)

Dawniej Karl przechodził obok jej domu, ubrany w ten fioletowy garnitur. Czasem miał na sobie długi do kostek płaszcz.

– Za mało włosów! – wrzeszczała z Krzesła Rozeznania. – Błażeński garnitur! Irytująca twarz! Udaję Gene’a Wildera!

Pewnego razu przystanął tam na dłuższą chwilę i zaczął głaskać jej ogrodzenie. W pierwszej chwili była tak zaskoczona, że słowa uwięzły jej w gardle.

– Aaach! – wrzasnęła. – Eeech! – wykrztusiła. – Czego?! – zawołała wreszcie. Zerwała się z krzesła, czując, jak krew uderza jej do głowy. Wystawiła jak najdalej palec wskazujący przez okno. – Przystań się pastwić nad moim płotem! – Wysunęła głowę i wycelowała palec. Mężczyzna podskoczył i spojrzał w jej stronę. – Sio! – wrzasnęła. – Tak, ty! Nie dotykaj!

Chwycił się oburącz ogrodzenia.

– Przepraszam! – odkrzyknął, bębniąc palcami. – Nie chciałem... To tylko... Mógłbym pomóc przy tych chwastach.

Agatha wskazała w głąb ulicy.

– Idź sobie! – wrzasnęła. – Umiesz chodzić? To idź!

Poszedł więc, ale ciągnąc palcem po ogrodzeniu. Wrócił nazajutrz i następnego dnia też. I kolejnego. Przechylał się przez sztachety i wrywał chwasty. Ona zaś wychylała się z okna i próbowała go trafić herbatnikami z poprzedniego dnia. Naprzykrzał się jej, naprzykrzał bardzo.

– Naprzykrzasz się! – wrzeszczała czasem, gdy ruszał ulicą. Przytykała twarz do szyby, matowiejącej od jej oddechu. On nigdy nie oglądał się przez ramię, a to dręczyło Agathę najbardziej. Nie wiedziała dlaczego. – Co on mi się tak naprzykrza?! – wrzeszczała, patrząc, jak mężczyzna drepcze ulicą, zerkając do ogródków od frontu.

Pewnego dnia przestał przychodzić, bez uprzedzenia, a ona sterczała w oknie od 12.51 do 13.32 przez cały tydzień, wsuwając dłonie w miskę z czerstwymi herbatnikami, czekając. Nie przyszedł jednak i poczuła się skołowana.

karl maszynopiszący

Przytulił Millie, czując się tak, jakby na to nie zasłużył, choć pragnął, aby było inaczej. Oczywiście dawniej tulił tak swojego syna. Ale teraz to uczucie wydawało się zupełnie nowe. Aha, i jest ta kobieta, a to czyni jego życie jeszcze bardziej interesującym, jeszcze bardziej skomplikowanym.

co jeszcze wie karl o agacie

Znał historię tej kobiety, całe Warwickvale znało. Scott i Amy przejechali pewnego dnia obok jej domu, gdy zabrali Karla na zakupy.

Amy odwróciła się do Scotta i powiedziała:

– Nie oczekujesz, mam nadzieję, że tak się zabarykaduję, gdy walniesz w kalendarz.

– Na bank oczekuję – odparł syn Karla. – Ale jak ty zawiniesz się pierwsza, to ja urządzę balangę.

Szturchnęła go figlarnie w żebra.

– Zwolnij – powiedziała. – Zerknijmy.

– Eee, zostawmy babę w spokoju.

– No proszę cię. Czasem widać ją w oknie.

Karl nigdy nie myślał, że historia tej kobiety ma jakiegokolwiek znaczenie, więc umieścił ją w kategoriach rzeczy, które interesowały Amy (nieszczęścia innych, prosiaczki małe na tyle, że można je schować do torebki, mężczyzna zwany doktorem Philem). Ale teraz, gdy spojrział w bok, uzmysłowił sobie, że ta historia ma znaczenie. To było jak patrzenie we własne flaki w formie domu. Mrocznego i gasnącego, z dawno wywieszoną białą flagą.

– O, jest! – powiedziała Amy.

Kobieta patrzyła z okna wprost na nich, z twarzą zimną i zaciętą.

– Ciarki mnie przechodzą – skwitowała Amy. Gdy ruszyli dalej, dodała: – Żeby się tak odgrodzić od świata. Czy to romantyczne, przygnębiające, czy po prostu nienormalne?

– Wszystko po trochu, jak sądzę – odparł Scott. – A ty jak myślisz, tato? Ona nie ma nikogo. Podrzucić cię pod jej drzwi?

Karl nie odpowiedział. Ten dom i twarz w oknie sprawiły, że poczuł się mniej samotny.

* * *

Stoją przed dworcem kolejowym w Kalgoorlie, obok pomnika ku czci poległych, przedstawiającego żołnierza z karabinem gotowym do strzału, patrzącego czujnie ponad ich głowami. Obok przemykają z warkotem samochodu z napędem na cztery koła, upstrzone i oblepione ogromnymi wytryskami rdzawej czerwieni jak farbą. Dachy pubów ciągną się po niebie władczymi królewskimi liniami. Gdy autobus dojeżdżał na miejsce, Karl przeczytał ogłoszenie napisane kredą na tablicy przed jednym z pubów: „Dżagi topless”. Brzmiało to jak coś, co można złapać w słonym jeziorze. Patrzył przez długą chwilę na ten napis, gdy autobus czekał na zielone światło. Świadomość sensu tych słów wywołała rumieńce na jego twarzy.

Na rodzimym południowo-zachodnim wybrzeżu ludzie mają półprzymknięte oczy, jasne kontury, rozlazłe ruchy. Tutejsi ludzie są inni: szorstcy, jakby naszkicowano ich z grubsza na papierze, jakby narodzili się wprost z tej rdzawej ziemi, po której szurają nogami, jak gdyby byli stworzeni z eukaliptusów łososiowych, którymi wysadzane są ulice. Wydierają się przed piekarnią, supermarketem, pubami i na głównej arterii miasta, rwąc słowa, jakby wypowiedane

zdania wrzucali do miksera. Karl ma poczucie, że nie pasuje do tego miejsca. Ale przecież takie samo poczucie ma też tam.

Niebo znajduje się akurat między dniem a nocą, ma ten głęboki odcień błękitu znamionujący przejście jednej pory w drugą. Nadchodzi Agatha. Coraz trudniej ją dostrzec w gęstniejących ciemnościach, ale w jej sposobie poruszania jest coś takiego, co upewnia Karla, że nigdy nie pomyli jej z nikim innym. Ona idzie tak, jakby walczyła z powietrzem, jakby powietrze było gęste niczym zasłona, przez którą trzeba się przedrzeć.

– Odjeżdża dopiero jutro – oznajmia, a tuman kurzu otacza ją jak pole siłowe. – Założę się, że ta cała Stella wiedziała o tym! Nigdy nie należy ufać kobiecie chudszej od siebie! Zapisz to! No i co zrobimy? Ej, Maszynopiszący! Nie będę tu siedziała całą noc, gapiąc się na was. Jest za dwadzieścia trzy ósma wieczorem! Nie mamy pieniędzy!

Karl czuje wzbierającą falę paniki, bo uświadamia sobie, że jest jedynym mężczyzną w tym towarzystwie. Zdaje sobie sprawę, że w takiej sytuacji na mężczyźnie spoczywają określone powinności. Czuje na sobie oczy wszystkich kobiet. Nie tylko tych, które stoją obok, ale całych pokoleń, z różnych stuleci, krajów, kultur.

– No dobra – odpowiada z nadzieją, że brzmi to zdecydowanie. – Musimy coś zrobić. – Dźgając palcem powietrze, żeby zaakcentować wypowiedziane słowa, zaczyna chodzić dokoła w nadziei, że ten ruch uaktywni jego szare komórki. – A więc się...

– Schowajmy – dorzuca Millie.

Karl rozważa pomysł.

– Brzmi nieźle – uznaje.

– Kiedyś jedna moja przyjaciółka pojechała do Kalgoorlie! – mówi Agatha. – Nigdy nie wróciła! Nie wiadomo, co się z nią stało! Nikt nie wiedział! Ale ja wiem! Na pewno jest w jednym z tych burdeli! Pracuje! – Bierze głęboki wdech, ale potem zaciska usta. Najwyraźniej coś przyciągnęło jej uwagę. Chwyta się płotu wokół pomnika i patrzy z uwagą. – „Im nie przybędzie już lat – czyta – tak jak przybędzie nam, którzy przeżyliśmy”. – Zastyga. – Nam, którzy przeżyliśmy – powtarza. Przykłada sobie gwałtownie dłoń do szyi.

Millie wsuwa rękę między pręty ogrodzenia i patrzy na Agathę.

– Co to jest burdel? – pyta.

Agatha odwraca się plecami do pomnika.

– Na co się tak gapiacie?! – krzyczy, a w tej samej chwili na parking wjeżdża autobus i zatrzymuje się tuż obok nich.

Drzwi się otwierają. W środku siedzi Stella.

– O siódmej – mówi.

– Że co? – pyta Agatha, zaglądając do środka w postawie groźnej i wyrażającej pewność siebie, z nogami szeroko rozstawionymi, jak w gotowości do konfrontacji.

– Pociąg, zołzo. Odjeżdża o siódmej rano.

– Zdaje się, że to nie był twój problem.

– Zmieniłam zdanie, wolno mi – odpowiada Stella.

millie bird

Dom Stelli wydaje mnóstwo dźwięków. Podłoga gada, kiedy Millie po niej chodzi, a w ścianach i suficie jakby krążyli ludzie, próbując może wejść, może wyjść, a może stepować, Millie nie wie. Cały dom wygląda jak sklep charytatywny z jej rodzinnych stron, bardzo dużo przedmiotów pasujących jak pięść do nosa, zgromadzonych razem, zmuszonych do wspólnego życia. Millie wciąż znajduje rzeczy, których dotąd nie widziała, i zastanawia się, czy po to Stella je zbiera – żeby zapominać, a potem odkrywać na nowo.

Millie bierze kąpiel i buduje całe miasta z piany, domy, drapacze chmur, podjazdy, drzewa, cmentarz, supermarket i szkołę, posterunek policji i pocztę. Siedzi w wannie tak długo, że woda wystygła, więc Stella wyjmuje ją z kąpieli, owija ręcznikiem i sadza przed grzejnikiem z rozżarzonymi na czerwono prętami.

Później Millie siedzi w kuchni z Karlem i Agathą, podczas gdy Stella przyrządza spaghetti dla wszystkich. Manny'emu też wolno przebywać w kuchni, ale brakuje dla niego krzesła, więc Karl opiera go o ścianę obok mikrofalówki. Wciągając hałaśliwie makaron do ust, Millie uśmiecha się do Manny'ego. Po jedzeniu Stella zaparza herbatę dla dorosłych. Millie dostaje dużą salaterkę lodów.

– Rano zadzwonimy do twojej mamy – mówi Agatha, wychodząc z Karlem do salonu. Millie zostaje w kuchni ze Stellą i Mannym.

„Po prostu bądź życzliwa”, powiedział kiedyś tata i Millie uważa, że Stella wie, co to znaczy.

Millie patrzy, jak ona dmucha na herbatę w filiżance, a para unosi się, tworząc wzory, tak jak z kawy w domu towarowym. A gdyby wszystko oddychało? Zwierzęta, ludzie, trawa i drzewa. Ze wszystkich i wszystkiego unosiłyby się takie zawile wąsy pary, tworzące różne kształty i niektórzy ludzie mieliby płytki oddech, z powodu biegania albo zawału serca, inni głębsi, długi, od spania lub telemanii. Byłoby to jak oglądanie muzyki, jeśli muzyka ma jakiś wygląd. Świat zawsze wypełniałaby muzyka oddechu.

Może, gdy człowiek wydaje ostatnie tchnienie, wypuszcza z siebie wszystko, wspomnienia, myśli, słowa, które chciał powiedzieć, i te, których żałuje, i obrazy w głowie przedstawiające parę nad kubkiem gorącej kawy, i ostatnie spojrzenie na twarz taty i to doznanie, gdy ma się błoto między palcami, i smagnięcia wiatru, gdy zbiegało się ze wzgórza, i wszystkie kolory, wypuszcza to wszystko na zawsze.

– Nigdy tam nie byłam – mówi Stella. – Ten cmentarz znajduje się dalej przy tej samej ulicy. Przejeżdżam obok niego co wieczór, ale nigdy tam nie zaszłam. Wiem, gdzie on leży. Jak się wchodzi, to prosto w głąb alejki. Potem w prawo. Na pierwszym rogu. – Upija łyk herbaty.

– Errol. Mój mały braciszek.

– Errol – powtarza Millie.

– Taa – potwierdza Stella. – Mój brat. Wiesz, wróciłam dzisiaj, siadłam sobie na kanapie i pomyślałam o nim. Wiem, że on by się tobą zaopiekował bez zastanowienia. No to wzięłam i wsiadłam z powrotem do tego cholernego autobusu. No i jesteśmy tu wszyscy razem.

Millie wkłada sobie łyżeczkę lodów do ust.

– Widziałaś go, gdy był nieżyłkiem? – pyta.

Stella znowu dmucha na herbatę.

– Ta.

– Jak wyglądał?

Zastyga.

– Wiesz, jak to jest, jak ktoś ciągle nosi okulary?

Millie kiwa głową.

– I nagle zdejmuję, żeby przetrzeć szkła?

– No tak.

– I wtedy oczy są jakby mniejsze albo większe, albo coś w tym stylu.

– No.

– Więc tak to wyglądało.

– Ale widziałaś na pewno, że to on?

– Cóż, nie robiłam mu cholernego DNA.

– A wiesz, gdzie teraz jest?

– To znaczy poza cmentarzem? Zależy, jak myślisz o tych rzeczach. Niektórzy by uważali, że jest tam w górze. – Stella wskazuje sufit.

– Z Jimim Hendrixem?

– Z kim?

– Z Jimim Hendrixem.

– Tym gościem od gitary?

Millie wzrusza ramionami.

– Tata go znał.

– Według mnie leży w ziemi. I nie wróci jako chrząszcz ani nic. Nie szybuje też dokoła i nie patrzy na mnie, jak siedzę na kiblu. Po prostu nie żyje. Po sprawie. Człowiek żyje, a potem umiera, i tyle.

– Po sprawie?

– Po sprawie. – Stella przypatruje się Millie. – A według ciebie, co się dzieje?

– Nie wiem.

– No właśnie, masz odpowiedź.

– To nie jest odpowiedź.

– Ja wiem na pewno tylko to, że nikt nie wie, co się dzieje na dnie morza ani w naszym mózgu, ani gdy umrzemy. I dobrze, jak mi się wydaje. Bo to nam daje do myślenia. Kiedy kierujemy autobusem czy coś.

Millie patrzy na Stellę, potem na Manny'ego, potem znowu na Stellę.

– Mnie się wydaje, że nieżyłki zmieniają się w plastik – mówi przyciszonym głosem.

– Potem czasem ludzie wstawiają je do sklepów.

Stella kiwa głową.

– Dla mnie może być – odpowiada. Patrzy na Millie, jakby ją prześwietlała promieniami Roentgena. – Gdzie jest twoja mama, skarbie? – pyta w końcu. – Tylko szczerze, bez uników.

– A twoja?

– To mi właśnie wygląda na unik. – Znowu kiwa głową. – Dalej przy ulicy. Nie gadamy ze sobą.

– Dlaczego?

– Tak się chyba czasem dzieje. – Stella czuje na sobie wzrok Millie. Wzdycha. – Nie było żadnej tragedii. Po prostu wzajemne pretensje. – Wstaje i zaczyna wkładać talerze do zlewu.

– Ludzie w mojej rodzinie nie gadają ze sobą. Jakoś nie umiemy. Pewnie powinniśmy sprawić się lepiej.

Millie odchrząkuje.

– Ona wyjechała. Mama.

Stella odwraca się i opiera łędwiami o zlew. Mydliny skapują z jej dłoni na szorty.

– A dokąd, skarbie?

– Tak się chyba czasem dzieje – odpowiada Millie.

Stella się uśmiecha.

Millie wyjmuje z kieszeni kartkę, którą rozkłada ostrożnie. Wygląda ją na stole.

– To plan podróży mojej mamy – mówi z nadzieją, że dobrała właściwe słowa.

Stella wsuwa okulary na nos i podnosi kartkę do światła. Potem ją składa i oddaje Millie.

Zdejmuje okulary. Pociera oczy. Szum lodówki jakby nagle przybrał na sile.

Stella staje przy zlewie i patrzy w okno. Trzyma się zlewu tak kurczowo, że kłykcie jej bieleją.

– Słuchaj – mówi, nie patrząc na Millie. – Nie przyszło ci do głowy, że mama nie chce, żebyś ją znalazła?

Millie chwytą się za brzuch.

Stella odwraca się i splata ręce na piersi.

– To nie są twoi dziadkowie, co?

Millie patrzy w bok.

– Pomagają mi odnaleźć mamę.

Stella siada na krześle i nachyla się do Millie.

– Jutro zawiozę cię do domu, skarbie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

* * *

Budzi się w środku nocy. Wyjmuje kartkę z plecaka, wychodzi z pokoju, idzie korytarzem, otwiera drzwi frontowe i przykleja do nich kartkę plasteliną.

„Tutaj mamó”.

Nie może zasnąć, snuje się więc po domu, biorąc bibeloty do ręki, dotykając twarzy na zdjęciach, siadając na kanapach, przymierzając kapelusze. Rysuje palcem wzory na zakurczonym stoliku. Otwiera drzwi z tyłu i siada na schodkach.

Księżyc jest wielki, oświetla małe ogrodzone podwórko wypełnione stertą starych bukietów owiniętych folią i wstążkami. Nad tym wszystkim wznosi się obrotowy wieszak na pranie, poskrzypujący na wietrze. Sterta sięga wyżej niż głowa Millie. Foliowe kryzy i wstążki są kolorowe, róż, zieleń, czerwień i inne jaskrawe barwy, ale wszystkie kwiaty zbrązowiły i zwiędły. Millie schodzi po stopniach i przesuwa dłonią po tej stercie. Przypomina to zdjęcia przekroju poprzecznego gruntu, które widziała w książkach. Kawałek wykrojonej ziemi.

Później napisze w swojej *Księdze Nieżyłków*: „30. Góra kwiatów u Stelli”.

Głowa znowu się odłącza i Millie odwiedza tatę w szpitalu. Nigdy wcześniej nie widziała aż tylu kwiatów przeznaczonych dla jednej osoby. Położyła się na wznak pod jego łóżkiem i patrzyła na stopy wszystkich odwiedzających. Małe stopy, duże stopy, stopy pomiędzy. Adidasy, szpilki, sandały. Buty czerwone, czarne, zielone.

Kiedy wszystkie stopy wyszły, tata powiedział:

– Ciekawe, gdzie jest Millie?

Oddychał z trudem, jak ludzie starzy albo grubi, choć nie był ani stary, ani gruby.

– Nie wiem – odparła mama. Krzyżowała i rozkrzyżowywała nogi, siedząc w dużym fotelu. – Pewnie poszła obrabować bank. Albo nawołuje do pokoju na świecie.

Ich słowa były ogromne i zaokrąglone, jakby puszczały do siebie oko.

Ręka taty zwiśla przy łóżku. Millie podpełzła do niej. Nigdy dotąd nie widziała, żeby była taka błada. Urządzenia pikały, pulsowały i pobrzękiwały. Wsunęła palce w jego dłoń i mocno je zacisnęła.

* * *

Wdrapuje się na stertę bukietów, nogi grzęzną w folii i kwiatkach, jakby to były lotne

piaski. Myśli o jeziorach z soli i drzewach z ryb i jak to ludzie potrafią się ukrywać przed samymi sobą i że świat jest miejscem, którego nigdy nie mogłaby sobie wyobrazić. Myśli o słowach Stelli – że nikt nie wie, co się dzieje na dnie morza – i zastanawia się, czy Morscy Ludzie wiodą tam ciche życie, oglądają Morską Telewizję i śmieją się z Morskich Żartów. Czy niebo nazywają oceanem, a ocean niebem? Czy ich muzyka rozchodzi się w formie bąbelków? Millie pragnie, aby wszystkie słowa, muzyka i dźwięki rozchodziły się jak bąbelki. I żeby każdy trzeba było przebić, aby uwolnić dźwięk. Jakże cichy i zaskakujący byłby wtedy świat. Zawsze odczuwałoby się strach, gdyby ktoś przebił bąbelek, żeby wypuścić dźwięk – ta-da! Tyle że chyba więcej ludzi wpadałoby pod samochody i trudniej byłoby zwrócić na siebie uwagę mamy po drugiej stronie jezdni. A co by się stało, gdyby bąbelek z wołaniem o pomoc wzbil się wysoko i został przekłuty przez odrzutowiec? Przecież ryk silników zagłuszyłby to wołanie.

Wieszak na pranie wiruje i wiruje nad głową, skrzypiąc jak stare łóżko. Z samego szczytu sterty Millie bierze świeże kwiaty.

Przyczepiona jest do nich kartka z napisem „Errol”.

* * *

„Zaraz wracam mamó” dopisuje Millie na kartce wywieszanej na drzwiach i wychodzi przez furtkę na ulicę, z bukietem dla Errola. Odnajduje cmentarz, oświetlony latarniami, inny niż cmentarz w rodzinnych stronach. Jest płasko, nie ma trawy. Tylko rdzawa ziemia jak okiem sięgnąć. Duże pomalowane wiaderka wypełnione czerwonymi i fioletowymi kwiatami. Wzdłuż ścieżki ciągną się eukaliptusy, mającą nad grobami. Millie zadziera głowę, żeby dojrzeć wierzchołki drzew. Jej tata zawsze tak wysoko sięgał głową. Przechodząc obok, Millie dotyka kory najbliższego drzewa i myśli: „Czy drzewa nie potrzebują cienia?”. Kora jest wciąż ciepła od słońca. Rdzawa ziemia zabarwiła delikatnie groby na różowo. Mogiły mają symbole różnych religii, żeby – jak sądzi Millie – nie pomieszały się różne nieba.

Nagle dopada ją myśl gwałtowna jak kopniak w żołądek: „Czy pójdę do tego samego nieba co tata?”. Zaraz potem jeszcze bardziej paniczna myśl: „A do którego nieba on poszedł?”. Nigdy nie pomyślała, żeby o to zapytać.

W pobliżu nie przejeżdżają żadne samochody, samoloty nie ryczą nad głową, nie śpiewają ptaki, tylko liście na drzewach szeleszczą, jakby ktoś wycierał buty o wycieraczkę. To idealny dźwięk, ledwie będący dźwiękiem, na tyle tylko, aby wiedziała, że wciąż stoi na cmentarzu.

Potem dostrzega. W prawo, za rogiem.

Kłęką przy grobie i ostrożnie kładzie kwiaty. Czerwone kamyki wciskają się jej w kolana. Millie oblizuje palce i ściera rdzawy pył z wgłębien na płycie nagrobnej.

– Errol – mówi.

Jego imię jest tam wtopione, jakby był wdechem.

Data początkowa i końcowa to zawsze bardzo ważne elementy kamieni nagrobnych, wyryte są dużymi cyframi. A łącznik między nimi jest zawsze taki mały, że ledwo go widać. A przecież powinien być duży, wyraźny, zaskakujący albo nie w zależności od tego, jak człowiek żył. Przecież łącznik powinien pokazywać, jak żył taki nieżytek.

Czy Errol kiedykolwiek zdawał sobie sprawę, że jego życie będzie kreską na kamieniu nagrobnym? Że wszystko, co robił, zjadł, wszystkie odbyte podróże samochodem i wszystkie pocałunki będą kreską na kamieniu? W parku pełnym nieznanymi?

Millie kładzie się na wznak, dotykając czubkiem głowy nagrobka. Wyciąga się jak może, rozkładając ręce, rozczapierzając palce do oporu.

Patrzy w nocne niebo przez odstęp między koronami drzew i przychodzi jej do głowy tylko jedno słowo – które wypowiada na głos:

– Tato?

I nagle nabiera pewności, że jest najmniejszą drobinką, jaka kiedykolwiek powstała, mniejszą nawet od kawałeczków żwiru wbijających się w plecy, od mrówek pełzających przy stopach, bo świat jest taki duży, pełen drzew i gwiazd, i umierania, i Millie myśli, że może łącznik jest właśnie tym, czym ona jest.

co jeszcze millie na pewno wie o świecie

Gdy tata leżał w szpitalu, korciło ją, aby spytać: „Tato, czy ty się stajesz nieżyłkiem?”. Ale te słowa ciągle więzły jej w gardle.

agatha pantha

21.06: Siedzi na obcym krześle w obcym pokoju w obcym domu, pijąc herbatę z obcej filiżanki o obcej porze, próbując o tym nie myśleć.

– Co jest z twoimi rękami?! – wrzeszczy do Maszynopiszącego.

On odstawia filiżankę na stolik i chowa dłonie pod pachy.

– Nic – odpowiada.

– To czemu tak ci drgają?

– Wcale nie drgają.

– Ale tak wygląda.

– One nie drgają. Piszę.

– Pisziesz?

– Tak.

– A po co?

Wzrusza ramionami.

– Nie chcesz powiedzieć? – pyta Agatha.

– Nie bardzo.

21.11: – Okropna ta herbata – szepcze do niego głośno.

21.13: – Co to? – pyta on. Z torebki sterczy Starość. – Twój pamiętnik?

Agatha wciska głębiej zeszyt i zaciąga zamek błyskawiczny.

– Co? – odpowiada pytaniem.

– To, co właśnie schowałeś do torebki.

– Niczego nie schowałam.

– Schowałeś.

– Nie schowałam.

21.16: – A twoja żona? – pyta Agatha.

– Umarła.

– Ron też umarł. Zawał serca przed sklepem zoologicznym. A u ciebie?

On wsuwa dłonie pod pośladki.

– Rak – odpowiada.

Agatha kiwa głową.

21.17: – Dlaczego się naprzykrzałeś przed moim domem? – pyta Agatha. – Może się we mnie zakochałeś?

– Nie zakochałem – odpowiada Maszynopiszący.

– Tak właśnie mówiłby ktoś, kto by się zakochał! – ripostuje Agatha.

– Przecież nawet cię nie znam.

– Nie, nie znasz.

21.18: Tak naprawdę chciała go spytać, dlaczego przestał pojawiać się przed jej domem.

21.20: Maszynopiszący zasypia na kanapie, z głową odchyłoną do tyłu, z otwartymi ustami. Chrapie.

21.22: – Im nie przybędzie już lat, tak jak przybędzie nam, którzy przeżyliśmy – szepcze Agatha.

21.23: Agatha Pantha pozwala sobie na poczucie się samotną.

karl maszynopiszący

Gdzieś między nocą a świtem Karl idzie korytarzem, żeby skorzystać z toalety, ale zatrzymuje się w pół kroku, bo słyszy głos Stelli dochodzący z kuchni:

– Ta, porzucone dziecko, ta.

Przywiera do ściany obok drzwi. Światło z kuchni wylewa się na korytarz, przypominając wejście do innego, lepszego świata.

– Nie wiem za dużo – ciągnie Stella. – Jej matka wyfrunęła z miasta. Ojca już nie ma między nami. Para staruszków jej pomaga. – Chwila przerwy. – No nie wiem, kurde. Ta babcia jest kompletnie świrnięta. Facet niewiele lepszy. Są... starzy są, po prostu.

Karl zaciska dłonie.

– Świetnie – ciągnie Stella. – Dobrze, przywiozę ich jutro. Aha, Bert... – dodaje z wahaniem. – Przepraszam, że dzwonię o tak niehumanitarnej porze. Nie mogłam spać, myśląc o tym wszystkim. – Znowu przerwa. – Dobry z ciebie kumpel. Na razie.

Karlowi żołądek się wywraca. Stukot słuchawki odkładanej na widełki. Światło gaśnie i ten inny, lepszy świat znika. Karl rozpląszcza się na ścianie, wstrzymując oddech, zaciskając powieki z całej siły, kierując się logiką dziecka: „Skoro ja ciebie nie widzę, to ty nie widzisz mnie”.

Otworzywszy oczy, dostrzega na końcu korytarza sylwetkę Stelli, skręcającej do swojej sypialni. Wchodzi do kuchni i patrzy na telefon. Na stoliku leżą klucze, zimne, metaliczne, jak egzotyczny owad.

Karl wślizguje się do pokoju Agathy.

– Agatha – szepcze na tyle głośno, na ile starczy mu odwagi, szarpiąc nią delikatnie. Ona chrapie niezłomnie. – Agatha – mówi głośnie.

– Co? – pyta ona, siadając, podciągając kódrę pod brodę. – Ktoś ty? Czego chcesz?

Szpera po omacku w poszukiwaniu okularów.

– Ćśś. – Karl podaje jej okulary. – Proszę.

Ona wkłada szkła i patrzy na niego.

– Maszynopiszący! Nie ma mowy, żebyś tu do mnie wlaź! Wybij to sobie ze łba! Jest za piętnaście piąta. Ja śpię.

Karl siada na skraju łóżka. Czuje ciepło pod udami.

– Musimy iść, Agatho. Musimy. Jak najszybciej.

Ale w pokoju Millie, gdy zapalają tam światło, nie zastają nikogo.

* * *

Karl wsuwa sobie Manny’ego pod pachę, a Agatha chwytą plecak Millie. Wychodzą z domu Stelli tak cicho, jak tylko pozwala na to skrzypiąca podłoga. Z plecaka sterczy urwana noga Manny’ego, plastikowa stopa podryguje tuż nad głową Agathy.

Karl opiera Manny’ego o autobus Stelli i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Miej oko na wszystko – szepcze ponuro.

– Przecież to kukła, Maszynopiszący – syczy Agatha i zsuwa plecak na ziemię obok Manny’ego.

Ruszają we dwoje w głąb ulicy, nawołując Millie, zaglądając pod samochody, do ogródków, na drzewa.

Gdy mijają cmentarz, z oddali dobiegają ich głosy. Po drugiej stronie cmentarza, w plamistej poświacie latarni ulicznych, Karl dostrzega trzech zataczających się pijacko

mężczyzn. Zbliżają się, rechocząc i klnąc. Jeden próbuje wdrapać się na drzewo, drugi sika prosto przed siebie, trzeci rzuca butelką w nagrobek. Butelka rozbija się z hukiem w ciszy. Zaczynają szczeleć psy w okolicznych domach.

– O nie – jęczy Karl.

– Co?

Wskazuje ręką.

– O nie – jęczy Agatha.

Niedaleko pijanych mężczyzn siedzi na ziemi Millie, oparta plecami o nagrobek.

– Idą prosto na nią – mówi Karl, nachylając się ku prętom czarnej żelaznej bramy.

– Ja tam nie wejść – mówi szybko Agatha. – Ja nie mogę... – Urywa. – Wszyscy ci nieżywi ludzie – dodaje cicho. – Nie zmusisz mnie.

Pijacy dostrzegają Millie.

– Ej! – krzyczą. Po chwili: – Co ty tam robisz po ciemku? Przecież ledwie od ziemi odrośłaś, co nie?!

Millie wstaje, Karl czuje ucisk w żołądku, kolejna butelka rozbija się z hukiem, dziewczynka próbuje odejść, ale tamci ją otaczają.

– Myślisz, że jesteś Dora Poszukiwaczka czy jakieś inne gówno?

Agatha bierze Karla za rękę.

I wtedy coś się dzieje. Jakby prąd elektryczny przeszył mu ramię. Jego umysł się budzi, jakby od dawna był zmorzony snem. Śpiąca Królowa. Czy raczej jej męska wersja. Na pewno jakaś jest, ale w tej chwili Karlowi nic nie przychodzi do głowy. Nazbyt pochłania go myślenie o dłoni Agathy. Lepiej od potu i szorstkiej. Jego dłoń jest miękka w porównaniu z jej dłonią.

– Co ty tu robisz samiotka, Dora?

Agatha ścisną rękę Karla.

On widzi ją kątem oka. Prąd elektryczny. Odwraca się do niej.

– Bierzemy autobus – szepcze.

– Jak to bierzemy?

– Tak to. – Podaje Agacie kluczyki Stelli. – Zapal silnik. Kradniemy go. – Wydaje mu się, że widzi uśmiech na jej twarzy. A może to grymas? Nie wiadomo.

– Ja nie... – zaczyna Agatha, ale Karl już puszcza się biegiem, choć to bardziej dreptanie Cliffa Younga.

Pijacy wymachują butelkami nad Millie.

– Ej, Dora, chcesz trochę soczku?

Ona jest przerażona. Karl nie ma pojęcia, co zrobi, gdy ich dopadnie, myśli „EwieEwieEwie”, ona by wiedziała, ale musi się wmieszać, bo Millie to tylko dziecko, po prostu dziecko.

– Ej! – woła, zbliżając się, ale jakby go nie słyszeli. – Ej!

Wreszcie się odwracają, a Millie podbiega do Karla i obejmuje go za nogi. On kładzie jej dłoń na głowie i zasłania ją ciałem przed tamtymi.

– Ej – powtarza, tym razem ciszej, stając w rozkroku dla utrzymania równowagi.

Ci trzej mogliby być jedną osobą. Dzinsy, buty robocze, włosy sterczące pod tak dziwnym kątem, że chyba nie może być to świadoma decyzja. Jakby spryskali sobie włosy lakierem w tunelu aerodynamicznym. Zamglone oczy kierują się na Karla, ale jakby był niewidzialny, właściwie patrzą tylko mniej więcej w stronę, z której dochodzi głos. Jeden z nich ma niebieską bejsbolówkę z logo surferów, drugi T-shirt z napisem „Cenzura piersi”, trzeci flanelową koszulę z długimi rękawami.

– O, jest i dziadek Dory! – mówi Niebieska Czapka, popychając Karla.

– Nie chcemy żadnych kłopotów.
– Nie słyszysz, stary fiucie? – wtrąca się Cenzura Piersi. – To nasze przedszkole cmentarne. Nie wtrącaj się.
Karl robi krok do tyłu, podnosząc ręce jak postacie w filmach.
– Dora dostanie od nas trochę mleka, a potem możesz ją położyć lulu – mówi Niebieska Czapka i znów popycha Karla.
Karl potyka się i mówi:
– Zróbcie ze mną, co chcecie, ale zostawcie dziewczynkę w spokoju, to tylko dziecko. Puśćcie ją.
Mają zaczerwienione oczy i się chyboczą, otaczają go ze wszystkich stron. Cuchną alkoholem i mają to gdzieś, Karl widzi to wyraźnie, mają gdzieś samych siebie i swoje życie i dlatego właśnie są niebezpieczni.
– Wiej, Millie, wiej! – woła Karl, ale ona ani drgnie, tylko wsuwa rękę w jego dłoń i przyciska twarz do jego nogi, a on zamyka oczy i myśli: „No to koniec”.
Wtedy głos:
– Zbyt pijani!
Za plecami mężczyzn pojawia się Agatha. Bierze zamach nogą Manny’ego jak mieczem. Trafia Flanelę w tył głowy, a ten przewraca się i uderza czołem w nagrobek. Czysty nokaut. Agatha wymachuje dziko nogą do pozostałych dwóch.
– Ej! – protestuje Niebieska Czapka.
– Rany, paniusiu – bełkocze Cenzura Piersi. – Myśmy tylko... – Wygląda, jakby był zrobiony z galarety, osuwa się na drzewo i chwytając rękami za pień, wciskając twarz w korę – ...tylko się zgrywali.
– Taaak? Taaak? A mnie to nie wygląda na żadne zgrywy! – Agatha zamierza się na Niebieską Czapkę, ale chybja.
Czapka splata ręce za głową i zaczyna kręcić biodrami, wypinając do przodu krocze.
– Chcesz tego poprobować? – pyta. – To musisz poprosić, mordeczko.
Agatha doskakuje i kopie go z całej siły w piszczel.
– Ej! – krzyczy mężczyzna, chwytając się za nogę. Podskakuje kilka razy na drugiej, po czym wywraca się na ziemię.
– Za ciasne spodnie! – wrzeszczy Agatha, atakując nogą Cenzurę Piersi, o milimetry mijając jego rzepkę kolanową. – Za mało zębów! – Kolejny cios, który ociera się o łokieć.
– Ponura przyszłość!
– Jesteś stuknięta, babo! – stęka Niebieska Czapka.
Agatha staje nad nim i wyprowadza drugie kopnięcie, tym razem w tyłek.
– Przestań! – wrzeszczy mężczyzna, próbując chwycić ją za nogę, ale nie trafia i pada na twarz.
Agatha staje mu na dłoniach.
– Ja – cedzi, gdy on usiłuje wyrwać ręce – nie jestem... – Mężczyzna unosi głowę i próbuje ją opluć – ...stuknięta!
Kopie piachem w jego twarz.
– Wyluzuj – bełkocze Niebieska Czapka, odpełzając na bok i próbując się podnieść. – Co za gówna.
– Nooo – potwierdza Cenzura Piersi. – Gówno.
– Napiszę do waszych matek! – wrzeszczy Agatha.
– A czego chcesz od mojej matki? – syczy Niebieska Czapka.
– Wyluzuj – wtrąca Cenzura Piersi.

– O nie, nic z tego – odpowiada Czapka. – Posłuchaj, paniusiu. Skoczmy po Niuńka, Skrobka i Chyzia i wrócimy dokończyć sprawę. – Wskazuje drżącą dłonią Agathę. A potem wymiotuje na swoją koszulę. – Cholera... – jęczy. – O cholera.

– Nie przejmuj się, stary – mówi Cenzura Piersi.

– Człowieku, to pożyczona koszula!

– Spoko, spierze się.

Zarzucają sobie nawzajem ręce na szyje, jak para starych kochanków, i kuśtykają do wyjścia zygzakiem, jak w slalomie narciarskim, śpiewając przyśpiewkę kibiców piłkarskich:

– Pokażemy im wała, pokazemy figę, dokopimy wszystkim i wygramy ligę...

Millie obejmuje Agathę w talii. Ona klepie ją niezdarnie po głowie. Karl też chciałby przytulić się do Agathy, położyć podbródek na jej głowie i podziękować, położyć Millie dłoń na włosach i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, ale tego nie robi. A jak postąpiłby Branson Spike?

– Idźcie do autobusu – mówi. – Tam nic wam nie grozi. – Nagle czuje, że jest silny i kontroluje sytuację. – Ja będę ubezpieczał. – Kiwa głową w kierunku Flaneli.

Agatha patrzy na niego sceptycznie.

– Tylko nie marudź za długo. Słyszałeś przecież. Zaraz tu będą Niutek, Wyskrobek i Fisio.

– Jeden moment.

Agatha i Millie wychodzą z cmentarza, a Karl wyjmując z kieszeni flamaster skradziony z domu starców. Klęka obok nagrobka, podciąga Flaneli rękaw koszuli i pisze mu na przedramieniu: „Karl Maszynopiszący tu był”. Cofa głowę, patrzy na swoje dzieło i uśmiecha się szeroko. Z powodu potu na ręce tusz się rozmazuje i napisane słowa wyglądają jak tytuł horroru.

Zerka w kierunku ulicy. Zaczyna świtać. Trzeba ruszać w drogę. Sięga Flaneli do kieszeni spodni i wyciąga portfel. Otwiera go. W ciele czuje dreszcz, jakby teraz był Karlem, którym pragnął być przez całe życie.

„Jestem Karl Maszynopiszący, czas terazniejszy”, myśli.

* * *

Wschodzi słońce. Karl czuje się niezwykły. Podjął decyzje, obronił kobiety – co prawda z pewną pomocą rzeczonych kobiet – zdewastował własność publiczną, ukradł pieniądze, umknął policji. Nie może się powstrzymać od uśmiechu, gdy uwija się nad Mannyem na przednim siedzeniu autobusu, zapinając mu pas. Millie siedzi obok Manny’ego, tuląc jego oderwaną nogę.

– Dobrze się spisałeś, pilnując autobusu, Manny – mówi Karl, klepiąc go po głowie.

– No właśnie – dodaje Millie, ocierając się bokiem o Manny’ego, kładąc głowę na jego ramieniu. – Dobra robota.

– Tak, tak – potwierdza Agatha. Siedzi na miejscu kierowcy i przetrząsa torebkę.

– Plastikowy gość wykonał dobrą robotę.

– Kradniemy ten autobus? – pyta Millie.

– Zawieziemy cię do mamy – odpowiada Karl.

– Pojedziemy pociągiem?

– Tak.

– Nie mam żadnych pieniędzy.

Karl czuje zwitek banknotów parzący go w kieszeni.

– Ten problem zostaw mnie – mówi.

Millie patrzy przez okno na dom Stelli.

– A więc kradniemy autobus?

– Pożyczamy.

– Tak jak pożyczyłeś te klawisze od komputera?

– Właśnie.

– Czyli kradniemy.

– Tak.

– Ale przecież to autobus Stelli.

– Tak, nie nasz.

– Jej brat umarł.

– Nie wiedziałem.

– Ja myślę, że nie powinniśmy kraść autobusu.

– Czasem dorośli wiedzą lepiej – odpowiada Karl.

– Czasem dorośli wiedzą figę – ripostuje Millie.

Spór o to, kto wie lepiej, przerywa nagle pojawienie się Niebieskiej Czapki w świetle reflektorów.

– Ej! – woła, waląc w maskę autobusu.

– Agatho, zamknij drzwi – mówi półgłosem Karl.

– Nie mam pojęcia...

– Ej! – krzyczy ponownie Niebieska Czapka, kopiąc w koło. – Mówiłem, że wrócimy!

Karl wstaje i po drugiej stronie autobusu widzi Cenzurę Piersi i jeszcze jednego nieznajomego mężczyznę. Cenzura trzyma kij do krykieta i uśmiecha się groźnie do Karla za szybą. Napastnicy zaczynają walić otwartymi dłońmi w bok autobusu.

– Zamknij drzwi, Agatho – powtarza Karl, tym razem głośniej.

– A jak się...

– Ej! – Niebieska Czapka staje przed drzwiami, wywijając rozbitą butelką, ogień w oczach, rozdęte nozdrza.

– Zamknij drzwi, Agatho! – krzyczy Karl, gdy Czapka stawia stopę na najniższym schodku.

Agatha odnajduje właściwy przycisk i wali w niego otwartą dłońią.

Niebieska Czapka jest już połową ciała w środku, napiera ramieniem na zamykające się drzwi. Wymachuje rozbitą butelką, niemal rozcinając Karłowi rękę, gdy ten próbuje go wypchnąć na zewnątrz.

– Trzymaj się z tyłu, Millie.

Millie znajduje różne przedmioty, którymi można rzucić w napastnika: apteczka, okulary, T-shirt, ogryzek jabłka, ale Niebieska Czapka odparowuje wszystko swoją butelką jak wprawny szermierz. Karl próbuje go kopnąć, nie zbliżając się za bardzo. Z tyłu pęka z trzaskiem szyba.

– Ruszaj, Agatho, ruszaj! – woła Karl.

– Od siedmiu lat nie jeżdżę!

– Dasz radę!

– Dobra... ja nie... czy to...

– Dasz radę, Agatho – mówi Millie.

Autobus rżęzi, prycha i wreszcie rusza.

– Zrobiłam to! Zrobiłam! – raduje się Agatha. – Co teraz?

– Kieruj!

– A, no tak!

Autobus przyśpiesza powoli, szarpiąc, a Niebieska Czapka podskakuje obok, ze stopą uwięzioną w drzwiach, ręką uczipioną framugi. Karl odpina Manny'emu pas i unosi go nad głowę.

– To w ogóle nie będzie cię bolało – mówi, chcąc rzucić nim w Niebieską Czapkę.

Manny znowu ich ocali, wytrąci tamtemu butelkę z ręki, uwolni jego stopę, zgniecie mu dłoń.

– Pożegnaj się, Niebieska Czapka – dodaje, ale wtedy jakby czas nagle spowolnił bieg, uderzenia w bok autobusu stają się dudnieniem bębnow na odległej wyspie i Karl uświadamia sobie, że ten mężczyzna to pijany i rozwścieczony chłopiec, że żaden z niego mężczyzna. Twarz pokryta krostami, oczy pełne gniewu, którego nie umie inaczej wyładować. Niebieska Czapka jest rozjuszony i ma ku temu powód, ale powodem wcale nie jest Karl. Powodem jest pragnienie, aby być mężczyzną. Karl ma ochotę powiedzieć, że to w porządku, że nawet stoi po jego stronie, przez ułamek sekundy sądzi nawet, że być może będzie mógł negocjować z tym pijanym mężczyzną, a raczej pijanym chłopcem, więc opuszcza Manny'ego, ale wtedy widać błysk i pijany chłopiec-mężczyzna zadaje cios, rozcinając Karlowi dłoń.

– Karl! – woła Millie z tyłu.

– Co jest? – pyta Agatha.

Autobus odbija w bok, żeby ominąć krawężnik.

– Nic się nie stało – odpowiada Karl, choć nie jest pewien, czy nic się nie stało, a na myśl o krwi tryskającej z dłoni czuje słabość w kolanach, więc wcale nie patrzy.

Już nie próbuje zrozumieć pijanego chłopca-mężczyzny. „Wiesz co, pijany chłopce-mężczyzno, ja też mam sporo powodów, żeby być wściekłym”, myśli. Kumuluje cały swój gniew w ramionach i nagle czuje się jak Superman albo Niezwyciężony Hulk, albo jak ten szesnastolatek z rana, i znów unosi triumfalnie Manny'ego i rzuca nim z całej siły w drzwi.

W tej samej chwili autobus przetacza się przez próg zwalniający i Karl traci równowagę. Manny leci prosto w górę. Karl pada na tyłek, a Manny ląduje tuż obok. Autobus wciąż jedzie wolno, ale Niebieska Czapka musi podskakiwać bardzo szybko, żeby nadążyć. Millie pcha stopą jego stopę i gryzie go w piszczel. Niebieska Czapka bluzga i bierze zamach.

– Odsuń się, Millie – mówi Karl.

Agatha wjeżdża na krawężnik i aż stęka, bo niemal wpadają na drzewo na pasie zieleni. Po chwili wracają na jezdnię, Niebieska Czapka się wywraca, stopa zostaje uwolniona.

Karl i Millie doskakują do bocznego okna, widzą go toczącego się po jezdni.

– Wszyscy cali? – pyta Karl. – Poprosto Millie?

– Chyba tak – odpowiada dziewczynka, wdrapując się na fotel za Agathą.

Karl podnosi Manny'ego z podłogi i ogląda go, szukając obrażeń.

– Agatha?

– Czuję się świetnie? Wprost świetnie! Dokucz mi tylko zespół stresu pourazowego, ale nic poza tym! Zgubiliśmy go?

Autobus toczy się ulicą, mijając małe ciemne domy z cegły. Są dzieci w mundurkach szkolnych, mężczyzna w szlafroku podnoszący gazetę z wycieraczki, kobieta spacerująca z psem.

– Zgubiliśmy – odpowiada Karl.

Siedzi naprzeciw Millie, trzymając Manny'ego na kolanach.

– To dobrze! – krzyczy Agatha. – Bo jest sześć po szóstej! – Wskazuje na swój zegarek.

– I co z tego? – pyta Karl, przyglądając się rozciętej dłoni i czując lekki zawrót głowy.

– Ty! Kapitan Mogiła! Łap za kierownicę! – Odwraca się do Millie.

– Ja mam siedem lat.

– No właśnie! W twoim wieku jeździłam ciężarówką z naczepą po wybojach!

– Nieprawda.

– Łap za kierownicę! – Agatha wstaje z fotela.

– Co ty robisz? – pyta Karl. Zrywa się z miejsca i w ostatniej chwili chwyta kierownicę, unikając wypadnięcia z drogi.

Agatha sadowi się obok Millie i otwiera torebkę. Kładzie na kolanach zeszyt i małe lusterko, przykłada linijkę do twarzy.

Karl przygląda się jej w lusterku wstecznym.

– Co ty...

– Ej, słuchaj no, Stary Palczaku! Jestem zajęta! W tej chwili nie przyjmuję żadnych telefonów!

Agatha zapisuje coś w zeszycie.

millie bird

Po kilku niewłaściwych skrętach, zawrotkach i sporach docierają wreszcie na dworzec kolejowy w Kalgoorlie. Powietrze na zewnątrz jest lepkie, aż trudno oddychać, gdy wchodzi na peron. Pociąg już czeka, stopniowo zapełnia się ludźmi i bagażem. Turyści robią sobie zdjęcia przed znakiem Indian Pacific na boku wagonów. Kobiety i mężczyźni w uniformach sprawdzają bilety i kierują pasażerów do różnych wagonów. Członkowie rodzin tulą się, płaczą i śmieją.

Karl kupuje bilety i zostają skierowani do przedziału. Jest mały, z siedzeniami rozkładanymi do wielkości łóżka, umywalką w kącie i dużym oknem z zaciągniętą zasłonką.

– Tylko to? – pyta Agatha i zaczyna rozkładać łóżko.

Za oknem, na peronie, dochodzi do zamieszania.

– Nie mogę pani wpuścić bez biletu – odzywa się męski głos. – Pociąg zaraz rusza.

– Na rany Chrystusa, Derek! – odpowiada kobiecy głos. – Chodziłam z tobą do budy! Z twoim cholernym bratem uczyłam się przez jakiś czas w jednej klasie! W niedzielę przychodziłam do was na pieczeń.

– Stella, musimy się trzymać rozkładu jazdy – mówi mężczyzna. – Nie mogę ci pomóc, wiesz o tym. Rozkład i tak dalej.

Millie odciąga zasłonkę.

– Stella? – Puka w szybę i uchyla okno. – Stella! – woła.

– O Boże – stęka Karl i daje nura pod stoliczek.

– Odjazd! – krzyczy mężczyzna w uniformie i wskakuje do pociągu.

Stella kwituje to machnięciem ręki i podbiega do okna.

– Widzę cię, Karl!

Więc wstaje, w tej samej chwili pociąg rusza. Karl chwieje się na nogach.

– Gdzie moje klucze? – pyta Stella, idąc wzdłuż pociągu.

– W autobusie – odpowiada potulnie Karl.

– Lepiej odnajdźcie jej mamę!

Karl zerka na Millie.

– Postaramy się.

– Nic ci nie jest, skarbie? – pyta Stella.

Millie kręci głową.

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No to dobrze.

Stella zatrzymuje się i wciska ręce w kieszenie.

Pociąg się rozpędza, a Millie patrzy na malejącą Stellę na peronie. Potem zerka na ochładzacz do napojów i mówi:

– Chciałabym, żebyś pojechała z nami.

Czuje napływające łzy i nie może się powstrzymać od płaczu, bo Stella jest dobra, tata nie żyje, a mama... nie wiadomo, może też. Millie patrzy na Stellę aż do chwili, kiedy już jej nie widzi, i czuje ból głęboko w brzuchu. Wszyscy dorośli, których zna, zabierają jej kawałek brzucha ze sobą i nigdy go nie oddają.

część trzecia

karl maszynopiszący

Kiedy pociąg rusza, Karl zostawia dziewczęta i Manny'ego, żeby się rozgościli w przedziale, a sam idzie do toalety. Obmywa ranę, wyciera dłoń i owija ją papierem toaletowym. Dostrzega swoje odbicie w lustrze. Zawsze czuł się dziwnie, widząc siebie w lustrze, a z biegiem lat to uczucie tylko się pogłębiało. Zna swoją twarz i co z tego? Jak można żyć pod swoją twarzą przez osiemdziesiąt siedem lat i za każdym razem być zaskoczony jej widokiem? Nagle przychodzi mu do głowy myśl, że wszyscy inni lepiej znają jego twarz niż on sam. On nie zna nawet własnej mimiki. Próbuje przybrać gniewną minę. Smutną. Zadowoloną. Zmartwioną. Zamyśloną. Zaginioną. Poszukiwaną. Ale widzi tylko zmęczenie. Zmęczenie.

– Nigdy już nie zasmakuję seksu – mówi. – Mając taką twarz.

Zamyka oczy, wydyma usta i przysuwa się do lustra. Otwiera jedno oko i widzi jakby Śmierć usiłującą go pocałować. Odskakuje.

– No tak – wzdycha. – I tyle.

Ale przecież Evie go kochała, kochała jego twarz. Zdrową ręką przeczesuje włosy. Ledwie wyczuwa wiotkie kosmyki.

Tak bardzo zazdrościł wczoraj temu chłopcu, temu z klatką piersiową jak Charlton Heston w Ben Hurze. Chciał wszystkiego, co miał ten chłopak, tego ciała, dziewczyny, samochodu, wolności, tego sposobu myślenia. I tych włosów, tych cholernych włosów. Oddałby wszystko, żeby mieć takie włosy, rozwiane swobodnie na wietrze. Ale czy ten chłopak nie powinien zazdrościć Karlowi? Czy nie powinien się zastanawiać, co Karl widział i robił w życiu?

Czy nie powinien spojrzeć na Karla i pomyśleć: „Gdybym tylko mógł wieść takie życie jak ty”.

* * *

Karl wraca do przedziału i widzi, że Millie przygotowała kolejną kartkę z napisem TUTAJ MAMO na drzwi, a Agatha leży z rozpostartymi rękami i nogami na łóżku, oczy zamknięte, usta szeroko otwarte.

Millie przykłada palec do ust.

– Ćśś.

Karl kiwa głową. Millie przywołuje go gestem. Ciągle nosi plecak.

– Mogę iść się rozejrzeć? – szepcze.

– Jasne – odpowiada cicho Karl. – Tylko nie rozmawiaj z nieznajomymi.

– Ty też jesteś nieznajomy.

Karl się zastanawia.

– Z innymi nieznajomymi.

Millie wychodzi i zamyka drzwi, a Karl wsuwa Agacie poduszkę pod głowę. Siada wyprostowany obok, oparty o ścianę, z dłońmi na kolanach. Patrzy przez okno. Czerwone, zielone, niebieskie. Ziemia, busz, niebo. Raz za razem, raz za razem. Niskopienna roślinność i małe drzewa, które wyglądają jak garbaci chwytający się ziemi. A potem od czasu do czasu duże drzewo, wyciągnięte ku słońcu, wyrastające z rdzawej gleby.

Manny stoi oparty o umywalkę w kącie przedziału.

– Śpi – zwraca się do niego Karl, wskazując Agathę ruchem głowy. – Miała ciężką noc.

Agatha chrapie i prycha, przewraca się na bok. Karl czuje ciepło jej ciała. Pamięta Evie w takiej sytuacji, leżącą obok niego w łóżku. Zaciąga zasłonkę.

co jeszcze wie karl

(o evie, część druga)

Była jak dmuchawiec, jak gdyby jego jeden oddech mógł posłać ją bezpowrotnie w niebo. Była też bardzo cicha, nie tylko w mowie, ale i w gestach, jakby zawsze przebywała w obecności śpiących osób, zawsze ostrożnie na palcach, ledwo zostawiając ślady stóp na plaży, gdy spacerowali razem o wczesnej porze prawie każdego ranka.

Za cicha? Może. Karl dochodzi do wniosku, że wszyscy jesteście „za jacyś”.

A jednak była jednocześnie najstabilniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznał. Każde słowo odmierzone i zważone, jakby przesypywała je z ust do miarki i wygładzała powierzchnię, zanim podzieliła się nim ze światem. Było też w niej wiele przestrzeni, dla niego, dla wszystkich. Zawsze rzucała broń i podnosiła rękę, odsłaniając bezbronność, której większość ludzi odsłonić nie potrafi.

Idąc u jej boku, Karl zawsze miał wrażenie, że maszeruje, że miażdży liście pod stopami z wielką siłą, a gdy kichał, to jakby chciał zawiesić łzę w powietrzu. Nie podobało mu się, że jego ciało tak mocno odciska się na otoczeniu. Ale gdy dotykał Evie, a ona rewanzowała się tym samym, czuł w sobie delikatność, a te zmarszczki wokół jej oczu, coraz głębsze, dłuższe i liczniejsze, dawała mu wskazówkę, że jest rozumiany.

* * *

– Jestem tu, Evie – szepcze, a po policzkach płyną mu łzy. Otwiera oczy i widzi twarz Agathy tuż przy swojej. Odskakuje.

– Ron! Co się stało? – pyta ona. Ma okulary, ale jest ciemno i właściwie się nie widzą.

– Nie jestem...

Ona przystawia dłoń do ust.

– Ron.

Przykłada palec do jego twarzy. Ociera kciukiem łzę.

– Przepraszam – mówi.

Karl nie wie, co odrzec.

– Wszystko w porządku.

– Płaczesz przeze mnie?

– Nie.

Niemal dotykają się nosami.

– Przepraszam, Ron – mówi Agatha i nachyla się do pocałunku.

Karl pragnie, żeby to była Evie, pragnie tak bardzo, jak jeszcze nigdy niczego nie pragnął. Bierze głęboki wdech, zamyka oczy i czeka na jej usta, ale zanim dochodzi do czegokolwiek, Agatha opiera głowę o jego pierś i zaczyna chrapać.

Z westchnieniem Karl układa ją delikatnie w poprzedniej pozycji na łóżku. Agatha leży, porządne buty wciąż zapięte wokół kostek, głowa odrzucona do tyłu na poduszce, usta szeroko otwarte, donośne, nierówne chrapanie pulsujące w nosie i odbijające się od ścian. Oczywiście w tym chrapaniu jest muzyka, wznosi się i opada, wskazówka, jak funkcjonuje życie, raz na wozie, raz pod wozem. Karl chciałby naszkicować ten dźwięk na wykresie, wyobraża sobie wierzchołki na kartce, szerokie pofalowane zawijasy.

Odsuwa lekko zasłonkę i patrzy na leżącą obok Agathę. Uderza go myśl, że nigdy się nikomu nie przygląda. Pamięta, że robił to jako dziecko, choć wtedy nie przychodziło mu do

głowy, że ludzie mogą dostrzegać, co robi z oczami. Dlaczego ma znaczenie, aby ludzie wiedzieli, że ściągają na siebie jego spojrzenia? Dlaczego boją się, gdy ktoś na nich patrzy? Kiedy przestał patrzeć ludziom w oczy? Zapewne w jakiejś chwili uświadomił sobie, co to znaczy. A co to znaczy?

– Ty najwyraźniej nie masz z tym problemu – szepcze Karl do Manny’ego, który bez mrugnienia okiem patrzy na niego z kąta.

Pamięta, jak patrzył na Evie. Jakimś cudem miłość sprawiła, że patrzenie znów przestało być problemem. W tamtych dawnych dniach leżeli w łóżku, ocierając się nosami, owijając stopami, wpatrzeni w siebie. Znał ją w każdym calu, ale nie przestawał patrzeć. Wydawało się, że zawsze jest nowy szczegół do poznania albo nowe światło odbijające się w jej ciele, albo zmarszczka czy fałda.

co jeszcze wie karl

agatha to nie evie

To pewne. Wyobraża sobie Agathę stojącą w mundurze u szczytu stołu, nachyloną, wbijającą pięści w blat, obwieszającą, które kraje najedzie, dokoła mężczyźni pod jej rozkazami. Podoba mu się ta nowa wersja kobiecości, którą w niej widzi, bo dzięki temu on nie musi być mężczyzną.

Karl wie, że jest mężczyzną dopóty, dopóki ma narząd identyfikujący go jako mężczyznę, ale nigdy nie miał pojęcia, jak należy chodzić, mówić czy wyglądać jak rasowy mężczyzna. Nawet teraz, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat, czuje się jak mały chłopiec ukradkiem popalający ojcowskie cygaro, przymierzający jego koszulę.

Agatha kręci nosem i cmoka. Ręce ma złożone na brzuchu. Karl przygląda się jej palcom. Są duże i grube; wyobraża je sobie niezgrabnie i ciężko uderzające w klawisze maszyny do pisania, jak torby z ubraniami spadające z siódmego piętra.

Kładzie się obok Agathy na wąskim łóżku, składając ręce na tułowiu, słuchając chrapania. Jej plecy przy jego ramieniu. Za oknem w oddali widać budynki gospodarskie, zardzewiałe samochody i niezidentyfikowane maszyny rozrzucone dokoła, jakby posypały się z nieba. Trawa wygląda zza szyb, kół i bagażników – jak włosy u niektórych mężczyzn, rosnące z pleców aż na szyję. Karl zerka pod koszulę. Napina mięśnie brzucha. Wzdycha. Pociera szyję. Po szybie spływają krople deszczu. Widzi, gdzie na widnokręgu pada deszcz, a gdzie nie pada, łaty ciemności unoszą się ciężko na niebie nad pustynią, jak siniaki.

Na łóżku obok Agathy leży jej zeszyt. Karl patrzy na niego, patrzy na nią. Znowu na zeszyt. „Starość”, widnieje na okładce słowo napisane zamaszystym charakterem pisma. Dalej, u dołu, małymi, prawie nieczytelnymi literami: „Agatha Pantha (NIE DOTYKAĆ)”. Zerkając jednym okiem na nią, Karl bierze zeszyt i zaczyna przewracać kartki kciukiem. Charakter pisma w środku jest tak gniewny, jakby litery chciały zdławić papier. Ten widok nie wywołuje miłego doznania.

Odkłada zeszyt. Pod plecami czuje rytm jadącego pociągu, jego ruch, jak bujanie, jak tęsknota.

millie bird

Siedzi na kanapie w bezprzedziałowej części wagonu, opierając się tyłem głowy o szybę. Naprzeciwko kobieta czyta książkę małej dziewczynce. Mniejszej od Millie. W książce nie ma wielu słów, a pytania są naprawdę łatwe.

– Jak robi krowa? – pyta mama i od razu podpowiada córeczce. – Muuu.

Mała naśladuje ją jak echo. Mama wypowiada słowa pochwały. Jakby jej córeczka wynalazła krowy. Dziewczynka siedzi z głową zadartą do góry, macha nogami, a mama pochyla się i całuje ją w czoło. Millie zamyka oczy i z całego serca pragnie, aby to było jej czoło.

I kiedy mama pyta:

– Jak robi koń?

Millie odpowiada najlepiej jak potrafi:

– Jihaha!

Podnosi nawet głowę podobnie do konia i patrzy na mamę z nadzieją, ale ta zerka na nią, jakby stało się coś niewłaściwego.

I nagle Millie czuje nienawiść do małej dziewczynki.

– A wiesz co? – mówi, zsuwając się z siedzenia i patrząc jej w oczy. – Mogłabyś dzisiaj umrzeć.

Rusza do drugiego wagonu.

Kanapki

Co?

I zasłonki

przeczytaj to

ziemiaki

Wchodzi do wagonu restauracyjnego i wślizguje się za stolik. Winyłowe siedzenie klei się do ud. Przez okno Millie patrzy na świat umykający do tyłu, a gdy robi sobie z zakrzywionych palców okulary przy oczach, wszystko staje się śmigającymi czerwonymi, zielonymi i żółtymi smugami. Jest w tym coś przerażającego, ale też ekscytującego. Takie i takie, i Millie myśli: „Wszystko jest zawsze takie i takie”. Jest smutna z powodu rozstania ze Stellą, lecz jednocześnie szczęśliwa, że jedzie dalej z Karlem i Agathą. Smutno jej, że tata umarł, ale cieszy się, że ciało już go nie boli. Kocha mamę, ale zarazem jej nie cierpi. Można jednocześnie kochać i nienawidzić tego samego człowieka? A jeśli kochamy bardziej, niż nienawidzimy, czy ta osoba nam wybaczy? Pozwoli się odnaleźć? Millie zdejmuje okulary, opiera się o siedzenie i przygląda długości wszystkiego w zasięgu wzroku, mając poczucie, że nic nigdy nie skończy się ani nie zacznie.

Nadchodzi kobieta ubrana w uniform Indian Pacific. Ma długie, jasne włosy i oczy, które błyszczą, gdy się uśmiecha.

– Przepraszam – odzywa się Millie najuprzejmiej jak potrafi. – Kiedy dojedziemy do Melbourne? Muszę tam być za dwa dni.

Kobieta uśmiecha się współczująco.

– Och, wiem, skarbie, że to wielka wyprawa – odpowiada. Sięga do kieszeni. – Proszę – dodaje, wręczając Millie batonik.

Ta zerka na batonik w swojej dłoni. Potem unosi wzrok na kobietę.

– Muszę tam być za dwa dni – powtarza.

Kobieta się śmieje.

– Przyniosę ci książeczkę do kolorowania – odpowiada i rusza dalej.

Millie gryzie batonik, a w tej samej chwili z głośników płynie męski głos:

– Dzień dobry. Jeśli wsiedli państwo w Kalgoorlie, witamy w Indian Pacific. Życzymy miłej podróży. Będziemy państwu tą drogą przekazywać istotne informacje, opowiemy także o wspaniałej krainie, którą przemierzamy. Niedługo wjedziemy na nizinę Nullarbor. Słowo „Nullarbor” pochodzi z łaciny i oznacza brak drzew, niemniej tutejsze tereny porasta akacja i słonorośle, wytrzymałe krzewy, odporne na suszę i słonolubne. Ta nizina to największy na świecie pojedynczy teren skrasowiałego wapienia, mający od dwudziestu do dwudziestu pięciu milionów lat, dwukrotnie większy od Anglii. To zarazem dawne płytkie dno morskie, w większości złożone ze skorup.

Millie przyciska twarz do szyby.

– A więc to tak wygląda dno morza – mówi.

Musi to zapamiętać, żeby potem opowiedzieć Stelli. Umieszcza to w tej części głowy, gdzie przechowuje rzeczy warte zapamiętania.

Przy sąsiednim stoliku chłopiec mniej więcej w wieku Millie czyta komiks. Na okładce jest narysowana postać mężczyzny w pelerynie, z wystawioną do przodu ręką, rozwianymi włosami, z człowiekiem wetkniętym pod pachę. Z tyłu płonie budynek. Na przegubie postać ma opaskę ze światełkami i przyciskami.

Millie patrzy na ojcowski ochładzacz do napojów na swoim ręku. Wyobraża sobie, że ma pelerynę, frunie przez wagony pociągu, unosi się nad wszystkimi, niesie im ratunek. Potem wyfruwa przez okno i leci prosto do Melbourne. Mama będzie jej musiała wybaczyć, bo przecież była Dobra. Napotyka spojrzenie chłopca znad komiksu. Wydaje się ją dopingować.

Millie wślizguje się więc do wagonu pierwszej klasy...

potem wzięłam jabłko

najpierw zrozumiano to jako

jak to się

Nowa Szkocja?

...i kradnie biały obrus. Z plecaka wyjmuje Piórnik Pogrzebowy, grubym czarnym flamastrem pisze KM na płótnie i związuje je sobie wokół szyi. Zdejmuje kalosze, na prawym pisze K, na lewym M. Na jednym przedramieniu pisze TUTAJ MAMO, na drugim PRZEPRASZAM MAMO. Zbiera wszystkie menu w wagonie restauracyjnym i obok nagłówka „Witamy w Indian Pacific” pisze jak najstaranniej: „Wszyscy umrzecie”. A niżej, wersalikami, NIC NIE SZKODZI. I dorysowuje uśmiechniętą buźkę.

Obserwuje kobietę starannie nakładającą szminkę na usta, a kiedy tamta nie patrzy, sięga do jej torebki i zabiera szminkę.

– Pożyczam – mówi półgłosem.

Szminką wypisuje wiadomość u dołu okien, na lustrach w toaletach i na blatach stołów w wagonie restauracyjnym. Nikt zdaje się tego nie zauważać.

Włóczy się po wagonach, czując pelerynę powiewającą za plecami, czując się tak, jakby w podeszwach jej kaloszy były sprężyny. Ludzie patrzą na nią. Uśmiecha się do nich. Czuje się tak, jakby jej uśmiech mógł zapewnić światu całą potrzebną elektryczność. Biegnie przejściem między fotelami, z ręką wysuniętą do przodu, z dłonią zaciśniętą w pięść.

Starsza kobieta kładzie dłoń na sąsiednim miejscu, jakby próbowała poczuć ciepło kogoś, kto tam siedział. Millie opada na kolana i przesuwa się po podłodze w kierunku kobiety.

– Pewnego dnia umrzesz – mówi.

Kobieta patrzy na nią.

– Mam nadzieję, moja droga – odpowiada, klepiąc ją po głowie.

Na podłodze w salonie siedzi dziewczynka czesząca Barbie.

– Pewnego dnia umrzesz – mówi Millie, stając nad nią.

Tamta nie podnosi głowy.

– TY umrzesz.

– Wiem – odpowiada Millie.

Tata karmi malucha, próbując jednocześnie powstrzymać dwóch innych chłopców od bójk.

– Pewnego dnia wszyscy umrzecie – obwieszcza Millie, przybierając dumną pozę, z ochładzaczem nad głową.

Tata próbuje zasłonić dzieciom uszy.

– Zjeżdżaj – mówi.

Mama, czytająca obok czasopismo, przewraca teatralnie oczami.

– Przecież to tylko dziecko, Gerard.

– Charles Manson też był kiedyś dzieckiem!

– Nie jestem tylko dzieckiem, Gerard – szepcze Millie i odchodzi.

W wózku leży niemowlę. Millie pozwala mu chwycić się za palec. Nachyla się nisko.

– Ty też umrzesz – mówi.

Niemowlak uśmiecha się do niej, puszcza bąka i rozjaśnia się jeszcze bardziej.

Ta mała jest nieźle szurnięta

wiem

Millie znajduje drzwi z napisem: „Derek Fauntleroy: Główny konduktor”. Pcha drzwi, otwiera na oścież i widzi mężczyznę siedzącego za biurkiem z głową w dłoniach i telefonem przy uchu.

Tato, nie mogę, jestem w pracy

To porządna praca

Boże, tato

Poproś Złotego Chłopca

Bo to prawda, cholera

Tylko nie odkładaj słuchawki

Tato

Tato

Jasna cholera.

Na oknie naprzeciw tego przedziału Millie pisze szminką: NIC NIE SZKODZI. Wydaje się, że litery fruną nad widnokrzem.

Siada pod jednym ze stołów w wagonie restauracyjnym. Wszyscy są smutni i albo to okazują, albo ukrywają; niektórzy są smutni od dawna, inni dopiero od niedawna. Myśl o niesieniu pomocy każdemu jest bardzo, bardzo wyczerpująca.

– Czy tak powinien czuć się superbohater? – pyta Millie, wciskając twarz w siedzenie.

Pod stół wsuwa głowę jakiś chłopiec i wpycha się obok niej. To ten chłopiec od komiksu. Ma brązowe włosy, a oczy zdają się zajmować całą twarz.

Patrz na siebie.

– Jadę tym pociągiem już trzydziesty siódmy raz – mówi w końcu chłopiec.

– No i dobrze.

– Wiem o nim wszystko. Spytaj o coś.

– Jestem zajęta.

– Jesteś superbohaterem. – Chłopiec wskazuje pelerynę.

– No.

– Ja też.

– A którym?

On wzdycha, opiera się na łokciu i podpira dłonią podbródek.

– To tajemnica.

– Ja jestem Kapitan Mogiła.

On siada prosto.

– A ja Kapitan Wszystko.

– Co robisz?

– Eee, no wszystko. – Przewraca oczami. – Uch.

– Och.

– A ty co robisz?

– Jeszcze nic.

Obok przechodzą buty sportowe, klapki, bose stopy.

– Lubisz nogi? – pyta chłopiec.

Millie zastanawia się nad odpowiedzią.

– Przeważnie.

– Moja mama mówi, żebym nigdy nie dotykał niczyich stóp. Że oprócz klamek, poręczy i owłosionych pleców to najobrzydliwsza rzecz na świecie.

– Są inne bardziej obrzydliwe.

– Jakie?

– Chłopcy.

– Dziewczynki bardziej.

– Kupa – mówi Millie.

– Chyba że na twarzy, to może.

– Moja babcia miała pełno brodawek na powiekach.

– Może była czarownicą?

– Pewnego dnia...

– Umrę, wiem.

– Jak się dowiedziałeś?

– Wszyscy wiedzą.

– Podśluchiwałeś!

– Nie.

– Właśnie że tak.

Chłopiec opiera się plecami o nogę stołu.

– Chcesz kawałek batona?

Millie wzrusza ramionami.

– No dobra.

Chrupią głośno razem. Millie szybko połyka odgryziony kęs. Chłopiec się jej przygląda. Sięga do kieszeni, wyciąga krakersy i podaje je Millie. Ona zjada z wdzięcznością.

– A w ogóle gdzie jedziesz?

– W podróż.

Chłopiec unosi oczy w górę.

– To jasne. Ale gdzie?

Millie bierze głęboki oddech.

– Próbujemy odnaleźć moją mamę. Zapomniała mnie zabrać. Potem z domu zniknęły wszystkie jej rzeczy. A przedtem tata był w szpitalu. A potem umarł. I chyba dlatego mama zapomniała mnie zabrać i chce wyjechać, a ja muszę ją znaleźć przed tym wyjazdem.

- Aha.
 - Czy twoja mama jest miła?
 - Jest w porządku.
 - Co robi?
 - To co mamy.
 - Czyli?
 - Przynosi mi rzeczy. Zabiera mi rzeczy. Robi mi rzeczy. Takie tam.
 - Moja mama zabierze mnie do Disneylandu. I na Złote Wybrzeże. No wiesz, jak już ją odnajdziemy.
 - Pojechaliśmy tam w zeszłym roku.
 - A potem chyba pojedziemy do Morskiego Świata.
 - Pokaz delfinów był nawet fajny.
 - Moja mama występuje w tym pokazie – mówi Millie.
 - Nie widziałem jej.
 - Przecież jej nie znasz.
 - Wcale nie występuje.
 - A potem chyba polecimy w kosmos.
 - Nie można lecieć w kosmos – odpowiada chłopiec, krzyżując ręce na piersi.
 - Kto tak mówi?
 - Wszyscy.
 - Moja mama zna jednego pana, który może latać w kosmos.
 - Astronautę?
 - To po prostu bogacz.
 - Aha. Znasz bogaczy?
 - Kilku.
 - A ja znam dużo.
 - Nieprawda.
 - Prawda. Do mojej szkoły chodzi dziewczynka, która co dzień kupuje sobie drugie śniadanie.
 - No i co z tego?
 - Co dzień.
 - A może polecieć w kosmos?
 - Chyba tak.
 - To gdzie wtedy kupi drugie śniadanie?
 - Kupi wcześniej – odpowiada chłopiec. – Chyba jasne.
 - Jak masz na imię?
 - Nie powiem. A ty?
 - Millie Bird.
 - Ja jestem Jeremy.
 - Jeremy co?
 - Nie co, tylko Jacobs.
 - Podoba mi się.
 - Dziękuję. Twoje nazwisko też jest w porządku.
 - Dziękuję.
- Z drugiego końca wagonu dobiega głos:
- Przepraszam pana.
- Oczy Jeremy'ego się rozszerzają.

– To Derek – szepcze. – Szef konduktorów.

Derek przechodzi obok. Millie widzi tylko stopy. Błyszczące czarne buty. Zdecydowany szybki krok.

– Nie chuchamy na szyby, proszę pana – mówi.

– Mama mówi, że był kontrolerem parkingowym – ciągnie Jeremy. – Ale... – nachyla się do Millie – ...go zwolnili. Kombinował z parkometrami, żeby wystawiać więcej mandatów.

Millie wypełza spod stołu, żeby lepiej się przyjrzeć Derekowi. Widzi go z tyłu, ale rozpoznaje mężczyznę, który rozmawiał przez telefon. Koszula wsunięta w spodnie, spodnie zaprasowane w kant. Wyciera stoły, siedzenia, ściany i wszelkie możliwe powierzchnie. Jakby się ścigał z samym sobą. Przy jednym ze stolików siedzi dziecko umorusane vegemitą, a jego mama stoi w kolejce przed ladą. Derek ociera obcesowo dziewczynce buzię ściereczką, a ona przez chwilę siedzi zdumiona, po czym wybucha płaczem. Derek wymija matkę, oddalając się od beczącej małej.

– Nie płaczemy w wagonie restauracyjnym – upomina.

– Parkingowi do piekła – mówi Millie, kryjąc się pod stolikiem.

– Co?

– Tata tak mówił.

– Aha.

Pod stół wsuwa głowę kobieta, która wcześniej dała Millie batonik.

– Znalazłeś sobie przyjaciółkę, Jeremy?

– Ona nie jest przyjaciółką, mamo.

Siada.

– No to dziewczynę.

– Mamo! Obrzydlistwo.

Kobieta uśmiecha się do Millie, a Millie odwzajemnia uśmiech.

– Wygląda na miłą – zwraca się kobieta do Jeremy'ego.

– Nie jest miła.

– On też nie – wtrąca Millie.

Kobieta parska śmiechem.

– Pasujecie do siebie jak ulał.

– Mamo! – protestuje chłopiec, krzyżując ręce na piersi.

– Zaraz będę miała przerwę, kochanie. Może przyjdiesz i zjemy razem obiad?

On zezuje na nią.

– A pogramy w Czarnego Piotrusia?

– No jasne.

Obok mamy Jeremy'ego zatrzymują się błyszczące czarne buty.

– Melisso – odzywa się głos. – Do twojej wiadomości: nie płacą ci za siedzenie na podłodze.

– Oczywiście, Derek – odpowiada kobieta.

Błyszczące czarne buty maszerują dalej.

– On jest okropny, mamo – mówi Jeremy. – Nie lubię go.

– Och, kochanie, nie bądź dla niego taki surowy. Właściwie to mały chłopiec.

– Nie, jest dużym mężczyzną.

– Chodziło mi o to, jaki jest w środku. – Kobieta łaskocze syna po brzuchu.

Millie przykłada sobie jej rękę do brzucha. Mama Jeremy'ego jest taka piękna i pachnie jak mama.

– Jesteś bardzo piękna i pachniesz jak mama – mówi Millie.

Twarz kobiety łagodnie, ciepła dłoń łąduje na nodze Millie.

– Dziękuję, kochanie.

Millie pragnie skulić się w jej ramionach i zostać tak na zawsze, nigdy nie odejść, ale tego nie robi, bo ta kobieta nie jest jej mamą, a z cudzymi mamami nie wolno tak postępować.

A przecież należałoby móc tulić się do wszystkich cudzych mam, bo niektórzy ludzie nie mają swoich, to co wtedy mają zrobić ze swoim przytulaniem?

agatha pantha

14.02: Agatha budzi się raptownie, bo z głośników płynie anons:

– Drodzy podróżni, prosimy o przestawienie zegarków o półtorej godziny do przodu.

W trakcie podróży będziemy się posługiwać tak zwanym czasem kolei. Będziemy państwa informować na bieżąco.

Agatha siada prosto. Czas kolei? Przesławia wszystkie zegarki.

15.32: Wyjmuje notes zażaleń i długopis i zaczyna pisać: „Drog...”. Ręka jej podskakuje, bo pociąg kołysze się nagle i „g” ciągnie się przez całą stronę.

– Cholera! – Agatha wrywa kartkę z notesu i ją zgniata.

„Drogi”, pisze znowu i zastyga.

Agatha patrzy przez okno. Mkną przez busz. W australijskim buszu wszystko zawsze trzeszczy i syczy, drzewa rozczapierzone w powietrzu, jakby były w agonii. I ta ziemia, mocno czerwona ziemia, która wchodzi pod paznokcie, brudzi ubranie i nie chce się odczepić.

Nagle myśli o włosach Rona. Rude, jak miedziane druty, przygładzone na głowie, z falą na przodzie i idealnym przedziałkiem. Miała piętnaście lat, gdy się poznali; on – osiemnaście. Był to wrażliwy i tajemniczy czas. Agatha pamięta, że nieczęsto słyszała swój głos. Pamięta, że czuła się niedorzecznie z tego powodu, że żyje. Skóra jakby zawsze ją swędziała od nieustannych spojrzeń innych ludzi. Kontakt wzrokowy był niebezpieczeństwem. Ciało zabierało ją do miejsc, do których nie chciała dotrzeć, do tego osobliwego zakątka, który nazywano kobiecością. Nikt jej nie mówił, co powinna zrobić, gdy już się tam znajdzie. Tylko się wiała bez sensu w nadziei, że nikt nie dostrzeże, co się dzieje pod jej ubraniem.

Po raz pierwszy zobaczyła Rona w parku niedaleko domu swojej babci. Wracła ze szkoły do domu, zdając sobie sprawę, że zbyt gorączkowo rozmyśla o tym, jak należy chodzić, jak poruszać rękami i że to się rzuca ludziom w oczy.

Jak brzmiały pierwsze słowa, które do niej skierował?

– Weź podaj piłkę, co?

Chyba właśnie tak powiedział.

Chłopcy grali w krykieta. Usłyszała jego głos, ale nie podniosła głowy. Spięła się cała, dostrzegając kątem oka piłkę toczącą się w jej stronę. Piłka uparcie się toczyła, była coraz bliżej, jak kula śnieżna, rosła z każdą sekundą, większa i większa, wypełniając pole widzenia.

– Weź podaj nam piłkę, co?

A potem posłał jej spojrzenie, spod ręki osłaniającej twarz przed słońcem i podszedł. Ten głos i gestykulacja, i to, jak stanął.

– Nie możesz podnieść piłki? – spytał z uśmiechem, sam ją podnosząc.

Właściwie to nie było pytanie. Agatha wbiła wzrok w ziemię.

– Jak chcesz – mruknął i odszedł.

Ale teraz w jego krokach było wahanie, które dostrzegła i poczuła i wciąż je czuła, gdy nocą leżała w łóżku, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w sufit.

A później, gdy już byli małżeństwem i mieli na własność dom, i spędzili całe życie razem, położył jej dłoń na głowie, gdy umarła jej matka. W przelocie, idąc od zlewu do krzesła, ale ta dłoń była tak ciężka od miłości, że powstrzymała głowę od beznadziejnego opadnięcia na pierś.

Co wieczór przygotowywał dla niej bulion z kostki wołowej, nie musiała wcale prosić. Nie uprawiał hazardu. Nie palił. Gdy była chora, czytał jej na głos wiadomości z gazety. Jadł

przyrządzone przez nią klopsiki, choć były okropne. Nie uśmiechał się za często, ale nigdy się nie skarżył.

Czy to znaczy, że był dobrym człowiekiem?

Czy był dobrym człowiekiem? Lepszym? Od niej? Od większości?

15.46: Ale było to. Po iluś latach małżeństwa Agatha zobaczyła, że Ron zerka na tyłek innej kobiety. To była ta sąsiadka, jak jej tam, Tallulah czy Tiffany, takie imię, co to widać na torebkach, a przycinała akurat krzak róży, ubrana tak, że prostytutka by się zaczerwieniła ze wstydu. Bielizna wylazła jej spod dżinsów, jakby chciała dopełznąć do karku. Jak pies szarpiący się na łańcuchu, żeby dosięgnąć michy. Ron czekał w samochodzie. Agatha dostrzegła jego minę przez szybę, gdy zamykała drzwi domu. Od lat nie sypiali ze sobą, ale w tej sytuacji było coś, co nią wstrząsnęło. Coś w twarzy męża – dla niewyrobionego obserwatora niby pustka, ale zmrużenie oczu wydawało się inne, no i lekko rozchyłone usta – coś w związku z tym tyłkiem wystawionym na świat, z tą przestrzenią między tyłkiem a jego twarzą. Coś w związku z tym, czym Agatha nie była.

Otworzyła drzwi i wsiadła do samochodu. Zajmując miejsce, poczuła, że jej tyłek rozplaszcza się na całym siedzeniu, aż po sam skraj. Gdy odjeżdżali, ta cała Imię Z Torebek zamachała do nich ręką, mocno czerwone wargi i okrągłości. Ron zacisnął usta, płaska linia pod nosem, jak na pulsometrze. Biiiiip, mówiły jego usta.

– Biiiiip – mówi teraz Agatha, patrząc przez okno.

15.52: Patrzy na kartkę.

– Drogi – mówi.

Zastanawia się, jak wyglądała jej twarz w oczach męża. Nie przypomina sobie, aby kiedykolwiek patrzyła na niego łagodnie. Zastanawia się, czy on czuł w palcach miłość do niej. W jej głosie zawsze była nutka zniecierpliwienia, zawsze, wszystkie słowa nią podszyte. Nigdy nie zadawała mu nieukierunkowanych pytań. Gdy nalewała sok pomarańczowy, zawsze wybierała szklankę, w której było więcej. Przechodziła przez próg i choć doskonale wiedziała, że on idzie za nią, puszczała drzwi, żeby się zamknęły. Nie masowała mu zeszywniałego karku, patrzyła tylko, jak kiwa głową na boki i wciska sobie bez przekonania palce w zastałe mięśnie, szukając źródła bólu jak mechanik przyczyny awarii w samochodzie. Widziała jego wykrzywioną twarz, ale dalej wkładała sobie łyżką ziemniaki do ust. Jego dolegliwości wydawały się nieistotne, jakby był jedną z sierot w zniszczonym wojną kraju.

Czy poddawała go w ten sposób sprawdzianowi? Czy cały ich związek był tylko wyzwaniem, konfrontacją? Ile jeszcze zniesiesz, Ron? Ile gotów jesteś wytrzymać? I dlaczego? Dlaczego, Ron, gotów jesteś to wszystko wytrzymać?

16.01: Była dla niego niedobra. Te słowa rozbrzmiewają w jej głowie tak donośnie, jakby je wykrzyczała. Była niedobra dla Rona wyłącznie dlatego, że potrafiła taka być, że to było łatwe, a on jej nie powstrzymywał.

karl maszynopiszący

Siedzi przy stoliku w Matilda Café, pijąc z Mannym butelkę wina i obserwując zachód słońca nad pustynią. Ziemia drży i trzeszczy, a te odgłosy, ich łagodna uporczywość, niosą otuchę, jak deszcz bębniący o dach. Willy-willy dotyka widnokregu, jak gdyby rozpałał się kurz, a Karl patrzy szeroko otwartymi oczami, jak wiruje i się kłębi, po czym znika bez śladu.

Odwija papier toaletowy z dłoni i przygląda się ranie. Pokazuje ją Manny'emu, poruszając brwiami.

– Szkoda, że nie widziałeś tamtego. – Rozkłada na stole klawisze z maszyny do pisania Evie. – Wiesz, o czym zapomniałem? – dodaje z westchnieniem. Przesławia klawisze.

– Naziomie. Jest coś takiego?

Do wagonu wchodzi para starszych ludzi. Uśmiechają się do Karla, siadając przy drugim stoliku. Karl uprzejmie kiwa im głową. Kobieta otwiera książkę i zaczyna czytać. Mężczyzna mruga okiem do Karla.

– Przyjemna podróż? – pyta.

– O tak, bardzo.

– Te drzewa. – Wskazuje za okno. – Są martwe. – Trąca łokciem żonę. – Są martwe, ale wypuściły nowe pędy.

Kobieta nie reaguje, więc on patrzy na Karla przez chwilę.

– A niech to – odpowiada Karl.

Mężczyzna odwraca się do zaczytanej żony.

– Pójdę zerknąć, co tam mają – mówi.

Wraca z dwiema filiżankami herbaty.

– Ojej – wzdycha, stawiając je na stoliku. – O rany. Ale gorące! – Dmucha w dłonie i wyciera je teatralnie. – O rany, ale ukrop. – Żona ani drgnie, czyta dalej. – Te drzewa – powtarza mężczyzna, siadając i wskazując okno. – Nowe pędy!

– Pozostała obsługa miła – mówi kobieta zniecierpliwiona, jakby jej mąż w ogóle się nie odzywał, wypowiadając słowa z nagłym zdezorientowaniem, jak ktoś, kto został wyrwany ze snu.

– Co? – pyta mąż.

– Pozostała obsługa miła – powtarza, nie podnosząc głosu.

– Pozostała obsługa piła! Tak mówisz?

– Miła – odpowiada kobieta, nie odrywając oczu od książki.

– Aha. Miła.

On pije herbatę, ona czyta.

Karl zerka na jej twarz. Kobieta wydaje się całkowicie ignorować obecność męża, jak najdalej od wyrażenia czegokolwiek w związku z nim.

– Dlaczego ciągle żyją? – szepcze Karl. Zerka kątem oka na Manny'ego. – Wiem, wiem.

– Błat pod piszącymi palcami jest zimny i twardy. – To okrutne, ale... – Patrzy na mężczyznę, wciąż wskazującego ruchami głowy drzewa za oknem, i kobietę niekochającą go w żaden sposób. – Kochałem Evie, a ona kochała mnie. Czy nie powinno się nas za to jakoś wynagrodzić?

– Odwraca się do Manny'ego, patrzącego wprost na tamtych dwoje. – Manny – szepcze, czerwieniejąc z zażenowania. – Przez ciebie zorientują się, że o nich mówimy.

Przekręca jego głowę w swoją stronę. Wykonując tę czynność, chwytą go za przedramię i czuje wypukłość jego mięśni.

– Manny. – Rozpina mu górne guziki koszuli i zagląda pod spód. – Rany. – Zadziera dół koszuli. – Rany – powtarza, głaszcząc Manny’ego po brzuchu.

– Dzień dobry panu – odzywa się jakiś głos.

Karl aż podskakuje. Mężczyzna ubrany w uniform Indian Pacific stoi obok stolika. Z szyi zwisa mu notes na sznurku. Za paskiem ma starannie złożoną ściereczkę.

– Główny konduktor. Derek. – Puka palcem w plakietkę z nazwiskiem. Potem przesuwając delikatnie palcem po przedziałku we włosach i dłonią przypląszcza z boku grzywkę.

– Cześć, Dereku, główny konduktorze. Jestem Karl Maszynopiszący.

– Zje pan dziś u nas kolację?

– Oczywiście – odpowiada Karl. Obejmuje Manny’ego ramieniem. – Ja i mój przyjaciel. Żona i wnuczka.

– Nie wolno wносить do pociągu akcesoriów erotycznych, proszę pana – informuje Derek półgłosem.

– Jakich akcesoriów? – pyta Karl, nachylając się do przodu.

– To, co pan robi w wolnym czasie, jest pańską prywatną sprawą, ale podczas podróży pociągami...

– Przepraszam, jakich akcesoriów?

– Nie wiem, co znaczy pański kawał...

– Mój kawał?

– ...ale musi pan niezwłocznie zabrać z wagonu restauracyjnego tę dmuchaną lalę!

Karl cofa rękę z ramienia Manny’ego. Zerka na niego przepaszczając. Opiera się łokciami o stół i splata dłonie.

– Manny nie jest żadną dmuchaną lalą – odpowiada cicho.

– Proszę posłuchać – mówi Derek, pisząc w notesie zawieszonym na szyi. – Nie wiem, jak tacy jak pan nazywają dzisiaj te zabawki, ale to ma mi zniknąć z oczu. Rozumiemy się?

– Wyrywa kartkę z notesu i wściekłym ruchem kładzie ją na stoliku.

Na kartce widnieją napisane dużymi literami dwa słowa: NIEPRYZYWOITE ZACHOWANIE. Pierwsze słowo zostało podkreślone.

Zanim Karl ma czas zareagować, do wagonu wpada Millie.

– Cześć, Karl – mówi. – Cześć, Manny. – Obejmuje manekina.

Za nią pojawia się Agatha. Siada naprzeciwko. Karl wsuwa kartkę do kieszeni.

– To upomnienie – oświadcza Derek. – Trzy takie upomnienia i będzie pan musiał zrezygnować z podróży.

– Upomnienie za co? – pyta Millie.

– Przepraszam – odzywa się Agatha ze spojrzeniem utkwionym w plakietkę z nazwiskiem. – Którą pan ma godzinę? – Wydaje się poruszona.

Derek patrzy na zegarek.

– Wpół do siódmej wieczorem – odpowiada. – Czas kolei – dodaje.

– A wie pan co? – mówi Agatha, bębniąc palcem w stół. – Nie może pan ot tak sobie zmieniać czasu i wymyślać na to jakichś nazw.

– Do pani wiadomości: owszem, mogę. – Derek odchyła się na piętach i splata ręce na piersi. – Niech pani sobie wyobrazi, że to mój dom. Dopóki jesteście w moim domu, obowiązuje mój czas.

– A czas Millie? – pyta Millie.

– No właśnie – podchwytuje Karl. – A czas Karla?

– Nie – odpowiada Derek. – NIE. Obowiązuje tylko czas kolei. – Rzuca im kolejno przeciągłe spojrzenia i powtarza: – MÓJ DOM. – Odwraca się i wychodzi z wagonu.

– Miły facet – mruczy Karl. – Ktoś chce coś przekąsić? – Spod stołu wyjmuję trzy kanapki zawinięte w folię.

– Ja! – woła Millie, podnosząc rękę.

Karl rozdziela kanapki.

– Dziękuję – mówi Millie, odwijając folię.

– Która u ciebie godzina, Maszynopiszący? – pyta Agatha, chwytając chciwie jedzenie.

Karl zerka na nadgarstek.

– U mnie wpół do piegów – odpowiada. – A u ciebie, Millie?

– Za kwadrans włosy – mówi dziewczynka, chichocząc.

Agatha wciąż jest poruszona.

– Wiem tyle, że czas się napić – stwierdza Karl, próbując przybrać uprzejmy ton.

– Możesz łyknąć porcję Manny’ego. Nie masz nic przeciwko temu, co, Manny? On nie ma nic przeciwko.

Napełnia drugi kieliszek i podsuwa go Agacie.

Ona bierze kieliszek, wypija wszystko i przesuwa go z powrotem w kierunku Karla.

Ociera usta wierzchem dłoni i zerka na niego, jakby testowała barmana.

Karl śmieje się nerwowo i nalewa ponownie. Wyprostowuje się i mówi głębokim głosem:

– Co więc dzisiaj robiłaś, Millie? Wygląda, jakbyś miała sporo na głowie.

Dziewczynka ma na ramionach jakąś skleconą naprędce pelerynę, a na rękach litery i kolory.

– Poznałam jednego chłopca.

– Aha. Czy dziewczynki w twoim wieku zwykle tak robią? Poznają chłopców?

– Powiedział, że chce mi coś pokazać – odpowiada Millie, przetykając kęs kanapki.

– Jestem bardzo ciekawa.

– Aha, A ty, Agatho?

Ona nie reaguje, tylko znowu wypija zawartość kieliszka i przesuwa go w stronę Karla.

– Może następny z wodą? – pyta on lekko drżącym głosem.

Ona puka palcem w kieliszek.

– No tak – mruczy Karl. Czka. Zasłania dłonią usta. – O kurczę.

– Oto zamówiony deser – mówi kobieta w uniformie Indian Pacific, podchodząc i wręczając im po kubku jogurtu. Mruga do Millie. Millie rewanzuje się tym samym.

– Ale ja... – zaczyna Karl.

Kobieta – o imieniu Melissa, jak wskazuje plakietka – kładzie mu dłoń na ramieniu i palec na ustach.

Jego ramię roztapia się pod ciepłem jej dłoni.

millie bird

– Ziemia do Kapitana Mogiły. Kapitan Wszystko do Kapitana Mogiły. Odbiór. Pst. Millie zagląda pod stół. Siedzi tam Jeremy. Więc Millie zsuwa się z fotela i zajmuje miejsce obok.

– Cześć, kapitanie.

– Kto to? – pyta chłopiec.

– Kto?

– No ten. – Wskazuje Manny’ego.

– To Manny. Nieżyłek.

– Nieprawda. – Kopie Manny’ego w nogę. – Jest z plastiku.

– To nasz przyjaciel. Uratował mi życie.

Chłopiec patrzy na Manny’ego.

– Plastikowa kukła nie może być przyjacielem.

– Kto tak mówi?

– Biblia.

– Nieprawda.

– Czy on ma, no wiesz, siusiaka? – Jeremy kręci palcem wskazującym.

– Chyba nie.

Zerkają niepewnie na krocze Manny’ego.

– Widziałeś kiedyś nieżyłka? – pyta Millie.

– No jasne. Cały czas.

– Na przykład?

– No... Nie wiem. Różnie. A ty pewnie nie.

– Pewnie, że tak.

– Na przykład?

Millie wyjmuje *Księgę Nieżyłków* z plecaka, otwiera ją i podaje Jeremy’emu.

– Masz. Rambo. Stary pan. Pająk. Tata. I jeszcze więcej.

– Twój tata?

– Jak myślisz, co się dzieje, jak umierasz?

Jeremy wyjmuje z kieszeni pączka i zaczyna jeść w zamyśleniu.

– Przylatuje statek kosmiczny i cię zabiera.

– Gdzie?

– Na inną planetę, wiadomo.

– Którą?

– Na Plutona może. Na Jowisza też.

– A kto kieruje tym statkiem?

– Bóg.

– Bóg kieruje statkiem?

– No pewnie.

– Ale przecież on ma inne rzeczy do roboty, nie? Pomaga ludziom, pilnuje wszechświata i tak dalej.

– Ma pomocników.

– Elfy?

– Coś jakby. Ale nie śpiewają piosenek, jeśli o to ci chodzi.

- Skąd ty to wszystko wiesz? – pyta Millie.
- Jeremy wzrusza ramionami.
- Dowiaduję się. Twoja mama jest stara.
- Ona nie jest moją mamą. Mówiłam ci o mamie.
- Tak tylko cię sprawdzam.
- Chcesz, żebym ci pokazała, jak się tworzy Mijane Wiersze?
- No pewnie!

Wypelzają spod stolika i dalej przez drzwi do drugiego wagonu, niezauważeni przez Agathę i Karła.

* * *

Siedzą na podłodze przed toaletą w ostatnim wagonie.

- Czy to nie śmieszne pomysłeć, że ktoś tam jest teraz w środku? – pyta Millie.
- No, chyba tak.
- I siedzi tam z opuszczonymi spodniami.
- No.
- Robi kupę albo siku.
- Pożyczyłem telefon od mamy – mówi nagle Jeremy, pokazując aparat.
- Millie bierze go do ręki.
- Ukradłeś.
- Przecież oddam.

Millie patrzy na telefon. Czuje na sobie spojrzenie Jeremy'ego. Z całego serca pragnie zadzwonić do mamy, ale jeśli ona nie odbierze? A jeśli odbierze? Jeśli odbierze, ale nie będzie chciała rozmawiać? A jeśli odbierze i okaże się, że nie chce już być mamą Millie?

Czy można przestać być mamą, kiedy się chce?

Jeremy bierze aparat.

- Ej! – protestuje Millie.
- Powiedz, jaki jest numer.

Ona recytuje liczby, on naciska klawisze, a potem zielony guzik. Przysuwa aparat do ucha Millie.

Ona bierze głęboki wdech.

Bu-bum, bu-bum, bu-bum.

Dzwoni, dzwoni i dzwoni. Dzwoni i dzwoni.

– Poczta głosowa – mówi Millie do Jeremy'ego. Chce powiedzieć: „Przepraszam, mamó”, ale głos odmawia jej posłuszeństwa, tryskają łzy i słowa nie chcą wyjść z ust, bo Millie usłyszała głos mamy i wreszcie mówi: – Mamó – nie zdając sobie sprawy, jak jedno i drugie przepełnia ją bólem.

Jeremy zabiera aparat. Millie unika jego wzroku. Przestaje płakać, gdy on wciska jej jabłko do rąk.

- Dziękuję – mówi i kładzie owoc obok na podłodze.
- Przepraszam, że przeze mnie płakałaś, Kapitanie Mogiła.
- Nic się nie stało, Kapitanie Wszystko – odpowiada Millie, ocierając oczy ochładzaczem do napojów. – Mam plan.
- Ja mam mnóstwo planów.
- Dobra, a jakie?
- To ściśle tajne.
- Millie przewraca oczami.
- A jaki jest twój? – pyta Jeremy.

- Ty pierwszy.
- Ja nie powiem.
- Powiedz!
- Nie!
- No dobrze – rezygnuje Millie, przysuwając się bliżej. – Obiecujesz, że nikomu nie

powiesz?

- Obiecuję – odpowiada Jeremy, mrugając solennie oczami.
- Mówiłeś, że wiesz wszystko.
- No tak. Całkiem dużo.
- Wiesz, jak ten pan czasem mówi do wszystkich w pociągu?
- Chodzi ci o system nagłaśniający?
- Chyba tak.
- To się nazywa system nagłaśniający.
- Muszę to znaleźć.
- Po co?

Millie patrzy na ochładzacz do napojów.

– Żeby zrobić coś dobrego.

– Wpakujesz się w kłopoty.

Przysuwa twarz do twarzy Jeremy'ego. Ten nie wie, gdzie uciec wzrokiem.

– Potrzebuję twojej pomocy, Kapitanie Wszystko. Pomożesz?

Chłopiec przełyka ślinę.

– Tak – odpowiada. – Pomogę, Ka-Ka-Ka – zaczyna się jąkać. Odchrząkuje. – Kapitanie

Mogła.

karl maszynopiszący

- Szym jest miłość, Agatho Panfa? – pyta Karl, kręcąc winem w kieliszku.
- Miłość? – odpowiada Agatha, przyciskając nos do szyby. – Niczego nie widzę!
- Właśnie. Właśnie, Agatho Panfa.
- Jest zbyt ciemno!
- Tak.

Tryka czołem w okno.

- Aż się robi nieswojo!

Karl kiwa gwałtownie głową z zamkniętymi oczami. Pochyla się niepewnie do przodu.

– Ale wata zachodu – stwierdza, pukając palcem w stół przed Agathą, a potem podnosząc dłoń do góry, jakby apelował do sędziego w trakcie meczu.

Agatha odwraca się do niego.

- Co?

– Ale wata zachodu.

- Co jest warte zachodu?

– Miłość.

– Jakiego zachodu?

– Całego. Porywów serca, całego tego bólu głowy.

– Pojęcia nie mam, o czym mówisz!

Karl upija wina.

- Byłaś kiedy zakoana, Agatho Panfa? – pyta, kiwając się lekko.

– Co? Przecież przez większą część życia miałam męża! Wiesz o tym!

– Wiem, ale... – Karl chwyta wolną dłonią jej rękę i zagląda w oczy – Szy. Go. Kołaś? Ona wrywa rękę, dopija wino i z impetem odstawia kieliszek na stół. Rękawem ociera

usta.

- No myślę!

– Myślisz. A mówiłaś mu to?

– A po co? Przecież to się rozumiało samo przez się!

– Samo prze sie? Samo prze sie! – Karl wstaje i wrzeszczy na cały wagon restauracyjny, jakby wygłaszał przemowę. Wymachuje rękoma, a wino rozlewa się na stół. – Zakładałaś, że sam wiedział, że go koasz?!

Agatha podskakuje, wrywa mu kieliszek i wypija zawartość.

– Tak – odpowiada zaczepnie, zadyszana od gwałtownych ruchów.

Patrzają sobie w oczy przez długą chwilę, nie wiedząc, jak drugie zareaguje. W końcu osuwają się na fotele, jakby byli mimami udającymi odbicie w lustrze.

Karlowi podoba się, że od krzyków wystąpiła jej na szyi żyła, biegnąca aż do ucha.

Odczuwa nagłą pokusę, aby ją polizać; przesunąć językiem do końca i chwycić zębami płatek ucha. Ma ochotę zdjąć jej okulary i pocałować ją, naprzec na jej ciało. Chce się przekonać, co się kryje pod tą brązową garsonką.

- A on cie koał? – pyta w końcu.

Przeciąga palcami przez kałużę wina na stole.

Agatha wzrusza ramionami i patrzy w mrok.

Karl rysuje serca w winie.

- Na pewno – wzdycha.

– To nie jest ważne. Nie było ważne. Nie o to chodzi.

– Właśnie że tylko o to chodzi.

Agatha opiera głowę na zagłówku.

Karl patrzy na nią: zmęczona, stara twarz, zmęczone, stare usta, zmęczone, stare oczy.

Wstaje i przesadza Manny'ego na drugą stronę stołu. Potem przysiadła się do Agathy. Teraz czuje jej zapach, kulki naftalinowe i sok, jakoś tak. Ona odwraca wzrok. On się przysuwa, czuje na skórze jej wykrochmalony zakiet, ciepło jej ciała na nogach. Czy mógłby kochać tę kobietę?

A ona jego?

Karl bierze głęboki wdech, chwyta Agathę za twarz, przyciąga ją do siebie i całuje w usta.

Odsuwa się i wstaje, a ona siedzi zszokowana, z zapartym tchem.

– Jesteśmy tutaj tylko z powodu seksu, wiesz? A ty się tego wstydzisz. Wszyscy się wstydzicie. Ty i ty. I ty. I ty też. I ty. Tak, ty. Odbądźcie stosunek płciowy – zwraca się do pary młodych ludzi siedzących przy sąsiednim stoliku. Zerka na Manny'ego w poszukiwaniu wsparcia. Jest przekonany, że Manny pokazuje mu wzniesiony kciuk. – Nie – mówi. – Nie stosunek. Ruchajcie się po prostu. Ruchajcie się.

– Robimy to – odpowiada mężczyzna.

Kobieta wydaje z siebie zdławiony okrzyk i daje mu kuksańca w ramię.

– Oto właściwa postawa! – stwierdza Karl. – Ruchać się – powtarza. Co za niesamowite uczucie, obrabiać to słowo w ustach. – Ruchać, ruchać, ruchać, ruchająco ruchać. Dawaj, mów razem ze mną, Agatho.

Ona siedzi sztywno za stołem, patrząc przed siebie, uczepiona blatu, jakby to był jedyny punkt oparcia.

– Są inne słowa! – krzyczy Karl, teraz już w transie. – Łono! Sutki! Dolne wargi!

– Opanuj się pan! – woła Derek, wpadając do wagonu z notesem podskakującym pod szyją.

W głębi przy stoliku siedzi dwoje małych dzieci z wybaluszonymi oczami.

– Mamo – odzywa się pierwsze.

– Ruchać – mówi drugie.

– Cycki – dorzuca starsza kobieta, która dotąd była zbyt pochłonięta lekturą książki, aby spojrzeć na męża.

– Co? – pyta on.

– Właśnie! – przytakuje Karl, wskazując ją palcem.

– Ej! – Derek tupie nogą. – Ty! – Podchodzi do Karla i próbuje go przepędzić, wymachując rękami. – Jesteś, jesteś... – mówi, plując śliną. – Wiedziałem, że z tobą będą kłopoty. – Zapisuje coś w notesie, wyrywa kartkę i rzuca ją w stronę Karla. Kartka wiruje w powietrzu, jakby była batutą dyrygującą symfonią. – Dość! Masz pan zakaz wchodzenia do wagonu restauracyjnego!

Karl uśmiecha się szeroko.

– Świetnie – odpowiada. – Kurewsko świetnie.

Agatha, która dotąd zachowywała milczenie, zrywa się nagle z miejsca i wrzeszczy:

– Jest chyba dwadzieścia trzy po dziewiętej, ale pewności nie mam!

Przeciska się obok Karla.

– Agatho. – Karl zarzuca sobie Manny'ego na ramię, tak samo w filmie Branson Spike nosił swego boom boxa, i wychodzi za nią z wagonu. Po drodze odwraca się do widowni.

– Dziękuję – mówi, kłaniając się.

– Co? – pyta starszy mężczyzna żonę.

* * *

Karlowi noc się dłuży. Agatha zamyka się przed nim w przedziale. Są pijani i zachowują się hałaśliwie i to mu się bardzo podoba. Czuje się włosko. A może śródziemnomorsko. W każdym razie cudzoziemsko, jakby przebywali w dalekim kraju, przedzierali się przez tereny górskie. Wymachuje rękami, jakby czymś kierował, używa dramatycznego języka jak na filmach, czuje, że twarz mu się wykrzywia i odkształca jak nigdy dotąd.

Odepchnęła go i wyminęła, a on był zaskoczony samym sobą, tą chwilą, bo wszyscy na nich patrzyli, więc podreptał za nią, przecież tak powinien być zrobić, prawda?

– Agatho! – krzyczy teraz, ale tylko przez wzgląd na widownię oglądającą jego dramat (JEGO dramat) puka do drzwi przedziału, ale zapada tak głęboka cisza, wielka i pusta, jak pustynia z niebem, a on patrzy na swoje ręce, podnosi je do światła i myśli: „Ty wspaniały skurwielu”.

Zdaje sobie sprawę, że Agatha go nie chce, ale to nie boli go tak jak powinno, właściwie wcale nie boli. Oto prawdziwe życie! Pęknięte serce! Ma pęknięte serce! Z powodu rzeczywistej kobiety. Pocałował ją, tak jak to robią w filmie – a może jak ludzie robią w życiu, tego nie wie – chwycił ją za głowę i pocałował! Na oczach wszystkich. Wszyscy patrzyli na niego, jakby był człowiekiem czynu, którego postawa być może jest dyskusyjna, a nikt nigdy dotąd tak na niego nie patrzył, i ta ekscytacja, że nie jest przewidywalny, że może chwycić kobietę za głowę i ją pocałować. Na oczach wszystkich!

Siedzi więc pod drzwiami przedziału i mówi, mówi, mówi, opowiada jej wszystko o sobie, numer buta, ulubiona nauczycielka w szkole podstawowej, syn, ten raz, kiedy Evie pocałowała kogoś innego, jego strach przed nisko latającymi obiektami, dlaczego nie brakuje mu straconych opuszków palców, dom spokojnej starości, ucieczka. Opowiada o wszystkim. Zасыpiając, szepcze przez dziurkę od klucza:

– I tyle. To wszystko, co mam.

Zapada w sen, oparty plecami o drzwi, z nogami wyciągniętymi do przodu, ale potem coś mu się przypomina i mówi:

– Czekaj. – Przysuwa usta do zamka. – Chyba cię kocham, ale nigdy nie mógłbym cię kochać tak, jak kochałem Evie.

Z drugiej strony jednak nie nadchodzi nic, zupełnie nic. Karl nasłuchuje, ale na próżno; wydaje mu się, że słyszy płacz Agathy, ale nie jest pewny, więc zasypia w niewygodnej pozycji, jedną ręką obejmując Manny’ego, śniąc o pustce i mroku, i w ogóle nic nie czuje.

co jeszcze wie karl

(odrobinę o płaczu)

Karl na palcach jednej dłoni może policzyć osoby, które płakały na jego oczach. Evie. Matka. Wuj płakał, kiedy umarła matka Karla, a był to inny płacz, nie ten niechlujny bezradny płacz, który dotąd widział. Wuj płakał, jakby to była czynność, każda łza jakby wymuszona, przez co Karl uznał, że tamten robi to źle.

Każdy wie, że wszyscy inni mają swoją płaczącą twarz, tak jak mają twarz orgazmiczną, ale są one na liście Twarzy, Których Nikt Nie Ogląda. Wszyscy wiedzą, że wszyscy inni się onanizują i płaczą, i rozmawiają na zasadzie tego cichego porozumienia, pozostając za przezroczystym murem: „Ja się nie onanizuję i nie płaczę, ja się nie onanizuję i nie płaczę, ja się nie onanizuję i nie płaczę, ale tak naprawdę to robię, wiem więc, że ty też to robisz, bo wszyscy

jesteśmy tacy sami”.

Widział Płaczącą Twarz Evie. Twarz Orgazmiczną. Przerazoną. Śmiertelną. Czy to więc była miłość? Kiedy przestaliśmy udawać? Kiedy możemy powiedzieć drugiej osobie: onanizuję się, płaczę, boję się, umrę?

agatha pantha

07.36: Agatha się budzi. Patrzy na zegarek. Czy taka jest godzina? Prawdziwa godzina? Czy to godzina według czasu kolei? Wszystko jedno, rozpoczyna Sprawdzanie Starości.

07.38: Próbuje wykorzystać okno jako lustro, żeby popatrzeć z niedowierzaniem na swoją twarz, ale jej wzrok skupia się na pejzażu za szybą. Granat nocy powoli ustępuje ciepłemu światłu poranka; to już nie noc, ale jeszcze nie dzień, a powietrze wydaje się zrobione z miodu.

– Czy tak jest codziennie? – pyta.

07.40: Jak zahipnotyzowana patrzy na miodowe światło.

– Co tak ważnego robię co rano, że tego nie widzę?

07.42: Przez ścianę czuje obecność Karla. Słyszy jego chrapanie w korytarzu. Leżała w łóżku i słuchała, co mówił, choć starała się nie słuchać, przykładając dłonie do uszu, ale bez przekonania, i myślała o tym, jak siedział obok, z dłonią na głowie Millie, o tym, jak trzyma filiżankę, jak krzyżuje nogi, zawsze. Poruszając górną stopą. Pomyślała, żeby go dotknąć i żeby on ją dotknął, a ta myśl wcale nie była niemiła.

Kiedy ostatni raz ktoś ją pocałował?

A potem pomyślała o jego pytaniu. Czy kochała męża? Chyba nie zna odpowiedzi.

07.53: – Wciągają mnie w to – szepcze, chwytając się za gardło.

07.54: – Karl patrzy na mnie tak, jak Ron nigdy nie patrzył – mówi.

07.55: Kładzie się na łóżku z poczuciem, że nie zasługuje na nic dobrego.

07.57: Otwiera drzwi. Karl stoi na zewnątrz, z uniesioną pięścią, jakby chciał zapukać.

– Agatha.

– Karl.

– Ja właśnie...

– Czy ty...

Jednocześnie.

Oboje kręcą nieśmiało głowami.

– Ty pierwsza – mówi Karl.

– Nie, ty.

Z głośników dobiega głos:

– Wszyscy umrzecie. Nic nie szkodzi.

Patrzają na siebie.

– To Millie – mówią chórem.

Korytarzem nachodzi Derek.

– Ty! – Wskazuje Karla palcem. – I ty. – Wskazuje Agathę. Przysuwa twarz do jej twarzy. Ona czuje jego oddech. Pasta do zębów i kawa. – Macie... – Teraz przysuwa się do Karla. – ...bardzo poważne kłopoty. – Zerka na manekina. – Ty też, jakbyś chciał wiedzieć.

* * *

08.06: Agatha siedzi na krześle w przedziale Dereka. Krzesło jest podobne do tych, które ma w domu. Brązowe, trzeszczy, gdy się na nim poruszy. Patrzy, jak Derek chodzi po przedziale od ściany do ściany. Przestrzeń jest niewielka, więc po dwóch krokach musi zawrócić. Oddycha ciężko przez nos. Kiedy chodzi, podskakuje notes zawieszony na jego szyi.

08.07: Agatha próbuje nazwać krzesło. Dłonie ma złożone na kolanach. Obok siedzi Karl. Kładzie niepewnie rękę na jej dłoni. Agatha ją strząsa. On skamle. Ona nie patrzy na niego. Krzesło Antypatii.

– Przekleństwa – mówi Derek i robi kolejne dwa kroki. Dłonie trzyma zaciśnięte w pięści po bokach. Odwraca się. – Pocałunki. – Dwa kroki, obrót. Chodzi szybko, zdecydowanie, ale powściągliwie, jakby chciał dogonić odjeżdżający autobus, ale ukryć, że mu się śpieszy.
– Obcowanie z dmuchanymi lalkami. – Dwa kroki, obrót. Kiwa głową w stronę plastikowej kukły, którą Karl nazywa Mannym. Staje przed nimi z rękoma skrzyżowanymi na piersi. – To jest pociąg Indian Pacific. Nie *Big Brother*. Rozumiemy się?

08.08: – Wyluzuj, człowieku – odpowiada Karl.

Derek zatrzymuje się w pół kroku. Zaciska powieki i krzyczy:

– Jestem wyluzowany!

Bierze głęboki wdech i pociera sobie skronie.

– My po prostu żyjemy – mówi Karl. – Powinieneś tego spróbować.

– Może zaczniesz mi tłumaczyć, że żyje się tylko raz?! To mój dom, pamiętasz?

Derek chwytą się oburącz blatu stołu.

08.08.46: W tym ułamku sekundy Agatha czuje coś do Dereka. Dostrzega zranienie w drugim człowieku. Ale ten moment pryska.

08.09: Derek siada na krześle i krzyżuje nogi.

– Chcielibyście jeszcze coś powiedzieć? – pyta.

Agatha kręci głową.

– Nie.

Sądzi, że Karl też zaprzecza, ale wciąż unika patrzenia na niego.

Derek wyjmując telefon z kieszeni. Agatha dostrzega cienką warstewkę potu pod jego nosem. Krzywi się. Kropelki potu coś o nim mówią, to coś w oczach Agathy wydaje się słabością. Wzdraga się na tę zdradę jego ciała, jego niezdolność do kontrolowania emocji i temperatury. Krzesło Zniesmaczenia.

Derek wyciąga do przodu rękę z telefonem. Agatha i Karl przysuwają się, żeby spojrzeć na ekran. Widzą zdjęcie młodego pijaka we flanelowej koszuli z Kalgoorlie. Na jednym przedramieniu, wyraźny jak słońce, widnieje napis: „Karl Maszynopiszący tu był”.

– Och – mruczy Karl.

Agatha wali go w ramię.

– Ej, Piszący!

– Do waszej wiadomości: to syn burmistrza Kalgoorlie – mówi Derek, patrząc na nich z mściwą radością, charakterystyczną dla kanibali oprawiających trudną do schwytania zdobycz.

– Aha – odpowiada Karl.

– Burmistrz to bardzo ważna persona – ciągnie Derek.

Agatha znowu wali Karla w ramię.

– Au!

– A przy okazji, takie same wizytówki znaleźli w domu spokojnej starości w Warwickvale i pobliskim domu towarowym – mówi Derek.

– Aha – odpowiada Karl.

– Coś ci dzwoni, Karlu „Maszynopiszący”? – pyta tamten, kreśląc w powietrzu znak cudzysłowu.

– Na pewno nie jestem jedynym Karlem na świecie, który pisze na maszynie.

– Jestem pewien, że jesteś!

– Tylko się nie zesraj ze szczęścia, Derek – mówi Karl.

– Niech cię o to głowa nie boli.

08.10: – Aha, jest jeszcze to! – Derek pokazuje im w telefonie zdjęcie twarzy Karla z podpisem POSZUKIWANY.

Karl szczyrzy zęby w uśmiechu.

– Ha!

– Tobie się wydaje, że to zabawne?

– Nie – odpowiada Karl, powściągając uśmiech.

– Spytam jeszcze raz. Macie coś więcej do powiedzenia? Jeśli będziecie współpracować, możecie liczyć na złagodzenie kary.

08.10.35: Karl kręci głową przecząco, a Agatha czuje, że coś w niej wzbiera. Właściwie wzbierało od dawna i teraz trzeba położyć temu kres, więc odpowiada na pytanie w taki sposób, żeby zdławić w sobie to poczucie, nie może go okazać, nie chce mieć kropelek potu pod nosem, i mówi:

– Ten człowiek mnie porwał.

08.11: Karl odwraca głowę do Agathy, ale ona uparcie wpatruje się w swoje kolana, jakby były bardzo interesujące. Właściwie są, trochę. „Nowa zmarszczka?”, myśli, drapiąc się przez rajstopy w lewe kolano. Drzwi otwierają się gwałtownie. Wchodzi blondynka w uniformie Indian Pacific, trzymając Millie za rękę.

– Millie! – woła Karl.

„Dzięki Bogu – myśli Agatha. – Jest Millie”. Ale milczy.

– Nic jej nie jest – uspokaja kobieta. – Była z moim synem.

Millie wdrapuje się Karlowi na kolana.

Agatha znów zerka na swoje interesujące nogi.

– Spokojnie, Derek – mówi kobieta z progu. – To tylko dziecko, pamiętaj.

Konduktor patrzy na zamykające się za nią drzwi.

– Chrzań się, Mel – mówi po długiej chwili. Patrzy na Millie. – Tylko dziecko? Raczej diabłą.

Millie wciska się w objęcia Karla.

08.12: – Poszukiwany – mówi Derek, czytając z ekranu telefonu komórkowego. – Za napad. Kradzież.

– Kradzież? – pyta Agatha.

– Serio? – odpowiada Karl, jakby ta sprawa była kwestią dyskusji.

Derek chowa telefon do kieszeni.

– A teraz jeszcze porwanie. Gwóźdź do trumny, nie uważasz? No i kto ma teraz większą bekę?

– Większe co? – pyta Karl.

– Porwanie? – pyta Millie.

– Nikt nikogo nie porwał – odpowiada Karl.

– Nikt, tylko ty! – krzyczy Agatha.

– Słuchaj, wiem, że jesteś na mnie zła, ale...

– Proszę pana! Wypraszam sobie takie spoufalanie! – Wznosi dłoń, żeby go powstrzymać.

– A tego, co go widać w telefonie, to Agatha uderzyła w głowę plastikową nogą – mówi Karl. – Żebyś wiedział.

08.14: – Pójdiesz do piekła – mówi Millie.

– Coś ty powiedziała? – pyta Derek.

– Tata mówił, że kontrolerzy parkingowi trafiają do piekła.

– Twój tata nie żyje – wtrąca Agatha.

– Wiem – odpowiada Millie.

08.15: – Ty – mówi Derek spokojnie, wskazując Agathę. – Wrzaskliwa. Nie okłamuj

mnie. Jak mnie okłamiesz, trafisz tam, gdzie on. A on nie trafi w miłe miejsce. – Agatha się spina. – Czy ten człowiek cię porwał, czy nie? – Derek wskazuje Karla.

08.15.28: Agatha czuje na sobie spojrzenie dziewczynki. Zerka na nią. Widzi spokojny wzrok Millie. Dziecko. Mała dziewczynka. Nagle Agatha siedzi z mężem przy kolacji.

– Nie chcę mieć dzieci – powiedziała.

Jego twarz, jej majestat i to, jak skamieniała w reakcji na te słowa, a potem jej żal, to uczucie w ciele.

08.15.52: Krzesło Kłamstwa.

08.16: – Tak, porwał – odpowiada, patrząc Derekowi w oczy. – Tak.

millie bird

– Chyba nie jesteśmy aż tak bardzo niewidzialni – mówi Millie.
Derek zamknął ją i Karla w swoim biurze i zabrał dokądś Agathę.

– Nie, nie jesteśmy.

– Co teraz będzie?

Karl całuje ją w czoło.

– Nie wiem, Pro prostu Millie.

– Dlaczego Agatha się na ciebie złości?

– Bo jest kobietą.

– A ja jestem kobietą?

– Tak.

– Ale ja się na ciebie nie złościę.

– Dziękuję.

– A ty się na mnie złościś?

– Ależ skąd.

– To moja wina.

– Wcale nie.

– Znajdziemy moją mamę?

– Jasne.

– Naprawdę tak myślisz?

Karl nie zdąża z odpowiedzią, bo drzwi się otwierają i do środka wsuwa głowę Jeremy.

– Cicho! Kapitanie Mogiła. – Zerka przez ramię, aby się upewnić, że w korytarzu nikogo nie ma, po czym wślizguje się do przedziału. – Dzień dobry panu – zwraca się do Karla, kiwając głową. – Jestem Kapitan Wszystko. – Zerka na Millie. – Kapitan Wszystko tu jest. – Ma maskę na oczach i narysowane wąsy. Na szyi zawiązał jak pelerynę serwetę z logo Indian Pacific.

– Co tu robisz? – pyta Millie.

– Macie kłopoty. Przybywam wam na ratunek.

– Kim jest ten chłopiec, Millie? – pyta Karl.

– Jestem Kapitan Wszystko, proszę pana – odpowiada Jeremy. – Już mówiłem. Naradzają się nad wami.

– Kto?

– Cała obsługa pociągu. Na dworcu w Kirk będzie czekała policja.

Millie i Karl patrzą na siebie.

– Derek krzychał: wzywam cholerną policję! – relacjonuje Jeremy. Skacze w bok.

– A moja mama: powinieneś poczekać. – Skok z powrotem w poprzednie miejsce. – A Derek: wezwę jak jasna cholera, Melissa, a ty, cholera, spróbuj mnie powstrzymać! Próbowała go powstrzymać, cholera, ale i tak wezwał, a mama go nazwała cholernym kablem, a ja byłem zakamuflowany, więc mnie nie widzieli, i ukradłem klucz do tego przedziału, a nawet jakby mnie zobaczyli, tobym się przedarł po karatowemu – kopnięcie w powietrze i cios kantem dłoni – bo potrafię robić takie rzeczy.

– Co ty masz na twarzy? – pyta Millie.

Jeremy dotyka maski i się uśmiecha.

– To moje przebranie.

– Podoba mi się twoja postawa, młody człowieku – mówi Karl. – I twoje wąsy.

Jeremy patrzy na nich ponuro.

– Musicie uciekać.

– Mówisz poważnie?

– Śmiertelnie poważnie, proszę pana.

Jeremy rusza pierwszy. Wygląda na zewnątrz, zerka w prawo, w lewo i macha zachęcająco ręką. Karl idzie jako drugi, trzymając Manny'ego w pasie, z jego podbródkiem wspartym na ramieniu. Na końcu Millie. Manny patrzy na nią nad ramieniem Karla, gdy idą przez wagony.

– W porządku – Millie porusza bezgłośnie ustami w stronę Manny'ego.

Patrzy na jego plastikowe włosy i wtedy jej głowa się odłącza. Włosy taty, wszyscy razem są na plaży i Millie mówi:

– Twoje włosy wyglądają jak ananas.

Włosy taty na podłodze u fryzjera, włosy taty rankiem, włosy taty włosy taty włosy taty, i znów czuje ucisk w żołądku, a głowa podłącza się z powrotem, przechodzą obok pukającego dziecka, rozzłoszczonego mężczyzny, spokojnej babci, dziewczynki, która ma mamę. Millie niesie plecak z przodu, a z tyłu czuje pelerynę, wiszącą nieruchomo, jak skóra zdjęta z martwego zwierzęcia.

Jeremy prowadzi ich do drzwi, za którymi jest pomost na końcu pociągu. Peleryna znów ożywa na wietrze, łopocze, jakby walczyła o najlepszy widok, podekscytowana, że bierze udział w tym wszystkim, że jest wiatr i świeże powietrze. Patrzą na pustynię. Millie nigdy dotąd nie widziała tak dużo nieba.

– A Agatha? – pyta.

– Kogo to obchodzi? – odpowiada Karl.

– Tak jest nieładnie.

– Ona też zachowała się nieładnie.

Jeremy wkłada butelki z wodą i batony do plecaka Millie.

– Idźcie w tamtą stronę – wskazuje.

– Zdumiewające – mruczy Karl, podnosząc Manny'ego. – Widzisz? To jest Australia.

– Tu jest mapa – mówi Jeremy. – Mama pomogła mi ją narysować, kiedy powiedziałem, że chcę się pochwalić w szkole, co robiłem na wakacjach. A tu macie kompas. W tym miejscu jest pub. – Wskazuje miejsce na mapie. – Great Australian Pub. Można się tam zatrzymać na noc. – Zerka przez ramię, potem znów na Millie. – Śpię tam z mamą, jak odwiedzamy tatę. Idźcie drogą na południe, a na pewno traficie.

– Skąd masz to wszystko? – pyta Millie.

– Przecież jestem Kapitan Wszystko.

– Na pewno tak chcesz? – Millie czuje pelerynę łopoczącą za plecami.

Jeremy patrzy jej prosto w oczy. Narysowane wąsy drżą lekko.

– Tak, Kapitanie Mogiła.

– Czuję się, jakbym grał w filmie – mówi Karl. – Nakręcą film o mnie? Millie, myślisz, że Paul Newman mógłby mnie zagrać? Albo ten od Bransona Spike'a?

Ona zerka za krawędź pomostu. Ziemia szybko umyka spod kół.

– A jak wysiądziemy?

– No właśnie, Kapitanie Wszystko, jak wysiądziemy? – wtóruje Karl.

Jeremy chce coś odpowiedzieć, ale Karl mu przerywa:

– Nie martw się, Millie! Ja i Manny skoczemy, potem będziemy biegli za pociągami i ty skoczysz. Złapię cię, obiecuję.

– Proszę pana, ale...

Karl zatyka mu dłonią usta.

– Dość już dla nas zrobiłeś, Kapitanie Wszystko. – Bierze głęboki wdech. Wsuwa sobie Manny’ego na skos pod szelki, żeby mieć wolne ręce. – Wierzysz we mnie, prawda, Millie?
– Ona nie odpowiada, więc on uznaje to za potwierdzenie i dodaje: – Zrobię to. Jestem bardzo wyluzowany. – Chwyta się poręcz, przygotowując do rozbiegu. – Zrobię to, zrobię...

Pociąg zaczyna hamować.

Karl puszcza poręcz i odwraca się do Jeremy’ego.

– To stacja w Roald – mówi chłopiec, podnosząc wzrok. – Tutaj wymienia się pocztę. Pociąg zawsze staje tu na kilka minut. Przepraszam pana.

Karl wzdycha i mruczy coś pod nosem. Z tyłu jest drabinka, więc schodzi po szczeblach. Zeskakuje z ostatniego i ląduje na ziemi, z grymasem na twarzy. Millie rusza za nim. W połowie drogi zastyga. Jeremy patrzy na nią z pomostu. Ona wdrapuje się z powrotem.

– Co ty robisz? – pyta chłopiec. – Musisz uciekać. Rozkazuję ci, jak kapitan kapitanowi, masz wysiąść z tego pociągu. Jako wyższy rangą...

Millie chwyta go za ramiona i całuje w sztuczne wąsy. Jemu policzki płoną ze wstydu, są ogniste jak jej włosy, jak tutejsza ziemia.

– Powiedz Agacie, gdzie jesteśmy – mówi Millie i schodzi po drabince.

Stoją z Karlem na torach. Millie salutuje.

– Dziękuję za wszystko, Kapitanie Wszystko!

– Powodzenia! – odkrzykuje Jeremy, uśmiechając się blado.

Millie czeka do chwili, gdy pociąg znowu rusza i zaczyna się oddalać.

– Nigdy cię nie zapomnę, Kapitanie Mogiła! – woła Jeremy.

Millie patrzy, aż pociąg zniknie i wreszcie zapada cisza mącona tylko skwierczeniem jej skóry w słońcu.

Karl tuli ją do piersi.

– Popatrz na to – mówi, zataczając ręką dokoła. – To jest Australia, wiesz? Prawdziwa Australia.

Millie rusza w kierunku wskazanym przez Jeremy’ego.

– Chodź, Karl.

– Spójrz na to niebo, na tę ziemię. – Karl kopie czubkiem buta piach, wzbijając obłok kurzu. – Popatrz na te krzaki. W każdym kwadratowym calu tej ziemi mogą być zakopane trupy, a my byśmy nic o tym nie wiedzieli. Brytyjczycy detonowali tutaj bomby ćwiczebne i nikt nie miał o tym pojęcia. Bomby, Millie. W domu to się nawet po tyłku nie mogę podrapać, żeby sąsiad o tym nie wiedział i nie zaczął się zastanawiać, co za franca mi się przyplątała. Ale tutaj nikt nie wie, co robię. – Trzyma Manny’ego nad głową. – Słyszysz? Wszechświat. – Przystaje, bierze głęboki wdech i krzyczy ile sił w płucach: – NIKT NIE WIE, CO TUTAJ ROBIĘ!

Millie nie słucha. Słyszy tylko odgłos własnych maszerujących stóp. Każdy krok to: mama, tata, mama, tata, mama, tata, mama, tata.

Karl zostaje kilka metrów w tyle, wpatrzony w niebo, kręci się dokoła, jak to czasem robi Millie, kiedy chce wywołać zawrót głowy. Jest teraz poirytowana zachowaniem Karla. Nie mają czasu na takie zgrywy.

– Musimy się śpieszyć! – woła przez ramię.

część czwarta

agatha pantha

10.37: Jasnowłosa kobieta w uniformie pomaga Agacie wysiąść z wagonu na stacji w Kirk.

– Nie ruszaj się stąd – mówi. – Za kilka godzin będzie pociąg do Perth. Wiedzą, że mają cię zabrać. – Uśmiecha się zachęcająco. – Nie zapomnij wysiąść w Kalgoorlie. Stamtąd masz autobus na południe. Będiesz w domu szybciej, niż myślisz. Uważaj na siebie, dobrze?

Agatha kiwa głową i odprowadza ją wzrokiem.

– W domu – powtarza, przyciskając torebkę do piersi. – Tak. – Poprawia okulary.

10.39: Podchodzi mężczyzna.

– Przepraszam, którą ma pani godzinę? – pyta.

Agatha zasłania dłonią zegarek.

– Czy ja mam jakąś godzinę? Czy ja mam czas? Na własność? Nie mam. Ale chętnie porozmawiałabym z kimś, kto ma czas na własność. Nie wiem, która jest godzina. Teraz funkcjonuję według standardowego czasu Agathy!

– Rany, paniusiu, przepraszam, że pytałem.

– Tak! Powinieneś przeproszać!

10.41: Pociąg wciąż stoi, ludzie kręcą się dokoła, czekając na sygnał do odjazdu. Obok Agathy przechodzi kobieta. Jedna z tych, co zadzierają nosa, z kokiem na czubku głowy, jakby to było zwieńczenie tortu.

– Nie jesteś deserem, paniusiu – mówi Agatha, nachylając się do przodu.

Mija ją mężczyzna w różowym sweterze.

– Za bardzo różowy! – komentuje Agatha nieco głośniejszym głosem. Trzyma się oburącz skrajów ławki. – Chmury nie powinny tak robić! – wrzeszczy, zrywając się na nogi. – Bezsensowny nos! Fryzura seryjnego mordercy! Za duże okulary! Za dużo dzieci! Oczy za blisko siebie!

Jej uwagę przyciąga nadbiegający chłopiec z czarnym wąsikiem namalowanym pod nosem.

– Upadło to pani – mówi, podając jej Starość.

Ona bierze zeszyt, a on ucieka, łopocząc chustą na wietrze. Agatha patrzy, jak chłopiec kopie i boksuje powietrze, po czym znika w pociągu.

– Nieprawdziwe wąsy – stwierdza. Otwiera zeszyt i przebiega oczami po zanotowanych starannie pomiarach Elastyczności Policzków, Obwisu Ramion, Odległości Od Sutków Do Talii. Ile Razy o Mało Nie Pocałowałam Karla. – Że co? – pyta.

Ciągną się zapiski sporządzone obcym charakterem pisma. Wykres Chrapania. Chwile z Uśmiechem. Ile Razy Karl Chciał Mnie Pocałować. Moje Ulubione Myny. Autobusy, Których o Mało Nie Ukradłam. Przewraca stronę. Podchmieleni Faceci, Których Pobiłam. Agatha wybucha śmiechem i zaczyna przerzucać kartki. Ile Przekleństw Wykrzyczałam. Widziane Nieżyłki. Odległości Pokonane Autobusem/Pociągiem/Pieszko. Ludzie, Których Kochałam.

Przy ostatnim zapisku widnieje duży znak zapytania.

Do następnej kartki przyklejono mapę. Jeszcze ktoś inny napisał: „Cześć, jesteś tutaj”, a obok postawił duży czerwony krzyżyk i narysował samochód. „Oni są tutaj”. Kolejny czerwony krzyżyk i kolejny rysunek, tym razem budynku ze słowami „Great Australian Pub” nabazgranymi nad dachem. Od jednego krzyżyka do drugiego ciągnie się czarna strzałka. A potem: „Z wyrazami szacunku, Kapitan Wszystko”.

Zeszyt drży w dłoniach Agathy.

10.54: Stoi przed lustrem w dworcowej toalecie.

– Im nie przybędzie już lat – mówi. Szczypie się w policzki. – Tak jak przybędzie nam, którzy przeżyliśmy.

– Za dużo plam na przedramionach! – wrzeszczy nagle. Rozpina garsonkę i ciska ją na podłogę. – Męskie ręce! – krzyczy, przysuwając dłonie do lustra. Rzuca butami o ścianę. – Grube stopy! – Rozpina bluzkę i upuszcza ją na podłogę. – Cyce wiszą! – Rozsuwa zamek w spódnicy i zsuwa ją z talii, kręcąc biodrami. – Pepek za wysoko! – Stoi w staniku, majtkach, rajstopach, w okularach mocno osadzonych na nosie, patrząc na siebie w lustrze, dysząc z wysiłku, którego wymaga patrzenie w ten sposób. – Nozdrza się wydymają w trakcie mówienia! – Składa dłonie przed sobą, jakby kapitulując, jakby próbując nadać tej sytuacji odrobinę wyrafinowania i godności, których nie ma za grosz. – Za stara! – stwierdza. Zdejmuje okulary i kładzie je na umywalce.

Przykłada dłoń do twarzy, przyciska ją do policzka i napiera.

– Za stara – powtarza, patrząc sobie w oczy.

Świta jej myśl, że twarz Rona już nigdy się nie zestarzeje. Ona nigdy nie zobaczy, jak on wygląda jako naprawdę stary mężczyzna. To chyba nie w porządku, że ona musi się ukazywać światu jako stara osoba, a on nie. Jakby wykręcił się sianem.

Agatha nienawidzi siebie, swojego ciała, płacze teraz, łzy spływają po twarzy tak żałośnie, jest starą starą smutną smutną kobietą, która siebie nienawidzi, nienawidzi całym sercem, to czuje przede wszystkim.

Nagle słyszy szum spuszczonej wody i z kabiny wyłania się nieznajoma kobieta.

Podchodzi prosto do lustra i myje ręce w umywalce. Jest szczupła i umięśniona, ma długi nos, który przyciąga uwagę. Agatha powstrzymuje się przed wrzaskiem, po prostu stoi w bieliźnie, nie wiedząc, co robić. Zapada niezręczna cisza, gdy kobieta myje ręce.

A potem:

– Dokąd to? – pyta.

– Hm. Na południowo-zachodnie wybrzeże – odpowiada Agatha, czując brzemień własnego ciała.

– My do Perth – mówi kobieta, uśmiechając się do Agathy. Rozciąga sobie skórę przy oczach. – Żeby się trochę wyrwać. – Pokazuje sobie język w lustrze. – Wie pani, jak to jest. – Wygląda spódnicy, puszcza oko do Agathy i wychodzi.

11.12: Ubrana z powrotem Agatha stoi kilka metrów od lady w dworcowej kawiarni, zerkając tęsknie na smażone jedzenie, czując burczenie w żołądku.

Mężczyzna za ladą patrzy na nią.

– W porządku? – pyta.

– Tak! – odpowiada Agatha, nie ruszając się z miejsca.

– Coś podać?

– Tak!

On wzdycha.

– A co konkretnie?

– Jedną z tych! – Agatha wskazuje sajgonki. – I jeden z tych! – Przesuwa palec w kierunku pasztecików.

Mężczyzna wkłada jedno i drugie do papierowej torebki. Kładzie ją na ladzie. Kiwa głową.

– Sześć dwadzieścia pięć poproszę.

Agatha jest bardzo, bardzo głodna. Przychodzi jej do głowy, by chwycić jedzenie i uciec. Ludzie tak robią, prawda? Nigdy nie pragnęła niczego aż tak bardzo. Ale wtedy słyszy własny

głos:

– Nie mogę.

– Czego pani nie może?

Wzdycha.

– Ja nie...

Mężczyzna chwytą papierową torebkę.

– Paniusiu, nie jesteśmy instytucją charytatywną.

– Ja to wezmę – rozlega się głos z tyłu.

Agatha odwraca się i widzi kobietę z toalety wymachującą banknotem dwudziestodolarowym. Kobieta uśmiecha się do niej i podchodzi do lady.

– Ja wezmę – powtarza.

– Wie pani, próbuję utrzymać interes.

– Przydałoby się więcej serca.

– Poproszę pieniądze!

Mężczyzna wyrywa kobiecie banknot z ręki i rzuca resztę na ladę. Podnosi torebkę i macha nią Agacie przed nosem.

– Mamymy dzisiaj fart, co?

Kobieta chwytą torebkę i się odwraca. Kiwa ręką na Agathę, aby za nią poszła.

– Mam na imię Karen – mówi i kładzie zakupy na stole, przy którym siedzi jakiś mężczyzna. – A to Simon – dodaje, z czułością głaszcząc go po ramieniu.

Simon jest wyraźnie młodszy od Karen. Ma mocne, mroczne rysy.

„Syn?” – myśli Agatha.

Simon klepie figlarnie Karen po pupie.

„A więc nie syn”.

– Cześć – mówi, machając ręką z uśmiechem.

Między zębami ma kawałki babeczek. Karen przysuwa krzesła i lekko klepie dłonią w blat stołu.

Agatha siada, obserwując papierową torebkę, jakby czekała na dalszy rozwój wypadków.

– Masz jakieś imię? – pyta Karen.

– Tak.

Uśmiecha się.

– Aha, osoba nieśmiała z natury. Proszę, jedz.

– Czego ode mnie chcesz?

– Ha! Czego ja chcę od kobiety, która nie może zapłacić za pasztecik? Która wrzeszczy do siebie rozebrana do bielizny? Pani je, proszę pani.

– Ktoś coś mówi o bieliznie? – pyta Simon, pstrykając gumką w spodniach Karen.

Ona dźga go ramieniem.

– Jezu, Sime – strofuje go, gładząc po policzku. – Masz mnóstwo gówna między zębami.

– Oboje tłumia śmiech. – Poszedłbyś się doprowadzić do porządku, co?

Simon wstaje.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Uśmiecha się, kłania i rusza do toalety.

Agatha wyjmuję pasztecik i kładzie go na torebce. Chwytą sztucę ze stalowego stojaka pośrodku stołu, kroi pasztecik na małe kwadraty i zaczyna jeść. Czuje na sobie spojrzenie Karen.

– Chcesz porozmawiać o tym, co się stało w toalecie?

– Nie – odpowiada Agatha.

– A mogę ci zdradzić tajemnicę? – pyta Karen, nachylając się bliżej.

– Nie – odpowiada znowu Agatha z pełnymi ustami.

Karen parska śmiechem. Nachyla się jeszcze bardziej. Zerka przez ramię, potem patrzy na Agathę.

– Zrobiłam coś strasznego – szepcze. – Wiesz, próbuję uporządkować tę swoją gównianą karmę. Nie wiem nawet, czy w to wierzę, ale co tam. Po prostu strzeżonego Pan Bóg strzeże. Smaczne?

Agatha kiwa głową.

– Dziękuję – mówi. – Zabiłaś kogoś?

– Nie, skąd. – Karen wierci się na krześle.

– Narkotyki?

– Nie.

– Broń?

– Nie.

– Pracujesz w seksbiznesie?

– Nie.

– Więc jak jesteś zła?

– Bardzo.

– W skali od jednego do dziesięciu?

– Osiem...

Agatha przełyka i patrzy na Karen.

– ...i pół. – Karen wyłamuje palce. – Właściwie to dziesięć. Zdecydowanie dziesięć.

Jestem... Jestem... – Opiera się łokciami o stół i splata dłonie. Patrzy Agacie prosto w oczy.

– Straszna osobą.

Agatha bierze sajgonkę i gryzie kącikiem ust. Chrupie, patrząc na Karen. Przełyka, ociera usta serwetką.

– Ja... Hm... – odchrząkuje i dodaje wyraźnie i głośno: – ...też jestem okropnym człowiekiem.

Z ust Karen wydobywa się łkanie, jakby słowa Agathy siłą wyciągnęły z jej gardła ten odgłos. Wysuwa ramię nad stołem i chwyta Agathę za dłoń.

– A myślisz, że ktoś nie jest? – pyta, zaciskając palce.

Agatha patrzy na dłoń przykrywającą jej rękę. Widzi osadzającą się w niej Starość, pierwszy nalot, jak folia spożywcza, i wcale się nie cieszy, że inna kobieta doświadczy spustoszeń, ale smutna też nie jest, podobnie jak w odniesieniu do własnego ciała, jakby była powiązana z tą kobietą, jakby się zamieniły miejscami.

– No więc? – pyta Karen. – Myślisz, że ktokolwiek jest dobrym człowiekiem?

Ron. Agatha myśli o Ronie. A potem w jej głowie pojawia się i osiada twarz Millie, tak bardzo wyrazista i nieruchoma. A Karl? Czy Karl jest dobrym człowiekiem?

– Mam na imię Agatha – mówi, bo nie wie, jak odpowiedzieć na to pytanie.

Wraca Simon.

– Nasikałem na kostkę toaletową w pisuarze – chwali się. – Niesamowite. – Szczerzy się do Karen. – Wszystko zjedzone?

Ona bierze go za rękę.

– Już jest dobrze, skarbie.

Agatha patrzy na ich pieśczone dłonie, jakby to była jedyna rzecz w kafejce. Nie potrafi sobie wyobrazić, że dwoje ludzi może połączyć taka zażyłość.

– Posłuchaj, Sime – odzywa się Karen, spoglądając na zegarek. – Poszedłbyś zatankować? Chyba pora ruszać dalej.

– Tak jest, mamusiu – odpowiada mężczyzna, mrugając okiem.

Oddała się. Karen odwraca się do Agathy.

– Wczoraj rzuciłam męża – oznajmia. – Simon zostawił żonę.

Agatha patrzy na nią.

– Mam dzieci. Nie są już małe. Ale dorosłe też nie. Nikomu nie mówiliśmy. Po prostu wyjechaliśmy. – Karen wyciąga ręce nad głową i opuszcza je z powrotem. – Boże, tak mi dobrze, że się zwierzyłam. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

– Mam.

Parska śmiechem.

– Może i słusznie. W każdym razie chcę być z Simonem. Kocham swoje dzieci. Ale kocham też życie. Chcę... To znaczy, chcę żyć. Pewnego dnia moje dzieci to zrozumieją.

– Chyba nie – odpowiada Agatha.

Karen kiwa głową.

– Mam wielką nadzieję, że się mylisz.

Agatha myśli o mamie Millie. O tym, że zostawiła córkę. Czuje, jak jej ciało wypełnia gniew. Podchodzi do gardła, zabarwia skórę. Chciałaby spotkać mamę Millie i powiedzieć: „Za kogo ty się uważasz? Przecież ona jest małym dzieckiem”. To samo chciałaby teraz powiedzieć Karen. Ale zamiast tego mówi:

– W skali od jednego do dziesięciu to jednak dziesięć.

Karen osuwa się na krzesło. Siedzą w milczeniu przez dłuższą chwilę. Kasa brzęczy, lodówki są otwierane i zamykane, ludzie dokoła prowadzą ciche rozmowy.

– Możemy cię gdzieś podwieźć – odzywa się wreszcie Karen. – Jedziemy przecież w tę samą stronę. Będzie nam miło w twoim towarzystwie.

– Nie – odpowiada Agatha krótko. – Jadę pociągiem. Dziękuję.

* * *

Agatha siedzi przy stoliku na stacji benzynowej i patrzy w Starość. Ludzie, Których Kochałam. Znak zapytania. Jej myśli wypełnia nagle to spojrzenie mamy Millie zza okna sprzed wielu miesięcy. „Jak się zestarzeć, żeby wszystko nie przemieniło się w smutek?”. Przypomina sobie chwile po śmierci Rona, jak wracała ulicą, na podjazd i do domu, i tę presję, którą czuła, jakby jej ciało się zapadało. Myśli o wolnym pokoju w swoim domu. A gdyby, zobaczywszy śmierć męża, weszła do tego pokoju, a tam siedziałoby dziecko, ich dziecko, i ona musiałaby przysiąc na łóżku, jej łóżku? Czy to byłaby dziewczynka? Czasem pozwalała sobie na takie fantazjowanie. I musiałaby wtedy powiedzieć – co? Co by powiedziała? „Tata umarł”. Jak powiedzieć dziecku, swojemu dziecku, że takie właśnie jest życie? Że żyjemy po to, aby umrzeć? Że dopóki żyjesz, ludzie, których znasz i kochasz, będą umierać? Że najlepsze, co można w tej sytuacji zrobić, to nie przejmować się niczym losem?

– Agatha! – woła Karen z kolejki ludzi chcących zapłacić za benzynę. Ma zakłopotaną minę. – Przepraszam, kochana, umiesz prowadzić? Mogłabyś go przestawić od dystrybutorów? Bóg wie, gdzie się podział Simon. Kluczyki są chyba w stacyjce. Przepraszam za kłopot.

Agatha wstaje i patrzy na zewnątrz. Sześć albo siedem samochodów w rzędzie, czekających na swoją kolej. Kierowca jednego co chwila naciska klakson. Mężczyzna za ladą ma problemy z systemem komputerowym. Agatha patrzy na Karen. Gdy przymruży oczy, ona wygląda trochę jak mama Millie.

„Jak powiedzieć dziecku, że takie właśnie jest życie?”.

– Trzeba znaleźć jakiś sposób – odpowiada sobie Agatha, zarzucając torebkę na ramię.

– Słucham? – pyta Karen.

– Mówiłam, że tak, że umiem prowadzić – wyjaśnia Agatha, kierując się do

automatycznych drzwi.

– Dziękuję, kochana. – Karen się uśmiecha. – Sime pewnie znowu znalazł coś interesującego do obsikania.

– Zapewne. – Agatha zatrzymuje się przed drzwiami. Odwraca się do Karen.

– Posłuchaj... – Drzwi się otwierają i natychmiast czuje gorąco na plecach. – Naprawdę bardzo przepraszam.

Karen macha lekceważąco ręką.

– Nie ma problemu. Ten pasztecik kosztował grosze.

– Nie za to – mruczy Agatha pod nosem, idąc do samochodu.

Otwiera drzwi i wsuwa się za kierownicę. Kluczyki rzeczywiście tkwią w stacyjce.

Chwyta je w dłoń. Brzęczą. Włącza zapłon. Nagle widzi swoją twarz na plakacie, jak twarz Karla. „Poszukiwana”. Naciska pedał gazu.

Rzecz w tym, że się nie zatrzymuje. Myśli o tym narysowanym odręcznie samochodzie kierującym się za czarną strzałką w stronę pubu. I się nie zatrzymuje.

– No tak – mówi do siebie. – W skali od jednego do dziesięciu zdecydowanie dziesięć.

12.17: Jedzie autostradą. Ona, Agatha Pantha, jedzie samochodem po autostradzie pośrodku pustyni. Nie przekracza prędkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale jedzie.

– Prowadzę – mówi przez okno. – Prowadzę! – wrzeszczy do robotnika drogowego palącego papierosa na poboczu.

– Nie świruj, paniusiu! – odkrzykuje mężczyzna.

– Prowadzę! – wrzeszczy do kobiety, której samochód się zepsuł.

– Pierdol się!

– Prowadzę! – wrzeszczy Agatha do nieba, ptaków, ale tym razem nikt nie odpowiada, jest tylko wiatr smagający twarz i jego odgłos, odgłos wiejącego wiatru.

– Dobra robota, ptaki! Ta szosa jest wyjątkowo równa!

Trzyma oburącz kierownicę i uśmiecha się do wszystkiego.

– Popisowa skrzynka na listy!

– Idealne oznakowanie!

– Fajne łąty, krówki!

– Ładne drzewa!

– Ta chmura się do mnie uśmiecha!

– Ładny masz kolorek, niebo!

Agatha chce poprawić okulary, ale nie ma ich na nosie. Dostrzega je, okiem wyobraźni, na brzegu umywalki w łazience na stacji benzynowej. Próbuje nie mrugać powiekami, otwiera tylko szerzej oczy, czując wiatr na gałkach.

Przy drodze widzi znak.

– Och! – Zatrzymuje się z piskiem opon.

„Great Australian Pub”. Obok napisu widnieje strzałka wskazująca długą gruntową drogę bez końca. Agatha zerka na mapę. Znajduje włącznik kierunkowskazów. Pstryk.

– Ładny dźwięk, kierunkowskazie.

Skręca w lewo.

karl maszynopiszący

– Cóż, umrzemy, Millie.
Prawie cały dzień wędrują przez pustynię na południe. Słońce w górze wciąż silnie świeci, zapasy wody są na wyczerpaniu.
– Próbowałam ci to powiedzieć.
– Chodzi mi o to, że to się stanie dość szybko. Tego chciałaś, Agatho Pantha? – pyta Karl, spoglądając w niebo. – Morderczyni. – Jego głos nie odbija się echem, tylko zanika w płaskim otoczeniu. – Tak bardzo... chce mi się pić. – Trzyma Manny'ego przed sobą i patrzy mu prosto w oczy. – Prawda, Manny? Ty rozumiesz. Nie cierpię tej okolicy! Australia. Co to w ogóle za nazwa? Tak tu sucho. Wszędzie tak samo. I nie ma końca. – Kopie w ziemię. – Nie cierpię tego kurzu. Kurz. Kto lubiłby kurz? Nikt. Nikt a nikt. Nie cierpię tego nieba. Tych krzaków. Jak człowiek miałby tu żyć? – Klęka, wspierając się na Mannym. – TU NIC NIE MA! – wrzeszczy i wciska twarz w pierś Manny'ego.
– Pośpiesz się – mówi Millie.
Karl wstaje i rusza dalej.
– Nie damy rady dotrzeć do jutra do Melbourne – stwierdza.
– Damy.
– Nie ma mowy.
– Damy radę.
– To niemożliwe.
– Nie wiesz wszystkiego – odpowiada Millie, zatrzymując się raptownie. – Czy to pub tam daleko? – pyta, wyciągając rękę.
Karl patrzy zmrużonymi oczami we wskazanym kierunku.
– Nie żartuj sobie ze mnie, Millie. Strasznie chce mi się pić. Chyba jestem odwodniony. Wiesz, co to znaczy? To pierwsze stadium śmierci.
– Tam jest pub – powtarza Millie, trzymając mapę przed sobą. – Ten, o którym mówił Kapitan Wszystko.
– Ja nic nie widzę. – Karl kładzie Millie rękę na czole, żeby sprawdzić temperaturę.
– O Boże, skwar już ci się daje we znaki. Jest dobrze, Millie, wszystko będzie dobrze. – Chce ją wziąć na ręce i nieść, ale ona stawia opór.
– Nic mi nie jest – odpowiada, odpychając go.
– Oszczędzaj siły!
Millie rusza w dalszą drogę.
– Mówię, że nic mi nie jest.
– Czekaj! – W oddali słychać dudnienie. – Co to?
W odległości niecałego kilometra po szutrowej drodze pędzi biały pikap, ciągnąc za sobą ogon kurzu, jakby narciarz wodny sunął po czerwonym jeziorze.
– To auto! Millie, to auto! Ludzie!
Pikap wyhamowuje i staje. Kurz osiada na okolicy, powracając na swoje miejsce, jakby to był wydech i wdech. Dopiero wtedy Karl uświadamia sobie, że patrzy na budynek.
– Czy to? – Zamyka i otwiera oczy. Ciągłe tam jest. – Millie, to pub! – woła w stronę dziewczynki. Podnosi Manny'ego i całuje go w usta. – Jesteśmy uratowani!

* * *

Widok budynku jeszcze nigdy nie wzbudził w Karlu uczucia tak wielkiego szczęścia.

Brązowy, z drewna, ostentacyjnie kiczowaty, jak zabawka, jakby jakieś dziecko olbrzym zebrało różne kawałki i sklepiło je do kupy. Zaokrąglone litery na szyldzie przymocowanym do dachu głoszą: „Great Australian Pub”.

– To tutaj – mówi Millie. Pisze palcem na ziemi TUTAJ MAMO, po czym znika w środku.

Karl słyszał o mężczyznach, którzy regularnie odwiedzają takie przybytki. Obcesowi i skorzy do bójki; grube łapska i oczy rutynowo zmrużone przed słońcem. Zdania złożone z kilku zaledwie rzeczowników i czasowników, przekleństwa zamiast znaków przestankowych.

Spodziewa się sceny jak z saloonu. Wejdzie do środka, a wtedy wszystkie głowy odwrócą się w jego stronę, muzyka ucichnie, rozbije się szklanka, nie wiedzieć czemu (kto zagra go w filmie? Właśnie sobie przypomniał, że Paul Newman już nie żyje. Czy którykolwiek ze znanych mu aktorów chodzi jeszcze po ziemi?), ale on, w przypiływie pewności siebie, wejdzie po męsku, wiadomo, ramiona wyprostowane, klatka piersiowa wypięta do przodu, prężny krok; faceci tego pokroju na milę wyczują oszusta podszytego tchórzem, ale on jest Mężczyzną, patrzył Śmierci w oczy i ją pokonał! Oszukał śmierć! Jest Mężczyzną! Uwaga wszyscy! Wchodzi Mężczyzna, patrzcie. Dwoma, trzema krokami pokona dystans do baru, przysunie sobie stółek i posadzi na nim swoje Męskie Dupsko, walnie Męską Pięścią w kontuar i zamówi – jakie „zamówi”? – zażąda podwójnej jakiejś czy czegoś (co piłby Paul Newman?), a wszyscy goście będą patrzeć na niego, on zaś nachylił się do barmana i powie – niskim, głębokim głosem, bo ktoś obdarzony mocą nie musi wrzeszczeć – „Niech będzie potrójna”. Czy rozlegnie się zbiorowe westchnienie? Może. Ale on tego nie usłyszy, bo będzie zaabsorbowany byciem Mężczyzną. A potem pozostali Mężczyźni będą się cieszyć z jego obecności, będą mu ścisnąć dłoń, przybijają piątkę czy co tam robią, i będą razem rozmawiali o Męskich Sprawach, takich jak narzędzia do majsterkowania i rolnictwo, rozkładówki i inne, o których z pewnością dowie się z czasem.

Otwiera drzwi i od razu sobie uświadamia, że nie dojdzie do baru trzema krokami.

– Karl, czemu sadzisz takie susy? – pyta szeptem Millie.

– A co? Głupio to wygląda?

– Tak.

Podchodzi zatem do baru krokami normalnej długości. Jedną ze ścian pokrywają tablice rejestracyjne ze wszystkich zakątków Australii, jakby to był cmentarz umarłych samochodów. Dokoła jest pięć dużych ekranów telewizyjnych, na wszystkich ten sam mecz rugby w lidze australijskiej. Dywany i półmrok. Nisko zawieszony sufit. Powietrze gęste. W niewielkich kałużach słońca wiruje kurz.

Przy barze siedzi dwóch mężczyzn zajętych rozmową; nie zwracają na niego uwagi. Polerujący szklanki barman kiwa głową na powitanie. Karl rewanżuje się tym samym. „On wie – myśli. – Wie, że jestem Mężczyzną”. Przyciąga sobie stółek. Podstawa szura głośno po podłodze. Karl spogląda na barmana.

– Przepraszam – mówi, wykrzywiając twarz tak, jak nigdy tego nie robił. Po kobiecemu, tyle się orientuje. Już siebie nienawidzi. Opiera Manny’ego o kontuar. Barman unosi brwi. Karl szykuje się, żeby usiąść na stołku, ale jest mocno speszony wzrokiem barmana i tą presją, żeby być Mężczyzną, więc chyba kompletnie i leci na podłogę, ląduje na tyłku, Manny bezwładnie wali się na niego, a rumor i hałas odbijają się echem po całym pubie.

Ale nie to jest najgorsze. Najgorszy jest odgłos, który wydobywa się z ust Karla, mimowolnie i niekontrolowanie, jak toksyczne gazy gromadzone przez setki lat i nagle wypłute przez wulkan. To odgłos, który wydają Starcy, gdy są doprowadzeni do skrajnego wyczerpania sił fizycznych:

– Uuuuch.

To najgorsze, co kiedykolwiek wyszło z jego ust, nawet nie wie, czy potrafiłby to powtórzyć, a słyszy to tak wyraźnie, jakby stał tuż obok siebie.

Leży przez chwilę na podłodze, rozmyślając nad przelotną, ale jakże przyjemną chwilą w swoim życiu, kiedy ci dwaj mężczyźni sądzili, że jest jednym z nich. Dotyka nosem nosa Manny'ego, zamyka oczy i wzdycha głęboko.

– Nic ci nie jest, kolego? – dolatuje głos z góry.

– Pomóc ci? – pyta inny.

Chwilę później siedzi przy barze w towarzystwie dwóch mężczyzn (Mężczyzn!), klepią go po plecach, śmieją się i zamawiają kolejkę. I pytają:

– Skądżeś się tu wziął?

A Karl nie może przestać się uśmiechać.

millie bird

Millie siedzi oparta plecami o stołek Karla. Bawi się nogawką szortów Manny'ego, ustawionego tyłem do baru. Mężczyźni rozmawiają o rugby i Karl próbuje się przyłączyć.

– Tak – mówi. – Ten młody nie powinien był zmieniać tamtego młodego.

Millie sięga w głąb plecaka w poszukiwaniu jedzenia, ale natrafia palcami na złożoną kartkę upchniętą między batonami muesli. Na wierzchu widnieją słowa: „Kapitan Mogiła”. Rozkłada kartkę.

„Droga Kapitan Mogiło,

W dniu, kiedy uciekłaś z pociągu, przegapiliśmy połączenie z telefonu twojej mamy. Ktoś zostawił wiadomość. Nie była to jednak twoja mama. Przesłuchałem ją szesnaście razy, żeby zapisać wszystko dokładnie. To jest to, co zamieściłem w chmurce, żebyś wiedziała, że to nie moje słowa.

«Mills, skarbie, mówi ciocia Judy. Gdzie jesteś? Szukamy cię. Twoja mama... hm... z nią nie jest za dobrze. Uciekła. Wysłałam po ciebie wujka Leitha, ale cię nie zastał. Przejechał całą drogę. Gdzie jesteś, skarbie? Zwróć się do pierwszego napotkanego policjanta i nigdzie nie odchodź. Przyjedziemy po ciebie. Dobrze, skarbie? Dobrze?».

Przepraszam, że ci nie powiedziałem. Bałem się, że będziesz smutna. Czasem możesz pożyczyć moją mamę, jeśli chcesz.

Z poważaniem,
Kapitan Wszystko
Superbohater
Indian Pacific”.

* * *

Millie składa list i wsuwa go do plecaka. Trzyma się za brzuch.

Nagle słyszy głos:

– Cześć.

Pochyla się do przodu i wygląda zza nóg Manny'ego. Pod jednym z pozostałych stołków siedzi po turecku dziewczynka. Ma mniej więcej tyle lat co Millie i proste ciemne włosy związane w kucyk. Trzyma pudełko zapalek. Zapala jedną i patrzy na płomyk.

– Cześć – odpowiada Millie, zerkając na ogień.

– Kto to? – pyta dziewczynka, gdy płomyk gaśnie.

– Karl.

– Nie, nie ten. – Spaloną zapalką wskazuje Manny'ego. – Ten.

– Aha. – Millie odchrząkuje. – Manny. Nie żyje.

Dziewczynka unosi brew.

– Przecież jest z plastiku.

– Tak. Martwe ciała zmieniają się w plastik. Potem są wykorzystywane w sklepach do sprzedawania ubrań. – Millie zerka na swoje dłonie. – Tak sobie myślę.

Dziewczynka patrzy na nią przez dłuższą chwilę.

– Dziwna jesteś – mówi w końcu.

– To TY jesteś dziwna.

– Jak umarł wujek, tatuś go spalił. – Dziewczynka zapala drugą zapalkę. – A potem wrzuciliśmy go do oceanu.

– Współczuję ci z powodu twojej straty – mówi cicho Millie.

– Nieżywe ciała śmierdzą, dlatego trzeba je spalić. Wiem o tym.
– Zależy, jak się myśli o takich sprawach – odpowiada Millie niepewnie.
– Nie zależy. – Dziewczynka podpełza bliżej i przygląda się Millie. Zapala trzecią zapałkę i trzyma ją między nimi. Blask i cienie tańczą na jej twarzy. – Spalmy go – mówi z uśmiechem. – I tak nie żyje.

Millie czuje ucisk w żołądku. Patrzy na gasnący płomyk. Potem zerka na Karla, roześmianego, opowiadającego jakąś historię dziwnie niskim głosem. Wreszcie patrzy na Manny'ego.

– Czego się boisz? – pyta dziewczynka, przekrzywając głowę.

– Niczego. Niczego się nie boję.

Ale to nieprawda, bo boi się wszystkiego i czuje to mocno w żołądku.

wieczorem przed pierwszym dniem czekania

Gdy tata umarł, ludzie w miasteczku zachowywali się tak, jakby ją kochali.

– Tak, Millie – mówili.

– Bidulka.

– Masz lizaka.

Zdawała sobie jednak sprawę, że to wszystko dzieje się dlatego, że umarł jej tata, więc ludzie albo:

1. Cieszyli się, że ich ojcowie żyją i tylko wyobrażali sobie odwrotną sytuację, choć wyobrazić jej sobie nie umieli

albo:

2. Ich ojcowie też umarli.

Panie ze sklepu ze zdrową żywnością dały jej wszystkie puste słoiki, które były na stanie, mężczyźni ze sklepu żelaznego dali jej tyle świeczek do podgrzewania herbaty, ile zapragnęła.

– Kiedy tata się urodził?

Wpatrzona w ścianę mama nie odpowiedziała, Millie więc spytała panią w bibliotece, która była najstarszą żywą osobą w okolicy. Ustaliły datę, szperając w starych albumach szkolnych przechowywanych w archiwach, gdzie znalazły zdjęcie taty, z twarzą szczuplejszą, bardziej promienną i czystsza, ale to na pewno był tata, a gdy się ściemniło, Millie prześlizgnęła się obok mamy, która w samej bieliźnie leżała na kanapie i oglądała telewizję przy zgaszonym świetle. Był gorący, parny wieczór, grali w krykieta, ale mama nie lubiła tej dyscypliny, więc Millie wiedziała, że ona nie ogląda, tata jednak lubił, więc może dlatego oglądała? Słoiki pobrzękiwały w plecaku, lecz mama się nie poruszyła, nie drgnęła przez cały dzień, tylko kiedy Millie przyniosła jej salaterkę winogron z lodówki i postawiła obok, ona pogłaskała ją po głowie, ale teraz, kiedy Millie przechodziła obok w ciemności, winogrona stały nietknięte.

No więc znów się wymknęła, na pustą parcelę, na której rosło drzewo. Wspięła się i zaczęła przywiązywać do gałęzi słoiki z płonącymi w środku podgrzewaczami. Gdy skończyła, z pozostałych lampek ułożyła przed drzewem słowo TATA. Ostatnie ustawiła w długą linię przed tym słowem. To był najdłuższy łącznik, jaki w życiu widziała.

Zapaliła wszystkie świeczki i usiadła na trawie. Potem położyła się na brzuchu i oparła podbródek na splecionych dłoniach. Trawa szeleściła pod jej ciałem, kłując w skórę. Było suche, upalne lato. Świeczki zawieszane na drzewie kołysały się, te ustawione na ziemi migotały. Niebo było usiane gwiazdami i teraz wydawało się, że tak samo usiane gwiazdami jest drzewo i ziemia, jakby Millie z całego świata zrobiła rozgwieżdżoną noc. Wstała i przespacerowała się po swoim

niebie, zastanawiając się, czy tata robi to samo tam w górze.

Podmuch wiatru przemknął ulicą, tak samo jak przed miesiącami, gdy trzymała w dłoniach pająka. Usłyszała, jak słoiki z brzękiem uderzają o drzewo, patrzyła, jak kilka podgrzewaczy ustawionych na ziemi się wywraca, i aż odskoczyła do tyłu, bo trawa się zapaliła. Zaczęło się od małych płomieni, a potem były duże, wreszcie wielkie i cała parcela stanęła w ogniu. Millie patrzyła jak zahipnotyzowana. Patrzyła na to wszystko, patrzyła, jak znika nocne niebo. Cofnęła się do przejścia. Żar parzył ją w skórę, strzelały iskry, słoiki pękały z hukiem. Uciekła, po prostu uciekła. W głębi ulicy znalazła inne drzewo i wspięła się na sam wierzchołek. Mieszkańcy się pobudzili, powybiegali na dwór, potem pojawiły się wiadra z wodą, szlauchy i wozy strażackie, a Millie patrzyła na to wszystko ze swego sekretnego punktu obserwacyjnego w koronie drzewa i nikt nie wiedział, że ona tam jest. Kiedy zrobiło się jasno, poszła do domu, bo człowiek zawsze wraca do domu, prawda? W domu czekali policjanci z jej plecakiem, a mama spojrzała na nią, jakby była narysowana, i Millie poczuła ból, nie wiedziała, jak powinna przeproszać, bo było to najgorsze, co dotąd w życiu zrobiła.

* * *

– No i? – pyta czarnowłosa dziewczynka.

Wszystko dzieje się błyskawicznie: zapala zapałkę, bucha oślepiający płomyk, ona przykłada go do koszuli Manny’ego, Millie próbuje ją powstrzymać, ale jest za późno, bo koszula już płonie.

Millie zrywa się na nogi i cofa o krok, płomienie suną po koszuli, bu-bum, bu-bum, bu-bum, są coraz wyżej, i teraz Manny to drzewo, ale jednak Millie doskakuje do niego, nie wie, jak zgasić ogień, macha rękami, dmucha, czuje gorąco na skórze i czy mówi: – Tato?

Nie pamięta. Ale to jej tata, JEJ TATA, i patrząc na ogień, kuli się w kłębek, PRZEPRASZAMMAMOPRZEPRASZAMMAMO, i kaszle, kaszle, kaszle.

karl maszynopiszący

Millie siedzi na podłodze, kaszle. Podnosi wzrok na Karla, a jemu serce pęka na drobne kawałki. Czy jest coś gorszego od widoku strachu w oczach dziecka? Manny się pali, PALI SIĘ, ale barman oblewa go wodą i jest po wszystkim. Karl dostrzega jeszcze jedną dziewczynkę – skąd ona się wzięła, u licha? Skąd nagle tyle dziewczynek? Mała trzyma zapalki w ręku, ale Karl jeszcze tego nie kojarzy, przykłęka tylko obok Millie, która kaszle i płacze, i dotyka jej policzka, a potem patrzy na tę drugą.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy.

Zdaje sobie sprawę, że nie powinien wrzeszczeć na małe dziewczynki, zwłaszcza na nieznajome, ale to się dzieje samo, a ona zaczyna płakać, lecz to go nie obchodzi, tylko że wtedy jeden z dwóch mężczyzn mówi:

– Ej, przyhamuj, kolego, to moja córka.

Karl wie, że w tym przypadku słowo „kolega” zostało użyte ironicznie, i chciałby zrewanżować się tym samym. Ale czy kiedykolwiek używał tego słowa w taki sposób? Czy w ogóle go używał? Wstaje więc i podchodzi do mężczyzny, jest od niego wyższy, to się chyba liczy, nie?

– No cóż, kolego – odpowiada, akcentując wymownie ostatnie słowo, i czuje się niesamowicie, będzie tak robił, jeśli wyjdzie cało z tego spotkania – gdyby twoja córka nie była taką bandytką, nie musiałbym na nią krzyczeć.

No i Scotty, Jonesy, Crusher, czy jak się nazywa ten mężczyzna, z którym Karl jeszcze przed chwilą śmiał się i pił, chwytą go za gardło, a on krztusi się i próbuje oderwać atakujące go ręce, i uderza rozedrganym kolaniem tamtego w brzuch. Mężczyzna zgina się w pół, stółek upada z hukiem na podłogę, a Karl przykłada sobie dłoń do szyi – dotąd nie wiedział, co czuje człowiek, gdy go duszą, i jest wdzięczny za nowe doświadczenie.

– Przepraszam, kolego, przepraszam – bełkocze.

Scotty/Jonesy/Crusher podnosi wzrok i coś odwarkuje. Odwarkuje? Tak, zdecydowanie, bo zaraz potem rzuca się na Karla, a ten jakimś cudem wyczuwa, w którą stronę należy zrobić unik, i teraz drepczą nieporadnie po całym pubie, Scotty/Jonesy/Crusher goni, Karl ucieka, unika ataków, przeskakuje susami przez krzesła i małe dzieci, osłania się stolikami jak tarczą, ale tak naprawdę, jeśli miałby być wobec siebie szczery, to Scotty/Jonesy/Crusher jest grubawy, więc łatwo przed nim umknąć. Ale zaraz potem, w chwili, którą należałoby nazwać chwilą nieuwagi – przecież każdy Wspaniały Mężczyzna miewa takie? – Karl zapomina o uniku, tamten chwytą go za koszulę i przyciąga do siebie i okładają się trochę po twarzach, łokcie gruchoczą, dłonie młóca dziko, jakby obaj próbowali wydostać się z mogiły, w której pogrzebano ich żywcem.

Gdzieś z góry tryska na nich biała piana, zalewając obu, więc odskakują, kaszlą i plują, kaszlą i plują. Karl zatacza się do tyłu i ociera oczy. Podczas szamotaniny otworzyła się z powrotem rana na dłoni. Krew się sączy i Karl czuje lekki zawrót głowy, ale wtedy podnosi wzrok i przez zasłonę z piany, czerwonego pyłu i potu widzi Agathę Panthę. Zziajana, z dziko potarganymi włosami, trzyma gaśnicę przeciwpożarową, tchnąc surową zwierzęcością człowieka walczącego na okrutnej wojnie, prezentując gaśnicę, jakby to była głowa kogoś, kogo znają, ich sojusznika, a oni są następnymi w kolejce.

Agatha wygląda tak niewiarygodnie, że Karl nie może oderwać od niej oczu.

– Coś ty narobił? – pyta ostrym tonem.

Z tego wszystkiego zapomniał o Millie. Jak mógł zapomnieć? Wskazuje palcem drugą

dziewczynkę, wciąż płaczącą, skuloną pod stolikiem w kącie i odpowiada:

– Ją spytaj.

Millie ciągle siedzi na podłodze, oparta o bar, jej drobne ciało, drobne ciało i Karl myśli o Evie, o jej drobnym ciele, „Zawsze tu będę, Evie”, ale wtedy Scotty/Jonesy/Crusher/Thuścioch mówi:

– Chwila, kolego – po czym znów na przygiętych nogach dopada Karla, chwytając go za biodra i popycha na ścianę.

Agatha ponownie wali z gaśnicy. Próbując zachować godność, Karl wstaje, ociera rękawem pianę z twarzy i odpowiada:

– Nie jestem twoim kolegą, kolego.

– Zamknąć się! – wrzeszczy Agatha. – Wszyscy się zamknąć! Ty! – Wskazuje barmana.

– Daj zimnej wody! – Mężczyzna mruga oczami. – No co, głuchy?!

Barman rzuca się do półki z tyłu, szpera i podaje dwie duże butelki wody.

– Bierz – zwraca się Agatha do Karla.

On posłusznie podchodzi do barmana, uśmiechając się niepewnie.

Agatha pochyla się z jęknięciem i bierze Millie na rękę.

– Wszystko boli – mówi Millie między kaszlnięciami.

– Wiem – odpowiada Agatha, ruszając do wyjścia.

Karl człapie przodem, otwiera biodrem drzwi. Agatha mija go, nie zaszczycając spojrzeniem.

On rusza za nią na parking. Przystaje, gdy Agatha podchodzi do samochodu.

– Czyj to?

Ona albo nie słyszy, albo puszcza pytanie mimo uszu. Kładzie Millie na tylnym siedzeniu i odwraca się do Karla.

– Woda – mówi beznamiętnym tonem, wyciągając rękę i pstrykając palcami.

Pośpiesznie odbiera podaną butelkę. Karl patrzy przez szybę, jak Agatha przystawia butelkę do ust Millie.

– Pij – mówi. – Zrobi ci się lepiej.

Karl przypomina sobie strach w oczach dziewczynki i nagle czuje przyływ opiekuńczości.

– Nic ci nie będzie, Prostu Millie – zapewnia.

Agatha zatrząskuje drzwiami samochodu i zaczyna okładać Karla pięściami.

– Ej! – protestuje Karl, zasłaniając się rękami.

– Trzeba jej było pilnować!

– Łatwo gadać.

Ona chwytając z ziemi gałąź i rusza na niego z podniesionym ramieniem.

– Ej! – Karl ucieka za drzewo. – Czeka. Uspokój się. Masz się uspokoić. Jesteś STRASZNA. Słyszysz? Jesteś największą chamicą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Założę się, że twój mąż przez to zmarł. – Jest wstrząśnięty własnymi słowami. – Cholera. Cholera, cholera jasna, nie miałem tego na myśli, chlapnęło...

Agatha zaczyna wrzeszczeć. To nie są słowa, tylko dźwięki, zaczynające się głęboko w trzewiach i sunące ku górze. Karl zatyka sobie uszy dłońmi, bo jest za głośno. Dźwięki nie mają się od czego odbić echem, więc zanikają, wchłonięte przez niebo.

Agatha kroczy w kierunku Karla. Staje przed nim, bardzo blisko. On czuje na szyi jej oddech. Stoją tak, patrząc sobie prosto w oczy. Karl nie ma pojęcia, co ona zamierza, aż drży na samą myśl, co to może być; zawsze była szalona, ale takiej jej dotąd nie widział, nie wie, do czego jest zdolna. Rzuca gałęzią nad jego głowę i chwytając go oburącz za kark, on już chce

krzyczeć, ale ona zatyka mu usta ustami, całując go.

Nie jest to długi pocałunek. Jest krótki, obcesowy, suchy, ale jednak to pocałunek. Agatha odsuwa głowę i splata ręce na piersi, wpatrując się w niego. On gapi się na nią z szeroko otwartymi ustami.

– O! – wrzeszczy Agatha.

Odwraca się na pięcie i maszeruje do samochodu.

* * *

Wiezie ich długą szutrową drogą. Karl patrzy, jak obłoki kurzu rozpościerają się za nimi, jakby samochód był startującą rakieta. Odwraca się w fotelu i zerka na Millie. Dziwczynka śpi, leżąc na boku, objęta w pasie lekko nadpaloną ręką Manny'ego.

Świat jest zbyt trudny dla Millie, a Karl nie ma pojęcia, jak jej o tym powiedzieć. Chciałby ją przypiąć paskiem do swoich pleców i pokazać jej piękne rzeczy. Chciałby kroczyć obok niej, gdy będzie szła po murku, chciałby jej pokazywać, że we wszystkim jest muzyka, jeśli zamknie się oczy i będzie patrzeć na nuty w swojej głowie, i spełnienie, jakie czujemy, gdy odkładamy na półkę przeczytaną książkę, i słowa, chciałby jej pokazać piękne słowa, pokazać jej, ile piękna mieści się na kartce papieru. Chciałby jej pokazać wszystko, co dobre, i uchronić przed złem.

Odwraca się do przedniej szyby.

– Skąd masz samochód?

Agatha nie odpowiada.

Karl bawi się zamkiem w drzwiach, w dół, w górę, w dół, w górę. Myśli o Pocałunku. To najseksowniejsza rzecz, jaka mu się w życiu przydarzyła. Piwo, kurz, walka i kobieta chwytająca go za kark, całująca w usta, na oczach wszystkich. A jak ona trzyma kierownicę, to kwintesencja słowa TRZYMAĆ, jak ktoś, kto wie, jak należy trzymać rzeczy, a jak patrzy na drogę tymi stalowymi oczami, jakby była gotowa na każdą ewentualność, na kangura, węża i Armagedon. No i to, że nie piszczy, gdy potrafi królika, i to, jak pozapinała guziki pod samą szyję, jakby nie chciała tamtędy nikogo wpuścić.

Agatha zerka na niego, a on mruga do niej.

– Co ci jest w oko?

– Nic – odpowiada Karl. Patrzy przez okno, czując pod stopami delikatne wibracje silnika. – Tu nic nie ma, co? – Przyciska twarz do szyby.

Agatha nie odpowiada od razu. Patrzy uparcie na drogę, ściskając dłońmi kierownicę.

A potem mówi:

– Tu jest wszystko.

millie bird

Gdy się budzi, samochód stoi, jest ciemno, drzwi otwierają się i zatrząskują.

Będzie

TRZASK

Musimy

TRZASK

Zgoda?

Karl otwiera tylne drzwi i przykrywa nogi Millie ręcznikiem.

– Jesteśmy w Melbourne?

– Nie, Millie.

Karl tuli ją, a ona czuje, jakby to tata wziął ją w ramiona.

– Przyśnił mi się? – pyta szeptem.

– Kto?

– Wymyśliłam go? – zadaje drugie pytanie, bo jest pewna, że tak właśnie było.

– Nie, Millie – odpowiada Karl i dodaje: – Zaraz wracamy.

Zamyka drzwi i zapada ciemność.

– Czy ja umarłam?

Ale odpowiada jej cisza, bo oni już poszli, wszyscy zawsze odchodzą i jej pytanie wisi w powietrzu, w mroku, jak kościotrup w domu strachów, a ona siada i patrzy, jak oni się oddalają, wreszcie obejmuje Manny'ego i zaciska mocno powieki.

agatha i karl

Standardowy poranny czas Agathy. Wschodzi słońce. Ta chwila – to już nie noc, ale jeszcze nie dzień. Tym razem Agatha tego nie przegapia. Słyszy ocean odbijający się od klifów. Stoją w krzakach, kilkaset metrów od samochodu, zwróceniem twarzami do siebie.

Karl przykłada jej dłoń do policzka. Przyjemne uczucie.

– Ale masz miękki policzek! – krzyczy.

Ona reaguje uśmiechem.

– Twoja dłoń jest taka miła! – odkrzykuje.

– Zaraz przyłożę ci drugą rękę do drugiego policzka!

– Podoba mi się to!

Karl robi krok do przodu i ujmując twarz Agathy w dłoń. Właściwie jej nie widzi, bo wciąż jest dość ciemno, a wzrok ma kiepski, ale czuje jej ciepło i uwielbia dotyk jej skóry pod swoimi palcami.

– Ładnie pachniesz! – wrzeszczy.

– Chyba powinieneś zdjąć koszulę!

Karl cofa się o krok i rozpina guziki.

– Powinnaś zdjąć żakiet! – wrzeszczy, rozbierając się.

Agatha rozpina żakiet i rzuca go na koszulę.

– Chude ramiona! – wrzeszczy do Karla.

– Tak! – Karl patrzy po sobie. A potem z powrotem na nią. – Gładka szyja!

– Podkoszulek!

Ściąga podkoszulek przez głowę i rzuca obok pozostałych rzeczy. Włosy sterczą mu na czubku głowy.

– Bluzka!

– Widać ci zebra! – krzyczy Agatha, rozpinając bluzkę. – Buty!

– Widać pasek od stanika! – wrzeszczy Karl, pochylając się, żeby rozwiązać sznurowadła.

– Buty!

– Całkiem niezła klatka piersiowa! Skarpetki!

– Rajstopy! Chcę ci pomasować stopy!

– Chciałabym oprzeć głowę na twojej piersi. Spodnie!

– Silne łydki! Spódnica!

Stoją w bieliźnie. Zdumieni, patrzą na siebie nawzajem. Ogrzewa ich coraz silniejszy blask. Nabierają wyrazistości.

Karl stoi przed Agathą, ubrany tylko w bokserki. Jest bardzo chudy, klatkę piersiową porastają kapryśne kępy włosów. Skóra zwisa z ramion, dokoła sutków i z łokci w postaci smutnych worków, jakby ktoś ją ciągnął w dół. Agatha podchodzi blisko, aż widzi włosy na jego piersi poruszające się pod jej oddechem.

Wystawia się na jego spojrzenie. Składa się z guzków, fałd, bulw, jest tyle ciała, że on chciałby wcisnąć w nią twarz. Ma na sobie stanik nie na żarty, taki, który mógłby służyć za linę holowniczą dla ciężarówki, gdyby zaszła potrzeba. Brzuch sterczy nad halką, spod ramiączek stanika wymyka się tłuszcz.

Z pewną trudnością siada na ziemi, wyciągając przed siebie nogi. Karl robi to samo, też niezbyt zgrabnie. Nachylają się do siebie, twarz przy twarzy. Widzą kolejne zmarszczki. Agatha dostrzega więcej włosów w jego uszach niż dotąd. Karl dostrzega włosy wyrastający

z podbródka. Zamykają oczy i łączą się w pocałunku.

A potem to robią. TO. Bo nawet starzy ludzie mówią o tym – TO.

Nie jest to żadna poezja, nic, co ktoś chciałby oglądać z bliska. Właściwie wszystko idzie na opak, rdzawa ziemia dostaje się do nosów, więc muszą przerwać, żeby kichnąć, Agatha nie zdejmuje stanika, bo ostatni dzień był pełen niecodziennych zdarzeń, więc gdzieś przecież trzeba postawić granicę, muszą się zorientować, które części ciała wciąż nadają się do użytku, a które nie, przez długą chwilę badają siebie nawzajem.

– Czy tak jest dobrze? – pyta Karl.

– Czy tak jest dobrze? – pyta Agatha.

Za wolno albo za szybko, nigdy w sam raz, niby kiepsko, ale jest ciepło i ekscytująco na swój sposób, Karl wydaje tyle odgłosów Starego Mężczyzny, na ile ma ochotę, Agatha zaś po raz pierwszy od bardzo dawna zachowuje się cicho.

– Ale z nas szczęściarze, że mamy ręce – mówi w pewnej chwili Karl, bo uwielbia to uczucie, gdy chwyta ją za brzuch, a ona kiwa głową, bo uwielbia to uczucie, gdy jest chwyтана za brzuch, i wtedy Karl siada raptownie, bo klawisze z maszyny Evie układają się nagle w jego głowie, więc mówi:

– Nie rozpaczaj.

– Przecież nie rozpaczam – odpowiada Agatha. – Wręcz przeciwnie.

– Nie, nie, chodzi mi o to, że... – niemal wypowiada na głos imię Evie, a to byłby fatalny błąd, więc kładzie się z powrotem. – Nieważne.

I właśnie takie jest dla Agathy – nieważne.

Słońce wschodzi, nabiera ciepła, żółcieje, zdają sobie sprawę, że powinni grać w madżonga, siedzieć w fotelach, zaparzać herbatę albo pisać listy do wnuków, że nie powinni uprawiać seksu na pustyni, ale cóż, w dodatku czują się jak gwiazdy kina, bo przecież tylko gwiazdy kina robią coś takiego o wschodzie słońca nad oceanem, i wtedy Karl myśli: „Sam mógłbym zagrać siebie w filmie, jestem lepszy od Paula Newmana, on nie żyje, a ja żyję, ŻYJĘ”, i to zdumiewające czuć świeże powietrze na skórze, i w tym uprawnieniu, które czują, kryje się piękno, żyją dostatecznie długo i zasłużyli na tę chwilę, wszystko trzepocze i fruwa, kołysze się, trzęsie i zwisa, to przypomina lot, tak jakby, i Agatha nie może się powstrzymać przed podnoszeniem rąk, bo chce czuć na nich powietrze, to takie prawdziwe uczucie, a Karl bez przerwy na nią patrzy, patrzą sobie w oczy przez długą chwilę, ona jeszcze nigdy dotąd nie czuła się tak dobrze w swoim ciele, po raz pierwszy jest dla niej właściwym miejscem, więc milczy, bo nie może wydobyć z siebie słowa.

A później, kiedy już TO zrobili, siedzą oparci plecami o siebie, czując zimną ziemię na skórze, obserwując, jak słońce szykuje się do kolejnego dnia.

– Kochałam go, wiesz? – mówi Agatha. – Rona.

– Wiem – odpowiada Karl, pisząc w kurzu wokół nich. „Karl i Agatha tu byli”.

millie bird

Budzi się. Szczypie się w nos. Nie umarła. Zerka na Manny'ego. Jest cały stopiony. Przesuwa palcami po jego twarzy. Koszula przykleiła mu się do torsu. Millie podnosi rękę i patrzy na ochładzacz. Przesuwa palcem po konturach Australii. Zastanawia się, gdzie teraz jest, wyobraża sobie, że z mapy na ochładzaczu pulsuje mała czerwona lampka i widać podświetlony napis: „Jesteś tutaj”. Wysiada z samochodu i zaczyna chodzić dokoła.

– Karl – mówi, zaglądając pod podwozie.

Wdrapuje się na dach.

– Agatha.

Słońce zaczyna oświetlać okolicę. Millie widzi, że samochód stoi w pobliżu dużego klifu. Idzie tam i staje na krawędzi, czuje wiatr szarpiący ją za ubranie, marszczący je jak lustro wody. Peleryna trzepocze za plecami. Millie wystawia ręce do przodu, jakby się szykowała do lotu. Urwisko jest wysokie. Tyle przestrzeni dokoła. Huk fal uderzających o klif i skały jest ogłuszający.

Ze zdumieniem dostrzega mężczyznę na klifie, mniej więcej w odległości pięćdziesięciu metrów. Stoi odwrócony do niej plecami i wbija kijem piłki golfowe do oceanu. Millie obserwuje go przez kilka minut. Patrzy, jak tamten bierze zamach i uderza, patrzy, jak piłki lecą szybko i daleko, a potem spadają, w przestrzeni, w objęcia oceanu. Zastanawia się, co by czuła, gdyby była jedną z tych piłek; wyobraża sobie, że frunie w powietrzu, we wzdętej pelerynie, a potem spada, tak szybko, gubi brzuch, nurkuje w ocean, woda ją pochłania.

Podchodzi.

– Pan umrze, wie pan.

– O w mordę! – Mężczyzna podskakuje z wrażenia i odwraca się, unosząc kij. – Jasna cholera, dziecko! – Rozgląda się dokoła. – Wylądowałaś awaryjnie z kosmosu czy co?

– Nie. Daleko do Melbourne?

– Gdzie twoi rodzice?

– Ile kilometrów? Ale dokładnie.

– O rany, mała, nie wiem. Szmat drogi. Z tysiąc pięćset?

– Zabierze mnie pan tam? Muszę tam dziś zrobić coś bardzo ważnego.

– Nic z tego. Ja w przeciwną stronę.

– Trudno – odpowiada Millie i wzdycha.

Odwraca się i odchodzi, ma już DOŚĆ dorosłych i ich obietnic, tego, że nigdy nic dla niej nie robią, postanawia, że odtąd wszystko będzie robiła sama, na własną rękę, bo może ufać tylko sobie, bo wie, że jak coś sobie powie, to potem to zrobi, słowa innych to zagadka, mogą być prawdą albo kłamstwem, a ona już ma dość, dość, DOŚĆ. Wie, że Karl i Agatha poszli dokądś, zostawili ją, że mama nie chce zostać odnaleziona, ale ma to gdzieś, jest przecież Kapitanem Mogiła, sama będzie o sobie decydować.

Wszystko w porządku, mała?

Gdzie twoi rodzice?

Nie żyją

Pan nic nie wie

Pan jest tylko dorosłym.

Otwiera drzwi i wchodzi na Manny'ego, całuje go delikatnie w czoło, jak kiedyś całował ją tata, a potem wyciąga go z samochodu na klif. Jego ciało rysuje linie w ziemi, a rdzawy kurz

iskrzy się w porannym słońcu. Poleci z nim do Melbourne, zrobi to, tu i teraz, bo nikt jej nie pomoże, musi być silna, będzie go trzymała pod pachą i skoczy, wzleci w niebo jak piłeczka golfowa, ale w odróżnieniu od niej nie spadnie, a Karlowi, Agacie i mamie będzie bardzo przykro, bardzo, bardzo przykro, i wszyscy będą mówić PRZERPASZAMMILLIE, PRZEPRASZAMMILLIE, WSZYSCY CIĘ PRZEPRASZMY, MILLIE.

agatha, karl i millie

Karl i Agatha wracają do samochodu jak nastolatki. On nawet daje jej klapsa w tyłek. A ona chichocze. Są oblepieni rdzawym kurzem. Włosy sterczą im pod dziwnym kątem. Kiedy patrzą na siebie, powietrze aż drży między nimi. Agatha czuje się tak, że inne kobiety powinny jej zazdrościć. Niczego więcej nigdy nie pragnęła.

Lecz nagle.

– Millie – odzywa się Karl, podchodząc do samochodu. – Millie!

Agatha przykłada twarz do okna.

– Millie! – chucha w szybę. – Millie! – krzyczy w przeciwną stronę.

Biegają dokoła auta, zagląдают pod spód, zagląдают na dach. Wołają ją po imieniu, jakby to było ostatnie słowo magicznego zaklęcia. Nigdzie jej nie widać, a przecież jest płasko jak na dłoni. Agatha obraca się w miejscu, lustrując metodycznie okolice, pragnąc przywołać postać Millie. Potem zerka w kierunku klifu i aż musi się oprzeć o samochód, bo z nagłością zawału dopada ją straszna myśl.

– Tam! Ona jest tam, innego miejsca nie ma!

Złowieszczość tamtego miejsca sprawia, że kolana się pod nią uginają.

Karl dostrzega zbliżającego się mężczyznę z kijem golfowym na ramieniu, idącego swobodnym krokiem, jakby pozbawionym szacunku.

Podbiega do niego.

– Przepraszam – mówi – widział pan małą dziewczynkę?

Wysuwa rękę w bok, żeby pokazać wzrost.

W oddali Agatha słyszy kilka urywanych słów:

Melbourne

dziwne

ciągnęła coś

klif

Widzi, że Karl chwyta mężczyznę za kołnierz koszuli.

– Dłaczegoś jej nie zatrzymał?! – krzyczy.

Tamten go odpycha.

– Łapy przy sobie, kolego.

Agatha bierze głęboki wdech i rusza na klif.

Idzie tak szybko, jak tylko pozwalają na to jej nogi. Za plecami słyszy wrzaski obu mężczyzn, sama jest już zmęczona wrzaskami, zmęczona hałasem wydobywającym się z ludzkich ust, zwłaszcza z jej własnych, a ocean przed nią wydaje się taki ogromny, bezkresny, bo choć wygląda, jakby miał kres, to przecież wiadomo, że nie ma. Zatrzymuje się kilka metrów od krawędzi, klęka i kładzie się na brzuchu. Zaczyna się czołgać, czując na nogach drapiący żwir. Stęka z wysiłku. Chwyta się oburącz krawędzi i wysuwa głowę nad przepaść.

– Millie! – Jej głos wchłania wiatr.

Woła raz za razem, jakby próbowała wyrwać dziewczynkę z głębokiego snu. Patrzy na ocean w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak, ale nic nie ma, myśli więc, że ją zabiła, że zabiła tę małą dziewczynkę, że to jej wina, jej wina, wciska twarz w rdzawą ziemię i zaczyna szlochać.

Ale.

– Agatha.

Podrywa głowę, patrzy w bok, coś tam jest, ale bez okularów nie widzi zbyt dobrze.

– Millie?

– Agatha – odpowiada ktoś słabym głosem.

To przecież musi być Millie. Agatha pełznie wzdłuż krawędzi. I wreszcie ją dostrzega, ściskającą tego plastikowego faceta, zastygłą na małej półce skalnej sterczącej spod krawędzi jak wydęte ze złości usta.

– Millie.

Nie wie, co powiedzieć. Co się mówi w takiej sytuacji?

Millie patrzy na nią. Płacze. Agatha nigdy nie widziała jej tak roztrzęsionej.

– Odejdź! Nie potrzebuję cię. Dam sobie radę.

– Przepraszam, Millie. – Podpełza bliżej. Półka wygląda bardzo niepewnie, jakby mogła odpaść w każdej chwili.

– Nieprawda, nie przepraszasz.

– Nie ruszaj się. – Agatha zerka przez ramię na Karla, ale on wciąż kłóci się z golfistą.

– Nie możesz mi rozkazywać!

– Nie mogę.

– No to mnie zostaw.

Znów spogląda w kierunku samochodu, pragnąc, żeby Karl przyszedł jej z pomocą. Kręci się jej w głowie na widok urwiska. Czy da radę zejść na półkę?

– Masz rację – mówi. – Pewnego dnia cię zostawię. Tak właśnie wygląda życie, Millie.

– Powietrze jest zimne i rześkie, a huk oceanu rozdzierający. – Ale dopóki obie żyjemy, to czy nie byłoby miło, gdybyśmy pozostały przyjaciółkami?

– Zrobię to, Agatho. Nie powstrzymasz mnie. Nikt mnie nie powstrzyma.

– Nie, Millie.

Agatha już nie myśli, ciało przejmuje kontrolę. Później będzie się zastanawiała, czy tak to jest, gdy ma się dziecko. Że działa się bez myślenia? Że żyje się poza swoim ciałem, w ciele dziecka? Zsuwa się teraz na półkę, szorując nogami i rękami o skałę, ale nie zwraca na to uwagi, nie spuszcza Millie z oka, chcąc ją chwycić, dopaść jej, ale jest daleko, nigdy jej nie dosięgnie, opada na czworaka, chce krzyżeć, ale słowa się nie wykluwają, gardło ściśnięte, więc tylko patrzy bezradnie, jak Millie ściska tego durnego manekina i robi krok do przodu, w stronę oceanu, okropny widok, więc zamyka oczy i przestaje oddychać w nadziei, że można umrzeć, powstrzymując się od oddychania, skoro już nic nie zostało.

Ale po kilku długich sekundach czuje nagle ciepło. Otwiera oczy i widzi Millie stojącą tuż obok, patrzącą na ocean. Agatha biegnie spojrzeniem za jej wzrokiem i widzi manekina, który spada, spada, spada. Do szyi ma przywiązaną pelerynę Millie i przez moment wygląda, jakby frunął. Uderza w wodę ze słabym pluskiem i podskakuje na powierzchni.

Agatha siada i bierze głęboki wdech, tylko wdech, wciągając wszystkie atomy tej chwili, wchłaniając je na zawsze w płuca.

Millie ociera oczy rękawem i siada obok.

– Co znaczy „porzucone”? – pyta.

Na powierzchni oceanu tworzą się szczyty, jakby dzieci w klasie podnosiły ręce, zgłaszając się do odpowiedzi. Agatha zastyga. Każda myśl, każdy oddech, każda chwila są takie ważne w tym pejzażu. Słowa wydają się istotniejsze niż zwykle.

– Opuszczone – odpowiada.

– Zgubione?

– Coś w tym rodzaju. – Nie patrząc na Millie, Agatha wyciąga rękę i ściska jej dłoń.

Mocno. Bardzo mocno.

W końcu odnajduje je Karl, kompletnie potargany, w podartej koszuli. Pomaga im wspiąć

się z półki na klif i tuli obie do piersi. Agatha opowiada, co się stało z jego plastikowym towarzyszem. Karl udaje obojętność. Millie oznajmia, że mogą się odtąd dzielić nogą Manny'ego, i to wydaje mu się sensowną propozycją. Wciskają się do samochodu i odjeżdżają z wybrzeża, czując nawzajem swoją obecność pośrodku srogiego krajobrazu. Agatha wsłuchuje się w ciszę. Millie dotyka odbicia swojej ręki w szybie. A Karl się uśmiecha, bo na zakurzonej masce napisał: JESTEŚMY TUTAJ.

czego millie, karl i agatha nie wiedzą

Dziesięć lat później Agatha usiądzie przy szpitalnym łóżku Karla, patrząc, jak wycieka z niego życie. Millie będzie akurat przebywała w innym kraju, więc to przegapi, ale przyjedzie na pogrzeb. W swej mowie nad trumną powie: „Karl jest moim najlepszym przyjacielem”, celowo używając czasu teraźniejszego. Agatha umrze trzy miesiące później, i to właśnie Millie znajdzie ją martwą w fotelu z – jak sądzi – słodko-gorzkiem wyrazem twarzy. W końcu Millie też umrze, jak wszyscy i wszystko, zostawiając po sobie eksmęża i dwoje dorosłych dzieci. To będzie wypadek, szybka śmierć, a jej ostatnią myślą nie okaże się żadna myśl, lecz: „Co ja...”.

Ale na razie tego nie wiedzą.

Bo na razie Millie, Karl i Agatha wracają tam, skąd przyjechali.

podziękowania

Moja Mama uważała, że wyrażanie wdzięczności to jedna z najcenniejszych rzeczy w życiu. Nauczyła mnie pisać nedorzeczne liściki z podziękowaniami do wszystkich, którzy w jakiś sposób mi pomogli. Wtedy tego nie rozumiałam – miałam przez to mniej czasu na oglądanie Bananaramy/tańczenie do ich muzyki oraz pisanie wprawek poetyckich w stylu Roalda Dahla. Ale gdy przybywa nam lat, matczyzna mądrość nabiera aktualności i aż się zastanawiamy, jak to możliwe, że dawniej traktowaliśmy ją lekceważo.

Lecz jak podziękować ludziom, dzięki którym jesteśmy tym, kim jesteśmy, dzięki którym jesteśmy lepsi, dzięki którym my i nasza praca zyskujemy wartość? Chyba można tylko o tym powiedzieć.

Zgubiono znalezione napisałam w ramach doktoratu na Uniwersytecie Curtin w Australii Zachodniej, więc przede wszystkim dziękuję tej uczelni i tamtejszym pracownikom. Otrzymałam stypendium, miałam przestrzeń do pisania i całą rzeszę mentorów i przyjaciół, którym zamierzam się naprzykrzać do końca życia, czy im się to podoba, czy nie. Byłam nieznana, chciałam wykroić dla siebie kawałek przestrzeni, żeby napisać powieść, a uniwersytet stworzył mi odpowiednie warunki: socjalne, kulturowe i finansowe. Jestem za to bardzo wdzięczna.

Szczególne podziękowania kieruję do obojga moich promotorów, Davida Whish-Wilsona i Ann McGuire. David tchnął spokojem, nakłaniał mnie do „unikania popisów” i pokładał wiarę w moje możliwości, kiedy miałam chwile zwątpienia. Większość naszych spotkań przemieniała się w analizy sytuacji w Australijskiej Lidze Futbolu; dziś uważam to za istotny element mojego procesu twórczego. Ann nie uciekła, kiedy we łzach opowiedziałam jej po raz pierwszy swoją historię, lecz podsunęła mi plik chusteczek higienicznych i dała do zrozumienia, że jest to nasze wspólne przedsięwzięcie. Chciałabym także wspomnieć o Julienne van Loon, która – choć nie brała w tym bezpośredniego udziału – zawsze miała dla mnie czas.

Wielu ludzi czytało *Zgubiono znalezione* na różnych etapach powstawania i w różnych wersjach i udzieliło mi pomocnych wskazówek: Jeremy Hoare, który zna tę historię lepiej ode mnie i jest dla mnie niewyczerpanym źródłem pomysłów; Mark Russell, który wbił mi do głowy zasady interpunkcji i powiedział uprzejmym tonem: „Nikt nie zmieści się w otwór wentylacyjny w suficie, nie ma mowy”; George Poulakis, który pokazał mi, gdzie powinny się znaleźć przecinki, gdy znowu o tym zapomniałam; Sam Carmody, który jest moim drugim (równie ważnym) źródłem pomysłów, terapeutą i kontrolerem jakości żywienia; Sarah Hart, która przeczytała wstępną wersję, gdy miała ważniejsze sprawy na głowie; Julia Lörsch, barometr moich emocji, która płakała nad fragmentami powieści; Elizabeth Tan, która przekazała mi bardzo wnikliwie uwagi; James Stables, który przez większość czasu przypominał mi, że jego podatki idą na powstanie mojej powieści; dziewczęta z księgarni Beaufort Street Books – Jane Seaton, Geraldine Blake i Anna Hueppauff – które z zapalem przeczytały mój tekst; Adam Brenner, który powiedział mi, że jego zdaniem ludzie kupią moją książkę; mój tata Ken Davis, który czytał każdą kolejną wersję powieści z entuzjazmem, na jaki stać tylko dumnego rodzica. Obowiązkowo nazwał moją powieść arcydziełem i sporządził dwustronicową listę powodów, dlaczego powinnam usunąć przekleństwa z tekstu; jego partnerka Lorraine Jennings, której sokole oko uchroniło mnie od popełnienia zawstydzających błędów; mój starszy brat Rhett Davis, który przeczytał kilka wstępnych wersji tekstu, w dodatku szybko i bez ceregieli udzielił mi istotnych rad; mój młodszy brat Ben Davis, który przeczytał mój tekst na iPadzie w Rumunii i nie miał o tym za wiele do powiedzenia.

Dziękuję również tym, którzy uczestniczyli w warsztatach na Curtin i pomogli mi w podejmowaniu decyzji. Są to: Eva Bujalka, Steven Finch, Maureen Gibbons, Simone Hughes, Laura King, Kerstin Kugler, Kandance Maverick, Paul McLaughlan, Max Noakes, Ian Nicholls, Rosemary Stevens, Marcia Van Zeller i Yvette Walker. Czuję się wielką szczęściarą, bo przebywałam w tamtym czasie na Uniwersytecie Curtin w otoczeniu utalentowanych ludzi.

Czy będzie to przypominać mowę dziękczynną na gali wręczania Oscarów, jeśli wspomnę o nauczycielach, którzy pomogli mi odkryć w sobie pasję pisania? Zapewne, ale i tak to zrobię. Dziękuję Barb Tobin, której wciąż pragnę imponować. Kiedy miałam dziewięć lat, pokazałam jej swój wiersz, a ona wskazała jedną linijkę i stwierdziła, że jest to metafora. Pamiętam tamte słowa, były dość przeciętne, więc uznajmy, że ich nie pamiętam. Dziękuję panu Robertsonowi, który w szkole podstawowej zachęcał mnie do pisania, i pani McCarthy, która postawiła mi pierwszą czwórke z angielskiego w szkole średniej i w konsekwencji wybiła z głowy samozadowolenie. Ciągle myślę o tej czwórce i trochę się wkurzam. Na studiach Francesca Rendle-Short uczyła mnie eksperymentalnego pisania, a Felicity Packard uzmysłowiła mi, jak ważne jest oszczędne operowanie słowem w prozie. Jen Webb, która nie była oficjalnie moją nauczycielką, zawsze wspierała mnie w moich wysiłkach.

Dziękuję kawiarniom w różnych stanach i krajach za to, że wytrzymały moją obecność, gdy zadekowana w kącie godzinami piłam jeden imbryk herbaty. Poważnie, przesiadywałam w tych lokalach całe godziny, wydając ledwie grosze, a jednak nikt nie miał do mnie pretensji. Szczególne podziękowania kieruję do dziewcząt z 50mL w Leederville. Waszym czajem i gościnnością zaskarbiłyście sobie (i nadal zaskarbiacie) moją wdzięczność.

Dziękuję tym, którzy przyczynili się do wydania książki. Są to: Adam Brenner i Todd Griffiths, którzy uknuli niezawodny plan złożenia oferty wydawnictwu Hachette; Vanessa Radnidge, która dała mi poczucie, że napisałam coś wartościowego; Olga Orzeł i wszyscy w wydawnictwie Czarna Owca, którzy z zapałem, bez wahania, podjęli ryzyko wydania powieści nieznanej australijskiej pisarki, dzięki czemu *Zgubiono znalezione* zyskała dom w Polsce.

Dziękuję Craigowi Silveyowi za to, że poświęcił mi sporo czasu kosztem swoich obowiązków i zachęcał mnie do pracy oraz wskazał mi Benythona Oldfielda z Zeitgeist Media Group Literary Agency, któremu także winna jestem podziękowania, jak również Marcinowi Biegajowi z polskiej Agencji Literackiej Graal. Jesteście wspaniali. Dziękuję Wam za to, że pomogliście Millie, Karlowi i Agacie odnaleźć drogę w tym wielkim, nieogarnionym świecie.

Postanowiłam zrobić zwiastun książki i wspomniałam o tym kilku utalentowanym osobom. Zareagowały entuzjastycznie i trzy tygodnie później – bez żadnych nacisków z mojej strony – zwiastun był gotowy. Nie spodziewałam się tego. Dziękuję mojej wspaniałej szwagierce Tarze Coady za artyzm, cierpliwość i starannie wyprodukowane wideo; dziękuję małemu geniuszowi muzycznemu Matildzie Griffiths za to, że była wprost idealną Millie Bird, oraz niewymownie cudownemu Toddowi Griffithsowi za jego nocne ślęczenie nad ścieżką dźwiękową i zgodę na użycie głosu jego córki, choć musiała powiedzieć słowo „kupa”.

Muszę, naprawdę muszę podziękować paniom z Beaufort Street Books i Torquay Books. Pozwalały mi pracować w swoich księgarniach i okazały wsparcie duchowe. Moje dwie szefowe – Jane Seaton i Rosemary Featherston – pracują bardzo ciężko, chwała za to jest niewielka; dzięki nim czułam się dumna z bycia częścią tej branży. Okazujmy księgarzom życzliwość, starajmy się, aby nie znikli z tego świata.

Chciałam też wspomnieć o ludziach, którzy zwierzyli mi się ze swojego bólu i nie uciekli w popłochu, gdy zrewanżowałam się tym samym. To coś cudownego. Wydaje mi się, że ból po stracie kogoś bliskiego jest mniej dojmujący, gdy się zwierzamy i słuchamy innych. Rozmawiałam z obcymi, znajomymi, klientami, przyjaciółmi i członkami swojej rodziny, ale

szczególne podziękowania kieruję do Jodi Ladhams, Jeremy'ego Hoare'a i Anny Hueppauff za to, że odsłonili przede mną swój intymny ból i zaimponowali mi swoją siłą. Ruby, Cedric, Elli i Kaiser, Wam także dedykuję tę książkę. Chciałabym również podziękować Chrisowi Donahoe, którego emocjonalne wsparcie w początkach mojego literackiego projektu (i żałoby) było dla mnie bardzo ważne.

Dziękuję moim dziadkom, Kenowi i Lornie Davisom oraz Tedowi i Jean Newtonom, za bajki, poświęcony mi czas i opiekę. Na swój odmienny sposób każde z Was pomogło mi zrozumieć, że starzy ludzie nie zawsze są starzy. Szczególnie dziękuję Tobie, babciu Jean, bo w wieku dziewięćdziesięciu lat wciąż chodzisz świecie, choć myślisz, że na imię mam Judy i dawno już stuknął mi czwarty krzyżyk.

No i jeszcze ci, którzy po prostu są, nawet jeśli czasem ich nie ma. Patrzę teraz na Was, moją rodzinę: Mama, Tata, Rhett i Ben. To dzięki Wam jestem tym, kim jestem, i robię to, co robię.

Przed wszystkim dziękuję Tobie, Mamo.

To wszystko (pisanie książki i w ogóle życie) jest niepełne, odkąd Cię nie ma.

Brooke Davis

Brooke Davis wychowała się w Bellbrae, w australijskim stanie Wiktoria. Pierwszą powieść próbowała napisać w wieku dziesięciu lat. Był to wielowątkowy wgląd w wewnętrzny świat nastolatki. Powieść nie została dokończona, bo Brooke uświadomiła sobie, że nie zaznała jeszcze prawdziwego smutku i nic nie wie o życiu nastolatków.

Później skończyła studia na uniwersytecie w Canberze, została laureatką kilku uniwersyteckich nagród literackich w dziedzinie prozy. Niedawno obroniła doktorat z twórczego pisania na Uniwersytecie Curtin w Australii Zachodniej. Uwielbia sprzedawać książki innych autorów, co czasem robi w dwóch miłych księgarniach: w Perth i Torquay. *Zgubiono znaleziono* to jej pierwsza „pełnowymiarowa” powieść, napisana po przedwczesnej śmierci matki.

Twitter: @thisisbrooked